

KONSPEKT

PISMO UNIwersYTETU PEDAGOGICZNEGO W KRAKOWIE

www.konspekt.up.krakow.pl

konspekt@up.krakow.pl
istnieje od 1999 roku



WYWIADY:
Wiesław Banyś
Radosław Nowakowski

Obrona humanistyki

Recenzje, sprawozdania,
szkice i polemiki

Dekada nowej
strategii archiwalnej

Pokolenia odchodzą,
pamięć pozostaje

Jak uczyć studentów
geografii?

Teatr MIST obchodzi
dwudzieste urodziny

Tomasz Kulczycki —
krawiec i wydawca

Soczi 2014 —
podsumowanie



W ciągu ostatniego półroczu w działalności „Konspektu” zaszły zmiany, które warto odnotować choćby w skrócie. Od października 2013 r. działa nowa strona internetowa pisma, która ma pełnić funkcję serwisu informacyjnego, poświęconego ważnym sprawom Uczelni, a także witryny dedykowanej publicystyce, twórczości literackiej oraz sztukom wizualnym. Strona dostępna jest pod adresem: www.konspekt.up.krakow.pl. Swoją układ graficzny zawdzięcza mgr. Pawłowi Wójtowiczowi – pracownikowi Centrum Obsługi Informatycznej Uniwersytetu Pedagogicznego. W grudniu 2013 r. na stronach Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej pojawiły się z kolei pierwsze zdigitalizowane egzemplarze „Konspektu” za lata 2009–2011. Ich udostępnienie było możliwe dzięki zawarciu umowy o współpracy pomiędzy redakcją pisma a władzami Biblioteki Głównej UP oraz pracownikami działającego w jej strukturach Oddziału Komputeryzacji i Digitalizacji Zbiorów. Pedagogiczna Biblioteka Cyfrowa to znakomita elektroniczna kolekcja materiałów naukowych, głównie o tematyce pedagogicznej. Jej bogate i stale powiększające się zasoby można skutecznie i łatwo przeszukiwać w sposób prosty lub zaawansowany, a także za pomocą indeksów: tytułów, twórców i słów kluczowych. Odnalezione treści użytkownik może zapisywać na dowolnym dysku lub drukować. Zgromadzone w PBC numery „Konspektu” zostały opublikowane w formacie DjVu, mają także ten sam wygląd graficzny co ich wersje drukowane. Wierzymy, że dzięki temu „Konspekt” dotrze do szerszego grona Internautów i stanie się istotną częścią wirtualnych zasobów bibliotecznych. Nadal aktywna jest też jego dawna strona – www.up.krakow.pl/konspekt/, na której zgromadzono elektroniczne wersje numerów 1–34. Ponadto od 8 marca 2012 r. działa strona pisma na popularnym portalu społecznościowym Facebook. Dziękujemy wszystkim, którzy, odwiedzając nas, skorzystali z przycisku „Lubię to!”

KONSPEKT

2/2014 (51)



REDAKCJA
Marcin Kania
(redaktor naczelny)

ADIUSTACJA
Ewa Bednarska-Gryniewicz

PRZEWODNICZĄCY
RADY PROGRAMOWEJ
prof. Kazimierz Karolczak

WSPÓŁPRACA
Iwona Tomasiak
Magdalena Ochwat
Marek Glogier
Piotr Kciuk
Sylwia Kępa

ZDJĘCIA
Marian Pasternak
Mieczysław Wieclawek
Marcin Kania

ŁAMANIE
Tomasz Zacharski

PROJEKT OKŁADKI
Marcin Kania

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW
na stronie internetowej pisma:
www.konspekt.up.krakow.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
do skracania tekstów
i zmian redakcyjnych.

Pismo Uniwersytetu Pedagogicznego
im. Komisji Edukacji Narodowej
30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel.: 12 662-61-28
pon.-pt. 7.30-15.30
e-mail: konspekt@up.krakow.pl

Druk i oprawa:
Zakład Poligraficzny UP

Nakład: 400 egz.

Na nas wszystkich – ludziach uniwersytetu – spoczywa wielka odpowiedzialność za propagowanie wiedzy i „rozumu naukowego”, za kształtowanie postaw i zachowań młodych ludzi, za rozbudzanie w nich świadomości obywatelskiej. Od

jakości naszych działań zależy bardzo wiele, także przyszłość naszego kraju i Unii Europejskiej. Jako środowisko naukowe powinniśmy dawać podstawy do jak najlepszego rozwoju naszego kraju, a to, czego dokonamy, stanie się dobrym dziedzictwem dla kolejnych pokoleń.

O przyszłości polskiej nauki mówi JM prof. **Wiesław Banyś** – Rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, doktor honoris causa Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.



5 Gość „Konspektu”

W historii naszej Uczelni jest kilka bardzo ważnych dat: 11 maja 1946 r., 24 września 1946 r. oraz 29 września 1973 r. Dwie pierwsze związane są bezpośrednio z genezą Uczelni, natomiast ostatnia to ważna cezura w dziejach Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

O święcie Uczelni, przypadającym na dzień 11 maja, pisze **Gabriel Szuster**.

14 Historia Uczelni

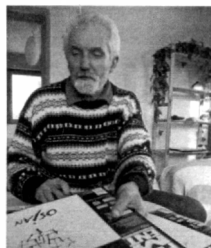
Ostatnio chór krytyków humanistyki w mediach nieco przycichł. Dysponujemy też wiarygodnymi analizami *employability* absolwentów, niekoniecznie potwierdzającymi prognozy braku pracy dla adeptów filozofii, historii czy filologii polskiej. W tej sytuacji, patrząc na medialną histerię ostatnich lat, należy zadać dwa pytania: Czy było wolno? I czy było warto?

Prof. **Marek Wilczyński** odpiera ataki na humanistykę i zadaje ważne pytania atakującym.

30 Polemiki

Przy całym moim uwielbieniu dla tekstu od samego początku towarzyszyło mi niejasne odczucie, że tekst to nie wszystko, że trzeba wyjść poza tekst, że trzeba coś do niego dodać, jakoś mu pomóc, kiedy sobie nie radzi, kiedy znaczy nie to, co chcielibyśmy, żeby znaczył.

O literaturze opowiada **Radosław Nowakowski** – pisarz, tłumacz, muzyk zespołu Osjan, projektant książek.



36 Rozmowy „Konspektu”



O Tomaszu Kulczyckim – znakomitym krawcu i wydawcy-pasjonacie – piszą Ewa Tłuczek i Karolina Durda.

42 Ruch wydawniczy

Enigmatyczna nazwa MIST skłania publiczność teatralną do snucia rozmaitych przypuszczeń co do jej znaczenia i pochodzenia. Jedni wskazują na związki z językiem angielskim, gdzie *mist* to inaczej mgła, mgielka, a *mysterium* oznacza tajemnicę. Inni są skłonni wywodzić tę nazwę od średniowiecznego gatunku teatralnego – misterium, jeszcze inni sądzą po prostu, że dwie pierwsze litery pochodzą od nazwiska Michno, a dwie kolejne od imienia Stanisław. Sam Stanisław Michno uśmiecha się tylko tajemniczo i twierdzi, że wszystkie te pomysły są... uprawnione.

Działalność Teatru MIST omawia **Marek Karwala**.

46 Teatr

A ta epidemia tyle ludzi zabiera, od złego odżywiania chorują i na czerwone, a nasza Ojczyzna Polska chyba z tęsknotą czeka tam daleko na nasz powrót i głosem stłumionym pod jarzmem niewoli woła i woła. Gdyby, Polsko, to w naszej było mocy mieć skrzydła u ramion, zaraz byśmy poprzez wszystko polecili do Ciebie na te wołania spełnić Twe żądania.

Dzięki pomocy dr. **Huberta Chudzio**, dyrektora Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń, prezentujemy fragment dziennika Sybiraczki – pani **Krystyny Ostrowskiej**.



73 Świadectwa

— Spis treści —

<i>Szkolnictwo wyższe i nauka fundamentem modernizacji kraju. Rozmowa z JM Rektorem Uniwersytetu Śląskiego prof. Wiesławem Banysiem, doktorem honoris causa Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie</i>	5
GABRIEL SZUSTER <i>Dlaczego świętujemy 11 maja?</i>	14
MAREK WILCZYŃSKI <i>„Humany-tumany”</i>	18
MAREK GLOGIER <i>Dekada nowej strategii archiwalnej (2003–2013)</i>	24
<i>Cała książka z jednej głowy. O liberaturze opowiada Radosław Nowakowski</i>	36
EWA TŁUCZEK, KAROLINA DURDA <i>Tomasz Kulczycki – krawiec, patriota, wydawca</i>	42
MAREK KARWAŁA <i>Teatr MIST obchodzi dwudzieste urodziny</i>	46
OLIWIA BRZEŹNIAK <i>Centrum Literatury Dziecięcej w Oświęcimiu, czyli miejsce spotkań niezwykłych</i>	49
PAULINA SACHA <i>Nie niszczy my małych bibliotek...</i>	53
MICHAŁ GÓRNIŚIEWICZ <i>Polityka przedostatnich Jagiellonów wobec ostatnich Piastów mazowieckich</i>	56
CZESŁAW MICHAŁSKI <i>Soczi 2014 – najlepszy start polskich sportowców w historii zimowych igrzysk olimpijskich</i>	58
WITOLD WARCHOLIK <i>Turystyka – fakty i mity</i>	63
BOŻENA MUCHACKA, IWONA CZAJA-CHUDYBA, ANNA SZKOŁAK <i>Nowe forum pedagogów</i>	65
KAMIL STOLAREK <i>Gorzkie pomarańcze – grecka iluzja a rzeczywistość</i>	67
<i>Pokolenia odchodzą – pamięć pozostaje. Rozmowa z dr. Hubertem Chudzio</i>	70
KRYSTYNA OSTROWSKA <i>Pamiętnik z pobytu na Syberii (fragment)</i>	73
RADOSŁAW GAJDA <i>Rosyjska mentalność a tęsknota za imperium</i>	79
PAWEŁ PRÓCHNIAK <i>Prawda metafory</i>	81
JOANNA PADUŁA <i>Ogólnopolska konferencja naukowa „Nowe poetyki miejskie (literatura, kultura, język)”</i>	84
GABRIELA MEINARDI <i>Dominique Rouge... Takim go zapamiętamy</i>	89
Nowości Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Pedagogicznego	92

Szkolnictwo wyższe i nauka fundamentem modernizacji kraju

Rozmowa z JM Rektorem Uniwersytetu Śląskiego
prof. Wiesławem Banysiem, doktorem honoris causa
Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Marcin Kania: Panie Rektorze, w roku 2012 został Pan przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) na kadencję 2012–2016. Jakie wyzwania czekają Konferencję w latach sprawowania przez Pana tego urzędu?

JM prof. Wiesław Banys: Jak zawsze – ogromne. Z jednej strony, kontynuujemy działalność zapoczątkowaną przez naszych znakomitych poprzedników, z drugiej zaś – czeka nas także dużo nowych zadań, jeśli weźmiemy pod uwagę bieżące potrzeby szkolnictwa wyższego i nauki.



JM Prof. Wiesław Banys, Rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Przewodniczący KRASP

Chcemy bowiem spowodować naszymi działaniami, żeby edukacja i nauka stały się jeszcze bardziej i jeszcze szybciej fundamentem budowania Polski jako nowoczesnego państwa opartego na wiedzy. Nie ograniczamy się przy tym wyłącznie do określania priorytetów naukowych czy też priorytetów w tradycyjnie rozumianym zakresie szkolnictwa wyższego i nauki, choć są to dwa podstawowe obszary działalności Konferencji. Kładziemy także mocny nacisk na promocję edukacji obywatelskiej i kształtowanie świadomości przyszłych światłych obywateli Rzeczypospolitej. Staramy się również o wyraźne rozróżnianie misji i zadań poszczególnych typów uczelni. Naszą Konferencję stanowią rektorzy wszystkich akademickich uczelni publicznych i 11 niepublicznych. W sumie zrzesza ona 107 rektorów oraz 10 rektorów reprezentujących uczelnie stowarzyszone, w tym 6 uczelni niepublicznych, oraz 36 rektorów stowarzyszonej z nami Konferencji Rektorów Publicznych Szkół Zawodowych. Reprezentują oni różne typy uczelni: artystyczne, medyczne, pedagogiczne, politechniczne, rolnicze, wychowania fizycznego. Chcemy w tej różnorodności cieszyć się i jej bogactwem, i jednością, jaką umożliwia KRASP. Prowadzimy aktualnie dyskusje na temat misji określonego typu uczelni we współczesnym świecie. Łączy nas wspólna idea, przejawiająca się w zrozumieniu, że ośrodki akademickie – poza obowiązkiem kształcenia studentów – mają jeszcze inną odpowiedzialność, którą nazywamy nową społeczną odpowiedzialnością uniwersytetów. Jest to szeroko rozumiany wpływ uczelni na środowisko społeczne poza jej murami – na współdziałanie z otoczeniem społeczno-gospodarczym: biznesem, gospodarką, mieszkańcami, władzami wojewódzkimi i miejskimi, samorządami, grupami społecznymi itd. Edukacja wyższa nie jest bowiem odizolowaną wyspą na mapie całej edukacji i mapie danego miasta czy regionu, ale jego istotną, centralną częścią. Chcemy także doprowadzić do tego, aby cały cykl kształcenia – od szkoły podstawowej i średniej aż po uniwersytety trzeciego wieku oraz różne studia i kursy podyplomowe – stał się jednym, zsyn-

chronizowanym, ciągiem edukacyjnym. Stąd bardzo ścisła współpraca KRASP nie tylko z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ale też z Ministerstwem Edukacji Narodowej, z którym omawiamy zagadnienia związane z podstawą programową, nową maturą oraz zasady prowadzenia zajęć i lekcji w szkołach podstawowych oraz średnich, a jednocześnie staramy się polepszać współpracę uczelni ze szkołami oraz kuratoriami.

W ostatnim poruszonej przez Pana zagadnieniu słyszę wyraźne odwołanie do proponowanego przez Pana Paktu dla Edukacji...

To jedno z wielu zawartych w nim zagadnień. Apel o zawarcie ponad podziałami Paktu dla Edukacji jest jedną z naturalnych konsekwencji ogłoszonego 11 stycznia 2013 r. na spotkaniu prezydium KRASP *Apelu do Parlamentu i Rządu Rzeczypospolitej Polskiej* o nadanie najwyższego priorytetu rozwojowi szkolnictwa wyższego, nauki i kultury, które powinny stać się siłą napędową przyspieszonej modernizacji Polski. Apel został podpisany przez przewodniczących: KRASP, Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Fundacji Rektorów Polskich oraz Konferencji Rektorów Zawodowych Szkół Polskich. Budowanie społeczeństwa opartego na wiedzy jest naszym priorytetem, a edukacja, na każdym z poziomów, holistyczna, jest elementem fundamentalnym tego procesu.

To ważne, ponieważ młodzi ludzie, którzy rozpoczynają studia, są już absolwentami szkoły podstawowej, gimnazjum oraz liceum lub technikum, mają więc za sobą około 12 lat nauki. Od roku 1989 polska szkoła przeszła liczne zmiany, w tym również te niekorzystne...

Jedna z licznych dyskusji ten na temat odbyła się w czasie oceniania wyników Programu Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów (Programme for International Student Assessment – PISA) na konferencji w Szkole Głównej Handlowej w grudniu 2013 r. Zostały tam przedstawione wyniki PISA, które w ostatnim badaniu wykazały, że nasza młodzież znacznie awan-

sowała w rankingach międzynarodowych. Pakt dla Edukacji właściwie sprowadza się do tego, co powiedział Pan Premier Donald Tusk w lipcu 2013 r. na spotkaniu, na którym prezentowano po raz pierwszy wyniki ostatniego badania PISA. Pan Premier stwierdził wówczas, że edukacja pierwszego i drugiego stopnia, czyli podstawowa i średnia, nie wymagają kolejnej rewolucji, lecz większej troski i większej ilości pieniędzy. Oczekujemy zatem bardziej *e w o l u c j i*, czyli stopniowych i dobrze przygotowanych zmian. Podstawa programowa, która została przygotowana przez MEN w porozumieniu ze środowiskiem akademickim, stwarza szansę, aby położyć większy nacisk na myślenie uczniów, na analizę i syntezę faktów. O Pakcie dla Edukacji jako jednym z elementów realizacyjnych naszego *Apelu* mówimy ostatnio często. Jest to przejaw troski, który dochodził do głosu już w poprzednich kadencjach KRASP, o odpowiednie skonsolidowanie całej edukacji w Polsce. Każdy, kto zajmuje się edukacją, doskonale rozumie ciągłość wszystkich etapów kształcenia.

Jak kształtują się stosunki KRASP z zagranicznymi przedstawicielami nauki i świata polityki?

Bardzo intensywnie rozwijamy współpracę międzynarodową. W październiku 2013 r. podpisaliśmy w Brazylii plan współdziałania z CNPq, jedną z dwóch agencji wykonawczych programu Nauka bez Granic, i staliśmy się partnerem rządu brazylijskiego w uruchomieniu tego wielkiego programu na polskich uczelniach. Intensywnie działamy też w European University Association (Europejskim Stowarzyszeniu Uniwersytetów) – instytucji, która skupia ponad 850 rektorów z ośrodków akademickich z całej Europy, i mamy bardzo dobre kontakty ze wszystkimi konferencjami EUA, prowadzimy np. wspólne projekty z włoską i portugalską Konferencją rektorów, a z naszym odpowiednikiem na Ukrainie – Radą Rektorów Ukrainy – w Warszawie w drugiej połowie maja br. będziemy podpisywać ramową umowę o współpracę. KRASP współpracuje ponadto bardzo inten-

sywnie z Niemiecką i Francuską Konferencją Rektorów, także w ramach Trójkąta Weimarskiego. W wyniku tych spotkań w marcu roku ubiegłego wystosowaliśmy apel do Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i rządów naszych krajów o jeszcze większą troskę o edukację, także w wymiarze finansowym, dotyczącym zwłaszcza szkolnictwa wyższego i badań naukowych. W nawiązaniu do tego apelu pod koniec lutego br. wysłaliśmy uzgodniony przez trzy nasze Konferencje kwestionariusz do szefów partii politycznych, którzy delegują swoich przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego, z prośbą o ustosunkowanie się do siedmiu przedłożonych w nim kwestii związanych z kierunkami rozwoju szkolnictwa wyższego i nauki w Unii Europejskiej oraz trzech kwestii dotyczących kierunków rozwoju szkolnictwa wyższego i nauki w wymiarze narodowym. Czekamy na komentarze przewodniczących i prezesów poszczególnych partii. Chcemy w ten sposób doprowadzić do tego, żeby działania UE były jeszcze bardziej transparentne, a podejmowanie decyzji o sprawach najważniejszych odnoszących się do rozwoju Unii Europejskiej, szkolnictwa wyższego i nauki odbywało się w jeszcze ściślejszej współpracy ze środowiskiem akademickim. W ramach cyklicznych spotkań akademickiego Trójkąta Weimarskiego spotkaliśmy się 8 i 9 kwietnia br. w Moguncji, gdzie m.in. omawialiśmy część otrzymanych już komentarzy od partii politycznych w Niemczech i w Polsce oraz sprawy związane z kierunkami rozwoju europejskiej przestrzeni badawczej i szkolnictwa wyższego, w tym roli w nim humanistyki i nauk społecznych.

Jak mocny jest głos KRASP na tle głosów analogicznych Konferencji z innych krajów Wspólnoty?

Nasz głos jest mocny i tym mocniejszy, o ile stanowimy część tej wielkiej organizacji, jaką jest European University Association, bo EUA ma dużą moc sprawczą. Natomiast, niezależnie od aktywnego udziału KRASP w pracach i różnych akcjach, deklaracjach, projektach i działaniach EUA, staramy się (także np. w ra-

mach wspomnianego akademickiego Trójkąta Weimarskiego) wpływać indywidualnie na działania władz naszych krajów i decyzje naszych europosłów po to, żeby nasz głos był jeszcze bardziej słyszalny. Nasz apel-deklaracja, o którym wspominałem przed chwilą został przyjęty z dużym zainteresowaniem w Komisji Europejskiej i Parlamencie Europejskim, choć proponowane przez nas rozwiązania finansowe nie zostały jeszcze zaakceptowane. Rozumiemy jednak, że UE jest zbiorowością krajów o różnych potrzebach aktualnych i różnym stopniu rozwoju gospodarczego. Trudno zatem narzucić wszystkim państwom Unii obowiązek przekazywania 3% PKB na badania naukowe i rozwój. Nasza współpraca z władzami UE jest dobra, ale jej wyniki nie zawsze są zgodne z naszymi oczekiwaniami i oczekiwaniami naszych partnerów. Jest to normalne w przypadku rozmów partnerskich i poszukiwania rozwiązań kompromisowych. Doskonale bowiem wiemy, że w negocjacjach zderzają się różne racje, generalnie z różnych perspektyw wszystkie słuszne, i trzeba szukać porozumienia. Ważne, abyśmy rozmawiali, aby środowisko akademickie wyraźnie formułowało swoje potrzeby i wymagania, bo politycy – w sposób naturalny – mają inne spojrzenie od naukowców na najbardziej pilne, często strategiczne problemy do rozwiązania. Tutaj pojawiają się tysiące różnych kwestii – od zmian klimatycznych, przez politykę energetyczną, po takie zagadnienia, jak priorytety w Horyzoncie 2020 – ile środków finansowych na badania podstawowe, ile na badania stosowane, ile na humanistykę, a ile na technologię. Rezultat finalny zawsze jest konsekwencją pewnego konsensusu. Staramy się jednak zabiegać o to, aby polski i europejski głos rektorski i całego środowiska akademickiego był jeszcze bardziej słyszalny i w jeszcze większym stopniu wpływał na postanowienia władz UE. Warto w tym kontekście podkreślić, że podwyższenie do 77 mld euro budżetu programu Horyzont 2020 w stosunku do 54 mld euro z 7 Programu Ramowego Wspólnoty Europejskiej (7PR) to także m.in. wynik naszych bardzo intensywnych działań. Chcielibyśmy wynegocjować 100 mld euro, czyli prawie

podwoić budżet z 7 Programu Ramowego, ale i tak zwiększenie budżetu do prawie 80 mld euro jest ogromne. Dobrze jest w tym kontekście przypomnieć, że kładziemy również nacisk na opracowanie w Polsce strategii rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego, o co zabiegamy już od dawna. KRASP, w porozumieniu z Fundacją Rektorów Polskich, już opracował taką strategię rozwoju szkolnictwa wyższego na lata 2010–2020. Jest ona punktem odniesienia dla działań poszczególnych uczelni KRASP, ale wciąż nie jest dokumentem rządowym, lecz środowiskowym. Przekonywaliśmy do przyjęcia strategii rozwoju szkolnictwa wyższego na bazie tego dokumentu Panią Minister Barbarę Kudrycką, niestety bezskutecznie. Prace rozpoczęte – i mocno zaawansowane – przez utworzony zespół akademicko-ministerialny, zostały finalnie wstrzymane. Obecnie rozmowy prowadzimy z Panią Minister Leną Kolarską-Bobińską, która zdecydowała, że opracowanie takiej strategii nastąpi. Dokument taki stanowić powinien również zobowiązanie Rządu Polskiego do przekazywania na szkolnictwo wyższe i naukę w kolejnych latach ściśle określonych kwot. W przyjętym przez Rząd Krajowym Programie Reform zostało zapisane, że do roku 2020 dochodzimy do 1,78% PKB na badania naukowe i rozwój, po połowie pieniędzy budżetowych i pozabudżetowych (to jest mniej niż postulowane przez UE 3% PKB), ale skoro nie ma aktualnie określonej ścieżki stopniowego dochodzenia do takiego finansowania, to mamy bardzo poważne obawy, że nagle, za sześć lat nie pojawi się finansowanie w tej wysokości, gdyż okazuje się, że środki budżetowe – polskie, a nie budżetowe europejskie, przeznaczone na badania naukowe stanowią około 0,32% PKB. To jest bardzo znaczący spadek w stosunku do 0,36% PKB środków przeznaczanych na naukę jeszcze kilka lat temu. W roku 2014 już widzimy zmniejszenie środków finansowych na naukę o około 250 mln zł w stosunku do roku ubiegłego i ta tendencja, bardzo niebezpieczna, ma się utrzymać także w roku 2015. Na szczęście mamy środki z UE, z których środowisko akademickie może korzystać dzięki udziałowi w różnych programach operacyjnych,

zwłaszcza PO Wiedza, Edukacja, Rozwój i PO Inteligentny Rozwój, chociaż generalna tendencja przekazywania tych środków na uczelnie przez przedsiębiorstwa w ramach wspólnie prowadzonych projektów wdrożeniowych i komercjalizacyjnych, także generalnie słuszną, gdyby nie jej imperatywny charakter dla naukowców i wątpliwość po stronie przedsiębiorców, czy są w stanie przekazywać do budżetu projektów połowę środków jako wkład własny, może prowadzić do niebezpieczeństwa niepełnego wykorzystania tych środków europejskich. Natomiast, niezależnie od tych zagrożeń, które musimy za wszelką cenę zwalczyć, i wielkiej szansy – ostatniej zapewne takiej wielkości środków europejskich, którą musimy za wszelką cenę jak najlepiej wykorzystać – to perspektywa sięga tylko roku 2020. Z niepokojem natomiast spoglądamy poza rok 2020. Jeśli wówczas zostalibyśmy na poziomie 0,32% PKB na badania naukowe, to byłoby to niebezpieczne cofnięcie się naszego kraju w rozwoju cywilizacyjnym.

Warto zauważyć, że ocenianie i ukierunkowywanie szkolnictwa wyższego i nauki, jak to się bardzo często robi, prawie wyłącznie poprzez wskaźniki patentowania, wdrażania i komercjalizacji, jest absolutnie nieuprawnione. Uczelnie wyższe są bardzo zróżnicowane i misje edukacyjne, naukowe, wdrożeniowe i komercjalizacyjne nie są takie same w przypadku np. klasycznych uniwersytetów czy politechnik. Zwracaliśmy na to uwagę w trakcie Zgromadzenia Plenarnego KRASP z udziałem Pana Premiera 11–12 kwietnia br. na Uniwersytecie Jagiellońskim i Pan Premier przyjął nasze stanowisko.

Uczestniczył Pan w Okrągłym Stole Humanistyki – debacie zorganizowanej 26 lutego br. w Centrum Nauki „Kopernik” z inicjatywy Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W czasie tego spotkania zaprezentowano ocenę kondycji polskiej humanistyki oraz wysunięto różne propozycje dotyczące jej przyszłości. Pozwolę sobie zatem zapytać, co z humanistyką.

Z humanistyką nie jest wcale tak źle, jak twierdzą niektórzy uczeni czy komentatorzy. Huma-

nistykę – jako grupę nauk – można oceniać, podobnie jak każdą inną dziedzinę – na różnych poziomach. Trzeba wziąć też pod uwagę, że gdy mówi się „humanistyka”, często ma się generalnie (potocznie) na myśli nie tylko nauki humanistyczne sensu stricto, ale także nauki społeczne i prawne. Jednym z poziomów analizy jest zainteresowanie kształceniem humanistycznym, a dokładniej – kształceniem na niektórych kierunkach humanistycznych, np. filozofii, od której zresztą zaczęła się w Polsce aktualna debata o humanistyce. Innym poziomem oceny są badania naukowe w tym zakresie i „widzialność” naszej humanistyki w Europie oraz na świecie.

Jeśli chodzi o pierwszy problem, i tylko o nim zasadniczo się mówi, a już np. nie o tym, czy i w jaki sposób polska myśl humanistyczna i społeczna wpisuje się w realizację Europejskiej Przestrzeni Badawczej, to trzeba zauważyć, że dane ministerialne przedstawione w czasie obrad Okrągłego Stołu Humanistyki, pokazują, że spadek liczby studentów na niektórych kierunkach humanistycznych i społecznych jest związany najwyraźniej z niżem demograficznym i generalnie podobne spadki są zauważalne także na tych kierunkach studiów, które nie są humanistyczne czy społeczne. Tak czy inaczej, spadek ten jest odczuwalny. Diagnoz przyczyn takiego stanu rzeczy jest zapewne wiele. Jedna z nich mówi, że mniejsze zainteresowanie niektórymi kierunkami humanistycznymi, zwłaszcza filozofią, jest wynikiem decyzji o wprowadzeniu odpłatności za drugi kierunek studiów (powyżej puli 10% najlepszych studentów, którzy mogą studiować nieodpłatnie drugi kierunek studiów). Prawdopodobniejsze jednak jest zapewne to, że gdy mamy mniej kandydatów na studia, ich liczba rozkłada się na różne kierunki studiów i wybierają oni, z tych czy innych powodów, inne kierunki. Faktem też jest, że bez wątpienia ostatnimi czasy zrobiono szeroko rozumianej humanistyce medialną antyreklamę, która także zapewne nie pozostała bez wpływu na jakąś część wyborów kandydatów na studia, głosząc poglądy, że humanista nie odnajdzie się na rynku pracy i generalnie

„uczelnie to fabryki bezrobotnych”, bo prowadzą studia, które nie dają „umiejętności praktycznych”, a do takich zaliczano studia humanistyczne i społeczne. Gdy dyskutowaliśmy o tym, co zrobić, aby studenci chcieli studiować filozofię, zadawaliśmy sobie m.in. oczywiste pytanie: ilu musimy mieć w Polsce wykształconych ludzi z dyplomem ukończenia studiów filozoficznych. Odpowiedź nasuwa się prawdopodobnie sama: zapewne nie aż tylu, ile było miejsc na wszystkich działających na polskich uczelniach kierunkach filozoficznych w dobie boomu edukacyjnego i nadrabiania bardzo niskiego wskaźnika skolaryzacji akademickiej z około 10% w roku 1990 do ponad 50% teraz. Natomiast nikt nie ma wątpliwości, że wszyscy studenci powinni przejść przez odpowiedni kurs filozofii i innych dyscyplin humanistycznych i społecznych, odpowiednio przygotowany i odpowiednio prowadzony, z naciskiem na dyskusowanie problemów przekrojowych i analizowanie różnego typu przypadków. Zajęcia bowiem z filozofii oraz innych kierunków humanistycznych i społecznych powinny znaleźć się w programie każdego typu studiów, łącznie z politechnicznymi i medycznymi, co jest już w dobrych uczelniach z powodzeniem realizowane. To jest zresztą jeden z elementów przygotowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego Pakietu Humanistycznego.

Poza tym filozofii trudno zacząć uczyć dopiero na uniwersytecie. Młody człowiek musi mieć z nią do czynienia od początku swojej edukacji. Opowiem Panu historię ze swojego życia. Do czasu drugiej klasy liceum planowałem zostać chemikiem – pasjonowała mnie chemia organiczna, substancje naturalne i synteza nowych związków chemicznych o potencjalnych właściwościach leczniczych. Ale pod koniec roku szkolnego moja nauczycielka języka francuskiego przyniosła do szkoły pytania z francuskiej matury, które zawierały zagadnienia ściśle filozoficzne: o sens życia, o szczęście, o wartości etyczne, o poznanie itd. Bardzo mnie te kwestie zainteresowały i z wielką pasją zacząłem przygotowywać stosowne opracowania. Był tylko jeden kłopot. Pytania były po francusku, odpowie-

dzi też musiały być po francusku. Tak to umiłowanie filozofii popchnęło mnie najpierw w objęcie języka francuskiego, a później studiów romanistycznych.

Wśród rozlicznych Pana zainteresowań naukowych ważne miejsce zajmuje językoznawstwo komputerowe oraz tłumaczenie automatyczne. Czym jest tłumaczenie automatyczne i na czym polega jego rola?

Tłumaczenie automatyczne to rozległy obszar badawczy językoznawstwa, o którym w naszej rozmowie mogę powiedzieć tylko w wielkim skrócie. Gdy stawiamy pytanie, co to jest prawda w nauce, to możemy znaleźć wiele różnych postaw. Ta, którą ja przyjmuję w językoznawstwie, jest pochodną postawy arystotelesowskiej, która głosi, że dana teoria jest prawdziwa, jeśli jej opis mechanizmów rzeczywistości i jego konsekwencje pozwalają nam mechanizmy te odtworzyć i przekształcać. Z tego punktu widzenia, gdy staramy się zastosować tę ogólną teorię prawdy do językoznawstwa – nauki najbardziej ścisłej wśród nauk humanistycznych – możemy ją strawestować następująco: dana teoria językoznawcza jest prawdziwa, jeśli opis mechanizmów języka i jego konsekwencje pozwalają nam mechanizmy te odtworzyć i je przekształcać. Stąd już stosunkowo prosta droga, przynajmniej w wymiarze intelektualnym i konceptualnym, do zastosowania opisów wynikających z danej teorii językoznawczej do tłumaczenia automatycznego, bo nic lepiej nie sprawdzi jej poprawności jak jakaś wersja, na początek cyfrowa, reprezentująca kompetencje językowe i tłumaczeniowe, którymi się posługujemy na co dzień, i odtwarzająca te kompetencje. W pracach nad tłumaczeniem automatycznym staramy się bowiem odkryć w języku oraz w umyśle te mechanizmy, które pozwalają ludziom rozumieć język, posługiwać się nim i w konsekwencji przekładać go na inny. Jak to zrobić? To niezwykle złożone i trudne zadanie. Najpierw trzeba wiedzieć, jakie procesy myślowe zachodzą w naszych umysłach, a potem je odpowiednio cyfrowo odtwarzać i przekształcać. W przypadku tłumaczenia automatycznego musimy poznać

strukturę morfologiczną, syntaktyczną i semantyczną obu języków i przenieść całość danej struktury niosącej określone znaczenie na odpowiednią strukturę w innym języku. Obecnie w naszych badaniach kładziemy nacisk przede wszystkim na to, co stanowi jeden z największych problemów w tłumaczeniu automatycznym, czyli wieloznaczność słów. O tej wieloznaczności nie mówi się generalnie wtedy, gdy myślimy o językach specjalistycznych. W Zakładzie Językoznawstwa Stosowanego i Translatoryki Instytutu Języków Romańskich i Translatoryki Uniwersytetu Śląskiego od ponad 15 lat prowadzimy badania nad językami specjalistycznymi, mamy w tej chwili ponad 150 słowników języków specjalistycznych sporządzonych według opracowanej przez nas metody opisu „modyfikujący – modyfikowany”. W tego typu językach mikroświatów wieloznaczność właściwie się nie pojawia, natomiast jest bardzo częsta w języku ogólnym, co jest o tyle zrozumiałe, że słowa języka ogólnego muszą spełnić wiele funkcji, a jednocześnie nie powinno być ich za dużo, ze względu chociażby na nasze ograniczenia memoryczne i przetwarzania informacji. Stąd często się przypomina, że znajomość około 2000 słów danego języka wystarczy do całkiem dobrego komunikowania się w tym języku. Stąd też w sposób całkowicie zrozumiały słowa te, najczęściej używane, mając do spełnienia mnogość przeróżnych funkcji, będą miały także wiele różnych znaczeń. Nasze podejście do rozwikłania wieloznaczności jest konsekwencją określonego całościowego spojrzenia na istotę języka. Dla językoznawców jest oczywiste, że jeśli wypowiada się lub pisze jakieś słowo albo zdanie, to ono zawsze jest zanurzone w dużej ilości innych zdań i słów. Wyizolowane słowo na dobrą sprawę nic nie znaczy, co najwyżej przypisujemy mu jakieś znaczenie i wyobrażenia, pewnie te, które mu przypisujemy najczęściej w jakimś kontekście, najbardziej dla nas typowym, zapewne także najczęstszym, ale w „normalnym” tekście słowa i zdania znaczą o tyle, o ile są powiązane ze znaczeniami innych słów i zdań. To jest istota tzw. analizy kontekstu, czy też eksploracji kontekstowej,

którą wykorzystujemy w naszych badaniach i ich zastosowaniach. Bardzo ogólnie rzecz ujmując, możemy powiedzieć, że dążymy do bardzo precyzyjnego opisania typów obiektów znajdujących się „na lewo” i „na prawo” od słowa, które analizujemy w danej strukturze. Ta analiza doprowadza nas do wydobywania z opisywanej przez dany język rzeczywistości (nie samej rzeczywistości) klas i podklas obiektów, które w odpowiedniej strukturze gramatycznej i konfiguracji z danym słowem „na lewo” i „na prawo” określają jego sens. To pozwala nam określić także, w pierwszym przybliżeniu, jego najbardziej adekwatny odpowiednik w języku docelowym. Rzeczywistość jest jednakowoż jeszcze bardziej złożona. Nie ma bowiem izomorfizmu, ścisłej odpowiedniości pomiędzy słowami ich użyciem w różnych językach. Toteż aby znaleźć jak najbardziej adekwatne odpowiedniki danego słowa w języku, na który tłumaczmy, poza tą analizą, czyli badaniem kontekstowym tego, co „na lewo” i „na prawo”, sięgamy jeszcze do porównywania, „matchingu”, pól semantycznych, których częścią są słowa z określonym znaczeniem w języku wyjściowym i języku „dojścia”. Czasami jednak taka wyjściowa analiza konfiguracji typów obiektów „na lewo” i „na prawo” od danego słowa, zamknięta w jednym zdaniu, nie jest wystarczająca. Okazuje się bowiem, że informacja na temat tego, jakie są typy obiektów „na lewo” i „na prawo”, jakie jest miejsce w polu semantycznym danego słowa, nie jest do odtworzenia, jeśli ograniczać się tylko do danego zdania. W konsekwencji często sięgamy do szerszego kontekstu, do zdań poprzedzających i następnych i analizujemy ich tak dużo i tak dokładnie – tyle ile trzeba – aż znajdziemy finalnie odpowiednie zróżnicowanie kontekstu, określające jego znaczenie. To jednak może jeszcze nie być koniec naszych analiz, bo może się okazać, że w niektórych wypadkach w języku wyjściowym występuje niedookreślone znaczenie wyjściowe słowa w zderzeniu z możliwą większą specyfikacją, większym stopniem granularności, szczegółowości, opisu rzeczywistości, w języku „dojścia”. Jednym z takich przypadków jest

np. używanie francuskiego słowa *conseil*. W języku polskim jego odpowiednikami mogą być i *rada*, i *porada*. Podobnie, choć bynajmniej nie identycznie, zachowuje się w niektórych przypadkach użycia francuskie słowo *demande*, które może być tłumaczone jako *prośba* albo *wniosek*, ale czasem nawet w szerokich kontekstach, a nawet całych tekstach, nie znajdujemy elementów, które wyraźnie wskazują, że jest to *wniosek*, a nie *prośba*.

A to bardzo istotna różnica...

Na szczęście takich przypadków niedookreśloności nie ma wiele, niemniej są one istotne i to właśnie te kwestie różnych aspektów niedookreślenia, *vagueness*, czy to systemowego, czy to okazjonalnego, jak powyżej, są jedną z trudniejszych rzeczy do pokonania w tłumaczeniu automatycznym. Aby rozwiązać tego typu problemy, nadajemy świadomie proponowanym tłumaczeniom charakter preferencyjny. Oznacza to, że danego proponowanego tłumaczenia nie uznajemy za jedyne właściwe i możliwe. Jeżeli wszystkie warunki zostały spełnione, precyzyjnie opisana struktura, a także konteksty „na lewo” i „na prawo”, klasy odpowiednio skategoryzowane, to umiejscowienie znaczenia danego słowa w całym polu semantycznym musi polegać często także na odniesieniu do tego, co w zdaniach „przed” i „po” realizuje pewne kadry lub skrypty opisujące dany fragment rzeczywistości, w której zanurzone jest zdanie (kadry to reprezentacja jakiejś sytuacji statycznej, skrypty natomiast to reprezentacje realizacji jakiejś sytuacji dynamicznej, pewnej sekwencji działań prowadzącej do jakiegoś celu). Wszystkie te ruchy analityczne pozwalają na określenie preferencyjnie najbardziej odpowiedniego tłumaczenia danego słowa i zdania.

Takie badania są niezwykle doświadczeniem, bo wchodzimy w ten sposób w istotę funkcjonowania naszego umysłu. Gdy analizujemy tekst i opracowujemy jego reprezentację, przekładamy ją następnie w określony sposób w określonym języku programowania, np. zorientowanym obiektowo, typu C++, staramy się spowodować, aby program komputerowy czy

też maszyna mógł imitować, odtwarzać, nasz sposób działania. Istnieje jednakowoż jedno ważne ograniczenie takiego podejścia, które niwelujemy przez zastosowanie podejścia preferencyjnego. Istnieją bowiem w kontekście, o którym mówimy, dwa generalne podejścia do funkcjonowania języka. Jedno można streścić skrótowo w ten sposób, iż naszym celem jest jak najdokładniejsze opisanie wszystkich możliwych kontekstów użycia danego słowa, co powinno umożliwić nam odpowiednie jego przetłumaczenie. To jest podejście komputacyjne, oparte na dużej bazie opisanych klas obiektów i reguł. Zakłada ono bardzo szczegółową analizę tego, co jest w zdaniu obok badanego elementu, i tego, co jest obok zdania. Drugie podejście natomiast opiera się na dodaniu do tak ujętego procesu tłumaczenia elementu heurystycznego, nie kalkulowanego w postaci prostego przeliczenia zbioru elementów. Gdy spotykamy jakieś słowo w jakimś języku, które ma pewną liczbę znaczeń, to generalnie ta liczba znaczeń powinna być powiązana jakimś wspólnym mianownikiem, który jest rodzajem inwariantu semantyczno-kognitywnego, tworzonego w naszej reprezentacji wszystkich użyc danego słowa, jest tym, co je spaja, różne jego użycia, w jednej formie, w jednym słowie. Ten drugi ogłód rzeczywistości językowej uzupełnia pierwszy. Mówiąc ogólnie: jeśli mamy kilka użyc danego słowa nadających mu różne znaczenia, to instynktownie robimy tak, ucząc się języka, wydobywamy z nich pewien schemat znaczeniowy, inwariant semantyczno-kognitywny, który pozwala nam używać danego słowa w każdym z tych kontekstów. Gdyby nie było tego schematu, to nie byłoby żadnego uzasadnienia, aby użyć tego słowa w jakimś nowym, nietypowym kontekście, który w danej chwili analizujemy. Jest to jednocześnie wynik założenia o racjonalności naszego myślenia, racjonalności używania przez nas znaków i naszego działania. Ta racjonalność zakłada także tezę dla nas oczywistą, że jeśli istnieją w systemie dwa słowa, to są one po coś, czyli muszą się czymś różnić, bo normalnie, poprawnie funkcjonujący system biologiczny, ograniczony swoimi możliwościami

percepcyjnymi, memorycznymi, przetwarzania informacji i energetycznymi, nie dopuszcza redundancji. Pozwala on zasadniczo tylko na istnienie tego, co ma określony sens funkcjonalny, a więc – w tym przypadku – różnicowanie znaczeń. Gdy w systemie występują dwa słowa bliskoznaczne, np. *rada* i *porada*, to musi istnieć między nimi jakaś różnica, bo inaczej wyszłyby z obiegu językowego. Słowa czasami mogą funkcjonować jednocześnie, w okresie „przejściowym”, ale po pewnym czasie, jeśli słowo całkowicie nie zniknie, plasuje się w innym rejestrze, często archaicznym. Wróćmy jednak do przerwanej wątku. Podejście komputacyjne, czyli przeliczeniowe, jest uzupełniane zatem o heurezę, czyli o pokazanie tego, co jest wspólne dla wszystkich użyć danego słowa, i umożliwienie jego funkcjonowania, w całkowicie nowych kontekstach, o ile użycie mieści się w ramach określonego inwariantu semantyczno-kognitywnego. Komputacja jest niezbędna, aby maszyna – np. komputer – mogła bezbłędnie przeanalizować dotychczasowe dane. Heureza służy natomiast wychwyceniu tego, co jest wspólne wszystkim użyciom i pozwala funkcjonować nowemu użyciu, temu, co jest nowe, co nie mogło zatem jeszcze podlegać komputacji i mogłoby być potraktowane przez system jako błędne. Połączenie komputacji z heurazą pozwala nam doprowadzić do tłuma-

czenia preferencyjnego, które generalnie jest poprawne, a będąc przez heurazę otwartym, daje szanse także na poprawne preferencyjne tłumaczenia w kontekstach jeszcze nieistniejących.

Czy zechciałby Pan Rektor, za pośrednictwem „Konspektu”, przekazać środowisku akademickiemu Uniwersytetu Pedagogicznego jakąś myśl przewodnią, sentencję, związaną z Pana doświadczeniem jako naukowca, Rektora Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, oraz Przewodniczącego Konferencji Rektorów Szkół Akademickich?

Na nas wszystkich – ludziach uniwersytetu – spoczywa wielka odpowiedzialność za propagowanie wiedzy i „rozumu naukowego”, za kształtowanie postaw i zachowań młodych ludzi, za rozbudzanie w nich świadomości obywatelskiej. Od jakości naszych działań zależy bardzo wiele, także przyszłość naszego kraju i Unii Europejskiej. Jako środowisko naukowe powinniśmy dawać podstawy do jak najlepszego rozwoju naszego kraju, a to, czego dokonamy, stanie się dobrym dziedzictwem dla kolejnych pokoleń.

Dziękuję za rozmowę. ■

Rozmawiał Marcin Kania

GABRIEL SZUSTER

Dlaczego świętujemy 11 maja?

W historii naszej Uczelni jest kilka bardzo ważnych dat: 11 maja 1946 r., 24 września 1946 r. oraz 29 września 1973 r. Dwie pierwsze związane są bezpośrednio z genezą Uczelni, ostatnia natomiast to ważna cezura w dziejach Wyższej Szkoły Pedagogicznej (WSP). Swoją artykuł zacząć jednak od omówienia dwóch ostatnich.

24 września 1946 r., zgodnie z zarządzeniem Ministra Oświaty Czesława Wycecha, uruchomiono Państwową Wyższą Szkołę Pedagogiczną (PWSP, która pod tą nazwą funkcjonowała do 1952 r.) – uczelnię wyższą o charakterze nieakademickim¹. Podobne uczelnie powstały również w Gdańsku, Łodzi i Wrocławiu. Spośród nich krakowska PWSP miała najlepsze zaplecze, ponieważ jeszcze przed wojną funkcjonowało w Krakowie wiele szkół i instytucji kształcących nauczycieli, m.in.: Wyższe Kursy Nauczycielskie, Studium Pedagogiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, Państwowe Pedagogium, którego w pewnym sensie – jako Uniwersytet Pedagogiczny – jesteśmy spadkobiercami. Właśnie po Pedagogium PWSP odziedziczyła budynek, kadre i jeden rocznik studentów².

¹ Por. Archiwum Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie (dalej: AUPKr), Akta WSP, Korespondencja 1946–1961, sygn. 125/61 (materiał bez paginacji); zob. Rozporządzenie Ministra Oświaty. Co ciekawe, zarządzenie to, zgodnie z paragrafem drugim, weszło w życie 1 września 1946 r., czyli wcześniej, niż zostało wydane.

² Por. J. Garbacik, *Z dziejów Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (1946–1956). Część ogólna*, [w:] *Dziesięciolecie Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie 1946–1956. Zbiór rozpraw i artykułów*, pod red. W. Szyszkowskiego, Kraków 1957, s. 12; AUPKr, Akta

Wojna i okupacja spowodowały bardzo duże straty osobowe w środowisku nauczycieli, dlatego jednym z priorytetów stała się odbudowa kadry nauczycielskiej. Kierujący ówczesnym ministerstwem oświaty zdawali sobie sprawę, że kursy doszkolające nie wystarczą, aby wykształcić pełnowartościowych nauczycieli. PWSP oferowała trzyletnie studia wyższe, na których szczególnie ważne były: pedagogika, metodyka oraz przedmioty specjalistyczne z danej dziedziny nauczania³.

Istotne znaczenie ma data 29 września 1973 r., łącząca się z nadaniem WSP na mocy rozporządzenia Rady Ministrów imienia Komisji Edukacji Narodowej⁴. Warto w tym miejscu wspomnieć o zeszlórocznych obchodach dwustuczterdziestolecia powstania Komisji Edukacji Narodowej oraz czterdziestolecia nadania imienia naszej Uczelni, które miały szeroki odzew w środowisku akademickim Krakowa.

Kolejnym dniem rocznicowym jest 11 maja, uznawany za dzień założenia Uczelni. W 1946 r. Ministerstwo Oświaty powołało do życia Komitet

WSP. Korespondencja 1946–1961, sygn. 125/61 (materiał bez paginacji), zob.: pismo Ministerstwa Oświaty z 15 października 1946 r. w sprawie likwidacji Państwowego Pedagogium.

³ Por. Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Ministerstwo Oświaty, Rząd Tymczasowy, sygn. 234/3, s. 1; AUPKr, Akta WSP, Uroczystości i obchody, Stale Komisje Senatu etc., sygn. 206/68 (materiał bez paginacji); zob. Rys historyczny uczelni.

⁴ Por. G. Szuster, *Czterdziestolecie nadania imienia Komisji Edukacji Narodowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie*, „Konspekt” 2013, nr 4 (49), s. 28–31.

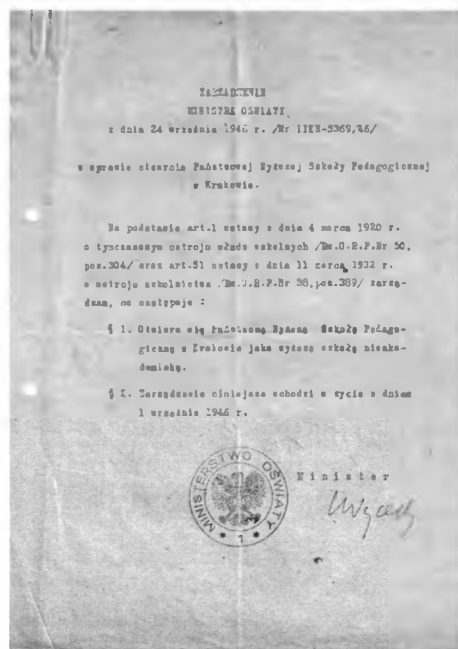
Organizacyjny PWSP w Krakowie. Jego przewodniczącym został prof. Stefan Szuman, a zastępcą docent Wanda Bobkowska. W skład Komitetu wchodził także dr Stanisław Skalski. Członkowie Komitetu byli związani ze środowiskiem naukowo-oświatowym Krakowa. Prof. S. Szuman był kierownikiem Katedry Psychologii Wychowania Uniwersytetu Jagiellońskiego i wybitnym pedagogiem, dr Bobkowska – również z UJ – była przedwojenną dyrektorką krakowskiego Pedagogium, dr Skalski natomiast sprawował urząd naczelnika Wydziału Kształcenia Nauczycieli Kuratorium Okręgu Krakowskiego.

Do głównych zadań Komitetu należało stworzenie warunków organizacyjno-programowych do uruchomienia pracy nowej uczelni. Kadra PWSP miała rekrutować się, jak już wspomniałem, z pracowników Pedagogium oraz UJ⁵, a także przedwojennych gimnazjów⁶. Po wykonaniu swojej pracy Komitet został rozwiązany, a na jego miejsce 1 października 1946 r. powołano stałą władzę uczelni. Dyrektorem został prof. S. Szuman, a jego zastępcą dr Skalski. Dopiero w roku akademickim 1949/1950 została nadana funkcja rektora, którą otrzymał prof. Kazimierz Piwarski, znakomity historyk z UJ. Pierwszym rektorem wybranym przez Senat Uczelni został w roku 1956 prof. Wincenty Danek⁷. Inauguracja pierwszego roku akademickiego w historii Uczelni odbyła się

⁵ Pierwszą siedzibą PWSP/WSP był budynek przy ul. Straszewskiego 22 w Krakowie (obecnie siedziba PWST).

⁶ Pierwszymi wykładowcami byli: Włodzimierz Galecki, Wincenty Danek, Kazimierz Wyka, Ludwik Piotrowicz, Zofia Krygowska, Wanda Bobkowska i in. W latach pięćdziesiątych głównym inicjatorem współpracy z nauczycielami gimnazjów był prof. Wincenty Danek. Przykładem może być postać prof. Władysława Szyszkowskiego, który przed wojną był urzędnikiem ministerialnym do spraw języka polskiego w szkołach średnich i zwolennikiem reform Janusza Jędrzejewicza, zaś po wojnie został zatrudniony na naszej Uczelni. Por. wywiad z profesorem Zenonem Urygą, przeprowadzony 20 września 2013 r. przez Gabriela Szustera.

⁷ Por. Z. Ruta, *Władze uczelni*, [w:] *Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie w latach 1946–1981*, red. Z. Ruta, „Prace Monograficzne WSP” 43, 1981, s. 32–35.



Tekst zarządzenia Ministra Oświaty z 24 IX 1946 r.

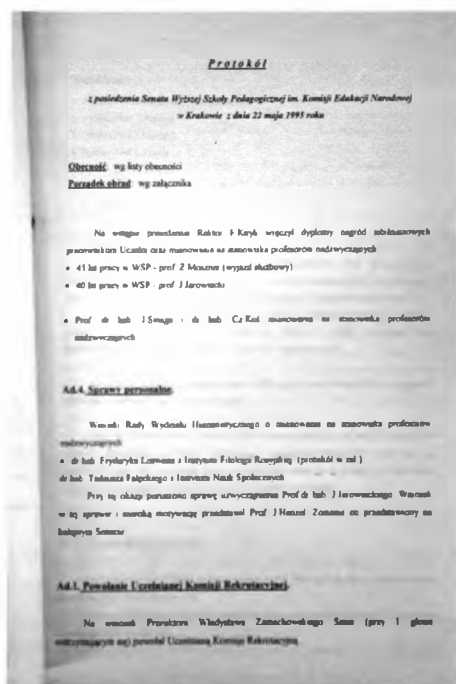
25 października 1946 r. Z tej okazji dyrektor Szuman wygłosił wykład inauguracyjny, zatytułowany *Wyższe szkoły pedagogiczne jako nowy typ uczeni w Polsce*⁸.

Od kiedy jednak dzień 11 maja obchodzimy jako święto naszej Uczelni? Decyzję o wyborze daty podjął Senat WSP pod przewodnictwem JM Rektora prof. Feliksa Kiryka 22 maja 1995 r. Wniosek ten został przyjęty przy jednym głosie sprzeciwu i jednym głosem wstrzymującym się⁹. Wpisanie tego dnia jako święta Uczelni obok 14 października wywołało zainteresowanie członków Senatu¹⁰.

⁸ Z. Tabaka, *Organizacja i rozwój Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie*, [w:] *Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie w pierwszym piętnastoletnim rozwoju 1946–1960*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP” 18, 1965, s. 9–10.

⁹ Por. AUPKr, Biuro Rektora (dalej: BR), Senat 1994/5 do 1995/6, sygn. 1376/1 (materiał bez paginacji); zob. Protokół z posiedzenia Senatu WSP im. KEN w Krakowie z dnia 22 maja 1995 r.

¹⁰ Tamże, zob. Protokół z posiedzenia Senatu WSP im. KEN w Krakowie z dnia 15 stycznia 1996 r.



Protokół z posiedzenia Senatu WSP, 22 V 1995 r.

Nieprzypadkowo decyzja ta zapadła w 1995 r. W następnym roku przypadały bowiem obchody pięćdziesięciolecia istnienia Uczelni. JM Rektor prof. Feliks Kiryk prosił o: „Wsparcie przygotowań i serdeczną pomoc w organizacji imprez Jubileuszowych. [...] Jubileusz stanie się światem wszystkich pracowników i studentów, a także dobrą okazją do refleksji nad drogą już przebytą”¹¹.

Główna część uroczystości jubileuszowych przypadła na dni 9–11 maja. Do organizacji uroczystości powołano komitet honorowy, w skład którego wchodził Rektorzy WSP z lat 1975–1996¹², Marszałek Sejmu RP Józef Zych, Minister Edukacji Narodowej Jerzy Wiatr, Kardynał Metropolita Krakowski Franciszek Machar-

¹¹ Tamże, zob. Apel do społeczności Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

¹² Byli to profesorowie: Bolestaw Faron, Feliks Kiryk, Zenon Moszner, Mieczysław Rozmus, Zenon Uryga, Tadeusz Zientara.

ski oraz wojewodowie i przedstawiciele władz Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności.

Na jubileusz zaproszono wielu znakomitych gości, przedstawicieli władz krajowych, samorządowych oraz uczelnianych. Pierwszy dzień obchodów rozpoczął się od spotkania władz Uczelni z seniorami w auli WSP przy Podchorążych 2. Następnego dnia została odprawiona przez księdza Kardynała Franciszka Macharskiego¹³ uroczysta msza święta w katedrze warszawskiej. Podczas tego nabożeństwa Senat Uczelni po raz pierwszy wystąpił w togach. Na posiedzeniu 29 kwietnia 1996 r. większością głosów przyjął bowiem wniosek, aby na tę uroczystość przywdziać togi¹⁴. Togi można zresztą

¹³ Kardynał Franciszek Macharski był jednym z uczniów wspomnianego wyżej Państwowego Pedagogium; zob. F. Macharski, *Widziane z Franciszkańskiej*, Kraków 2001.

¹⁴ AUPKr, BR, *Senat...*; zob. Protokół Posiedzenia Senatu WSP im. KEN w Krakowie z 29 kwietnia 1996 r.



Tablica pamiątkowa poświęcona prof. Wincentemu Dankowi – Rektorowi WSP w latach 1956–1971 (fot. M. Kania)

też zauważyć na portretach kolejnych rektorów¹⁵. W tym samym dniu odbył się Koncert Pięćdziesięciolecia, prowadzony przez Zbigniewa Książka. W ostatnim dniu obchodów miało miejsce uroczyste posiedzenie Senatu oraz wieczorny koncert w Filharmonii Krakowskiej, który poprowadził Marek Pijarowski¹⁶.

Można by zapytać, dlaczego Senat wybrał właśnie dzień 11 maja? Przyczyn można doszukiwać się w tym, że powołanie komitetu organizacyjnego 11 maja 1946 r. było jednym z najwcześniejszych spośród ważnych wydarzeń w historii Uczelni. Przez uroczyste obchodzenie właśnie tej rocznicy oddajemy corocznie hołd naukowcom, którzy kładli podwaliny pod nasz Uniwersytet. Ponadto świętowanie daty wrześniowej byłoby bardzo utrudnione, ponieważ jest to jeszcze okres wakacji akademickich.

Do stałych uroczystości Uczelni należą także obchody Dnia Edukacji Narodowej połączone z inauguracją roku akademickiego oraz immatrykulacją studentów pierwszego roku. Jak wiadomo, dzień ten przypada na 14 października i związany jest z powołaniem do życia w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej. Instytucja ta była

¹⁵ *Państwowe Pedagogium, Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Akademia Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej. Najstarsza uczelnia pedagogiczna w Polsce*, [oprac. i wybór tekstów J. Krukowski], Kraków 2006, s. 18.

¹⁶ Por. AUPKr. BR, Święto uczelni 1996–2002, sygn. 1376/3 (materiał bez paginacji).



Medal upamiętniający jubileusz 30-lecia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (fot. M. Kania)

pierwszym ministerstwem oświaty we współczesnym znaczeniu nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie.

W ciągu 70 lat istnienia naszej Uczelni miało miejsce wiele wydarzeń godnych upamiętnienia, które należy świętować. Każdy student czy pracownik Uniwersytetu Pedagogicznego powinien mieć świadomość znaczenia tego, co wydarzyło się 11 maja 1946 r. Dlatego też zachęcam do zapoznania się z kalendarium ważniejszych wydarzeń Uczelni¹⁷. ■

¹⁷ *Państwowe Pedagogium, Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna...*, dz. cyt., s. 10–19.

MAREK WILCZYŃSKI

„Humany-tumany”

Nie tak dawno w programach polskiej telewizji publicznej pojawiła się „reklama” (nie wiem, czy można to tak nazwać, ale ten kilkudziesięciosekundowy filmik emitowany był zazwyczaj po lub przed blokiem reklam), przedstawiająca tłumek mizernie wyglądających młodych ludzi, którzy tłoczą się przed tablicą ogłoszeń w urzędzie pracy. Zrezygnowane twarze i w ogóle postawa tych nieszczęśników mówiły same za siebie – dla takich pracy nie ma! Nagle pojawiał się młody, uśmiechnięty, dostatnio wyglądający człowiek, który mijał ich, nie zauważając, i podążał w kierunku ściany, z której w czarodziejski sposób wylaniały się postaci pracodawców, kuszących młodego herosa naszych czasów a to plikami banknotów, a to kluczami do służbowego auta, a to najnowszym modelem kultowego smartfona. Ukoronowaniem i puentą był mistrzowski najazd kamery na siedzącą w fotelu prof. dr hab. Barbarę Kudrycką, ówczesną Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego, która kończyła ten filmik wezwaniem do wyboru studiów ścisłych i technicznych.

Dla oglądającego było jasne: gromada nędzarzy w urzędzie pracy to absolwenci kierunków humanistycznych, którzy przez idiotyczny wybór zupełnie „nierozwojowych” dyscyplin skazali się na wegetację na skraju śmierci głodowej. Było to jasne tym bardziej, że w mediach już od dłuższego czasu robiono wszystko, by kandydatom na studia odradzić czy nawet obrzydzić kierunki humanistyczne. Prasę i Internet zalewała fala artykułów, których autorzy bezrefleksyjnie i bez jakichkolwiek przekonujących dowodów statystycznych informowali, że studiują-

cych kierunki humanistyczne jest za dużo, że zatrudnienie można zdobyć jedynie po kierunkach ścisłych, biologicznych, a najlepiej technicznych. Głównymi chłopcami do bicia stały się: filozofia, historia, filologia polska, a także politologia, stosunki międzynarodowe czy socjologia, wrzucone do jednego worka z naukami humanistycznymi. Miarą kompetencji naszych dziennikarzy jest już samo powyższe zestawienie. Człowiek mający elementarną wiedzę o obecnym systemie funkcjonowania polskiego szkolnictwa wyższego orientuje się, że trzy ostatnie z wymienionych dyscyplin nie należą do nauk humanistycznych, tylko do nauk społecznych. To nie przeszkadzało jednak prasowym „ekspertom” od edukacji wyższej i zatrudnialności absolwentów. Przez internetowe fora przetoczyła się ogromna fala animowanej artykułami prasowymi dyskusji, w której starano się nie tylko udowodnić „nieprzydatność” humanistyki, ale także i to, że studia humanistyczne wybierają ludzie niezdolni intelektualnie do podjęcia innych studiów. Ten kolejny etap propagandowej kampanii, czyniący pośrednio durniów z Platona, Hegla, von Rankego, Mommsena i wielu innych (wszak byli za głupi, by poświęcić się pragmatycznym studiom technicznym!), stanowił szczególnie obrzydliwy element tej całej propagandowej akcji, który zaowocował rzeczywistym zdeprecjonowaniem znaczenia nauk humanistycznych, spadkiem zainteresowania nimi i występującą już w szkole średniej pogardą dla tych, którzy mimo wszystko z zamiłowania wybrali profil humanistyczny. Kwintesencją opisywanego zjawiska jest tytułowe powiedzenie „humany-tumany”, niezwykle popu-

larne wśród uczniów jednego z renomowanych krakowskich liceów.

Ostatnio chór krytyków humanistyki w mediach nieco przycichł. Dysponujemy też wiarygodnymi analizami *employability* absolwentów, niekoniecznie potwierdzającymi prognozy braku pracy dla absolwentów filozofii, historii czy filologii polskiej. W tej sytuacji, patrząc na medialną historię ostatnich lat należy zadać dwa pytania: Czy było wolno? I czy było warto?

Czy było wolno? Zdaniem animatorów całej tej antyhumanistycznej historii oczywiście było wolno, a nawet była to wyższa konieczność dziejowa (to wyrażenie wydaje mi się dziwnie znajome). Rozwój techniczny i stały wzrost gospodarczy, jak przekonywali, wymagają przygotowania odpowiedniej liczby fachowców, a w Polsce ciągle takich brak. Stąd konieczność motywowania do podejmowania studiów technicznych, hasła „dziewczyny na politechniki” (też brzmi znajomo, choć w czasach, z których hasło pamiętam, nie chodziło o politechniki), wykazywanie korzyści płynących z wyboru takiej właśnie drogi kształcenia. Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że w dzisiejszym świecie rozwój techniczny jest niezbędny, a kształcenie w tym kierunku ma sens, ale nikt też nie zaprzeczy, że niedobór fachowców nie jest wynikiem polityki oświatowej. Polscy absolwenci szkół technicznych są dobrze przygotowani do pracy i do stosowania nowoczesnych technologii. Sukcesy, jakie odnoszą w licznych firmach w kraju i jeszcze liczniejszych za granicą, to potwierdzają. Problem tylko w tym, że warunki ekonomiczne, a może jeszcze bardziej nawet niestabilna polityka w zakresie podatków czy kosztów pracy powodują, że szanse na prawdziwą karierę znajdują nie w kraju, ale za granicą. Czy masowy nabór na uczelnie techniczne to zmieni? Uczelnie te chętnie przyjmują możliwie największą liczbę studentów na pierwszy rok, a równocześnie narzekają, że poziom kompetencji zrekrutowanych studentów katastrofalnie spada, co nie dziwi, bo ilość niemal nigdy nie idzie w parze z jakością. W perspektywie istnieją dwa wyjścia: albo rzeczywisty odsiew, czyli rzeź najpóźniej na drugim roku, albo za-

nizienie poziomu. Zanizenie poziomu nikomu nie wyjdzie na zdrowie, a przy pierwszym rozwiązaniu należy zadać pytanie o koszty zarówno psychologiczne, jak i finansowe (np. wykorzystanie puli punktów ECTS), jakie poniosą zarówno „odstrzeleni”, jak całe społeczeństwo. Mimo wszystko jednak różne formy zachęty uzdolnionych w zakresie nauk ścisłych i technicznych kandydatów do podejmowania studiów zgodnie z ich zainteresowaniami są potrzebne i tego nikt nie neguje. Sprzeciw musi budzić natomiast sztuczne kreowanie naboru na kierunki ściśle przez deprecjację nauk humanistycznych. Tego zrobić nie było wolno! Jeżeli według danych Eurobarometru 2010 wśród kompetencji oczekiwanych przez pracodawców umiejętność sprawnego czytania i pisanja zajmuje wysokie miejsce (57%), obok tak samo ocenianej umiejętności analizowania i rozwiązywania problemów, a zdaniem pracodawców zadowalająco opanowało ją 30% zatrudnianych (Eurobarometr 2010), to czy wolno było tworzyć w społeczeństwie przekonanie, że „pani od polskiego” nie jest nikomu potrzebna, a w dodatku jeszcze głupia (wybrała kierunek humanistyczny)? Czy wobec wspomnianych oczekiwań dotyczących umiejętności analizowania, rozwiązywania problemów, logicznego myślenia wolno było piętnować podejmujących studia filozoficzne czy historyczne jako ograniczonych umysłowo nieudaczników, z góry skazanych na strukturalne bezrobocie? Gdzie zatem przyszły pracownik ma się nauczyć poszukiwać informacji, analizować ją logicznie, opracowywać wnioski itd.? Dodać należy jeszcze, o czym media polskie milczały przez ostatnich kilka lat, że strategię rozwoju Europy, łącznie ze strategią lizbońską i dokumentem ustanawiającym Unię Europejską kładą nacisk nie tylko na rozwój gospodarczy, ale i na zachowanie różnorodności kultur oraz języków europejskich, a także podtrzymanie tożsamości kulturowej i narodowej. O znaczeniu filozofii, historii, znajomości języka i kultury ojczystej dla rozwoju tożsamości – od małej ojczyzny, przez kraj, aż po Europę – nie ma sensu się obszerniej rozpisywać. Tych, którzy je dostrzegają, przeko-

nywać nie trzeba, a tych, którzy go nie widzą lub, co gorsza, z jakichś przyczyn dostrzegać nie chcą, i tak nie przekonają wywody humanumana.

Czy było warto? Odpowiedź na to pytanie trzeba rozłożyć na dwie części. Nie ulega wątpliwości, że warto było zachęcić uczniów szkół ponadgimnazjalnych wykazujących zdolności w zakresie nauk ścisłych i techniki do podejmowania studiów w zakresie posiadanych uzdolnień i zainteresowań. W ramach rozsądnej polityki oświatowej nie wolno marnować talentów, podobnie jak w ramach rozsądnej polityki społecznej i gospodarczej nie wolno dopuszczać do wypływu tych talentów na stałe poza granice kraju i sferę działania polskiej gospodarki. Należy mieć nadzieję, że nadejdzie czas, gdy rządzący naszym krajem wykażą jednakową determinację zarówno na jednym, jak i na drugim polu. Rozpatrzenie drugiego aspektu pytania „czy było warto?”, czyli czy było warto osłabiać pozycję nauk humanistycznych i przez animowanie medialnej nagonki doprowadzić niemal do zaniku rekrutacji na kierunki humanistyczne na licznych polskich uczelniach, zajmie nieco więcej miejsca. Przyszły student bombardowany był nieustannymi informacjami, że ukończenie studiów humanistycznych nie gwarantuje sukcesu na rynku pracy, ponieważ humanistów jest w kraju za dużo, a pracodawcy poszukują wysoko wykwalifikowanych kadr technicznych. Wrzucono przy tym filologię, filozofię i historię do jednego worka z naukami społecznymi, takimi jak politologia, stosunki międzynarodowe, zarządzanie itd. W ten sposób wprowadzono opinię publiczną w błąd. Wystarczy sięgnąć do raportu GUS *Szkoty wyższe i ich finanse w 2012 r.*, by dowiedzieć się, że na 1 676 927 studiujących w Polsce w zakresie nauk humanistycznych i nauk o sztuce (łącznie!!!) kształciło się 149 576 studentów, natomiast – dla porównania – w zakresie obszaru nauk społecznych – 777 566 studentów (603 161 studiowało nauki społeczne bez pedagogiki + 174 405 dyscypliny pedagogiczne). Liczba kształconych humanistów i artystów razem wziętych porównywalna jest z liczbą stu-

diujących nauki ścisłe i biologiczne (144 151) czy też nauki o zdrowiu (135 314), a o połowę niższa od liczby studentów nauk technicznych (286 807). W świetle tych danych nie wydaje się, by istotnie w naszym kraju kształcono zbyt wielu humanistów. Nie jest też prawdą, że humanistów kształci się w Polsce więcej niż przedstawicieli nauk ścisłych i technicznych, bo sumaryczna proporcja jednych i drugich jest jak 1 : 3. Drugim argumentem było rzekome bezrobocie szalejące wśród absolwentów studiów humanistycznych. Dziennikarze piszący i politycy wypowiadający się na ten temat uważali, że szkoła wyższa powinna wykształcić absolwenta tak, by po studiach natychmiast znalazł pracę w wyuczonym zawodzie. Oczekiwania te niewiele mają wspólnego z promowanym przez proces boloński dążeniem do zapewnienia absolwentowi *employability*. Przypomnieć należy, że *employability* to zdolność do zdobycia i utrzymania zatrudnienia na zmiennym rynku pracy, a nie podjęcie pracy w wyuczonym zawodzie i przepracowanie na uzyskanym stanowisku całego życia. Taki model jest już dzisiaj przeżytkiem. Model kształcenia zawodowego, najlepiej w zakresie zawodu związanego z produkcją, jest typowy dla społeczeństwa doby industrialnej, czyli dziś odchodzącego do historii. Społeczeństwo postindustrialne rozwija z nieznanym dotychczas rozmachem sektor usług i nowe zjawisko, jakim jest rynek czasu wolnego, na którym obok kompetencji czysto fachowych (*skills*) coraz bardziej liczą się kompetencje uniwersalne, miękkie (*generic competences*), czyli kreatywność, elastyczność, komunikatywność, umiejętność poszukiwania i interpretacji informacji itd. Eksperyment marginalizacji znaczenia nauk humanistycznych w edukacji wyższej ma już za sobą RFN, ma też i Wielka Brytania. W przypadku naszych zachodnich sąsiadów powraca się już od dłuższego czasu do modelu zrównoważonego, pełnego i wielodyscyplinarnego kształcenia akademickiego, a sympatyczni wyspiarze na swoim rynku pracy mają nadmiar inżynierów, a niedobór humanistów. Podobnie może być już niedługo i u nas. Całą prawdę o zatrudnialności i sytuacji na rynku

pracy pokażą dopiero badania za kilka lat, kiedy widoczne będą skutki umasowienia studiów technicznych. Ta sfera edukacji wyższej jak żadna inna podlega też zachwianiom rynku. Przykładem są choćby absolwenci mechaniki samochodowej, którzy przed początkiem kryzysu w 2008 r. bywali prawdziwymi krezusami, ale dziś, po zaledwie sześciu latach, na pewno się do nich nie zaliczają.

Refleksja nad tym, czy warto było marginalizować humanistykę, wkroczyła niedawno na nowe tory. Pewną nadzieję dały wypowiedzi tych, którzy zdaniem mediów humanistów zatrudniać nie chcą, czyli pracodawców. Z badań oczekiwań pracodawców wynika, że szczególnie poszukują pracowników posiadających kompetencje miękkie. Na początku roku 2014 w Internecie spory szum wywołała wypowiedź przedstawiciela wpływowej firmy Sedlak & Sedlak, który wyraził opinię, że w dłuższej perspektywie większe szanse na zatrudnienie mogą mieć absolwenci studiów humanistycznych, legitymujący się takimi właśnie kompetencjami. Przyznał, że podejmujący pracę po studiach inżynierowie otrzymują nadal lepsze warunki płacowe niż humaniści, ale równocześnie to, czy znajdą pracę w ogóle, w znacznie większym stopniu niż u humanistów zależy od popytu na rynku zatrudnienia. A jak wiadomo, rynek zatrudnienia w Polsce jest i pozostanie jeszcze długo bardzo niestabilny. Prognozowanie stanu tego rynku w perspektywie od pięciu do ośmiu lat, opierając się na aktualnych trendach, jest praktycznie niemożliwe, co oznacza, że wybór wąskiej specjalizacji zawodowej, poszukiwanej dziś na rynku pracy, nie gwarantuje sukcesu za kilka lat, czyli po studiach. Absolwent studiów humanistycznych – filozof, historyk, filolog – trudniej znajdzie pracę w swojej wąskiej, tradycyjnej specjalności, ale studia kończy „uzbrojony” w kompetencje, które czynią go o wiele bardziej odpornym na zmienną i niestabilną sytuację na rynku pracy. Dyżurni chłopcy do bicia w medialnej krucjacie antyhumanistycznej, czyli filozofia i historia, wcale nie zajmują czołowych miejsc w rankingach dotyczących liczby bezrobotnych absolwentów – w tym za-

kresie są to wartości porównywalne z wieloma promowanymi obecnie kierunkami niehumanistycznymi. Oczywiście absolwenci filozofii nie są zatrudniani w charakterze „filozofów zakładowych”, a historycy – wyłącznie jako nauczyciele czy muzealnicy. Wykorzystując swoje uniwersalne kompetencje, z powodzeniem podbijają rynek pracy w bardzo różnych branżach. Podobnie wszelcy filolodzy nie zajmują się wyłącznie tworzeniem literatury lub nauczaniem, ale spotkać ich można na odpowiedzialnych stanowiskach – od prężnie rozrastających się firm outsourcingowych, przez agencje reklamowe, aż po centrale banków.

Nie sposób było na dłuższą metę udawać, że tak nie jest, tym bardziej, że coraz częściej głos w dyskusji na internetowych forach zabierali także absolwenci humanistyki, którzy, relacjonując swoje historie sukcesu, zadawali kłam przekonaniu, że humaniści nie znajdują pracy. W końcu pojawiła się też i pierwsza (oby nie ostatnia) jaskółka w prasie – tygodnik „Polityka” w numerze 10 (2948) z marca 2014 r. zamieścił artykuł Joanny Podgórskiej „Filozofia bytu”, opatrzony redakcyjnym lidem: „Abstrakcyjna, niezyciowa, zbędna – tak postrzegana jest filozofia. Okazuje się jednak, że absolwenci tego kierunku bardzo dobrze radzą sobie w pracy”. Z ciekawego tekstu czytelnik po raz pierwszy od kilku lat ma okazję dowiedzieć się, że bezrobotni absolwenci filozofii stanowią obecnie 1,3%, a w ostatnich latach nigdy nie było ich więcej niż 4% (dla wielu „użytecznych” kierunków stopa bezrobocia sięga kilkunastu procent). Dlaczego o tym się nie informowało? Bo stanowiłoby to dysonans w stosunku do przepychanej w mediach linii propagandowej. Gdy czytamy zamieszczoną w artykule wypowiedź prof. Ryszarda Cichockiego z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu czujemy poważne zaniepokojenie. Pozwolę sobie zacytować w całości:

Nawet władze naszej uczelni przez pewien czas nie były zainteresowane wynikami tych badań [nad zatrudnialnością filozofów – M. W.], bo burzyłyby ustalone od lat przekonania. Więcej bezrobotnych inżynierów niż filozofów? Niemożliwe.

Ukrywanie lub niezauważanie wyników obiektywnych i mierzalnych badań, które nie są zgodne z „jedynie słuszną linią”, jest sprzeczne z etyką, a szkodliwe skutki takich działań znają dzieje, no, ale etyką i dziejami zajmują się filozof i historyk, a to przecież humany (wiadomo – tumany). Wracając do artykułu i zamieszczonych w nim wypowiedzi, można z satysfakcją stwierdzić, że do obrony kierunków studiów humanistycznych użyto najnowocześniejszej „bolońskiej” argumentacji. Używane są konkretne argumenty wskazujące, że:

Jezeli inżynier nie dostanie pracy zgodnej z wykształceniem, musi się całkowicie przebranzowić, a studia takie, jak kulturoznawstwo, socjologia, czy filozofia otwierają całą gamę zawodów (prof. Ryszard Cichocki).

Cytowana w artykule analiza firmy Sedlak & Sedlak dowodzi, że za swoje główne atuty absolwenci filozofii UJ uznają komunikowanie się, samodzielność i zdolność syntetycznego myślenia. Kompetencjami takimi pochwalić się może także historyk czy filolog. Dla nikogo, kto zajmuje się zagadnieniem *employability*, nie jest zaskoczeniem, że wymienione kompetencje są zbieżne za pierwszymi pozycjami na listach oczekiwań pracodawców wobec nowych pracowników (badania HEGESCO, Eurobarometr 2010, Raport Grupy Roboczej ds. Zatrudnialności z 2009 r.). Promując jak najbardziej słusznie kierunki techniczne i ściśle, zastosowano najprymitywniejszą metodę, deprecjonując na zasadzie przeciwności kierunki humanistyczne i po prostu omal nie wylano dziecka z kąpielą, a taki interes podsumować można tylko, stwierdzając, że nie warto było!

Cenne jest, że w dyskusji nad zatrudnialnością absolwentów nauk humanistycznych zabrzmiał też głos prof. dr hab. Leny Kolarskiej-Bobińskiej, Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego, której wypowiedź (zamieszczona m.in. na stronie premier.gov.pl) z 24 stycznia 2014 r. daje nieco nadziei, że wartość nauk humanistycznych zostanie jednak doceniona:

Młodzież stara się wybierać studia, które jej zdaniem, zapewnią dobrą przyszłość. Na których zdobędą nie

tylko wiedzę, ale też kompetencje i umiejętności zwiększające ich szanse na trudnym rynku pracy, takie jak np. komunikatywność, umiejętność definiowania problemów, krytyczne myślenie. To zestaw cech, które kształtuje studiowanie nauk humanistycznych. Dlatego ważne jest przywrócenie humanistyce należnego jej miejsca na polskich uczelniach. Proponujemy zatem wypracowanie „Pakietu dla humanistyki”. Nasze pomysły to:

- wprowadzenie przedmiotów humanistycznych do wyboru na każdym kierunku studiów, także technicznych i ścisłych, np. w formie warsztatów,
- położenie większego nacisku na kształcenie kompetencji i umiejętności miękkich w nowym rządowym programie kierunków zamawianych,
- nowy sposób oceny jednostek naukowych, bardziej uwzględniający specyfikę nauk humanistycznych.

Jak zawsze w takich przypadkach, należy dać Pani Minister szansę wcielenia w życie powyższej deklaracji. Łatwo nie będzie, a straty powstałe w ostatnich latach długo trzeba będzie odrabiać. Nie oczekujemy też natychmiastowych zmian, ale przynajmniej ocieplenia klimatu wokół nauk humanistycznych, może w przyszłości też zniesienia niemającego nic wspólnego z procesem bolońskim ograniczenia dostępu studentów do drugiego kierunku studiów...

Nie czekajmy też biernie na zmiany odgórne. Humanisci mogą wbrew pozorom wiele zrobić dla promocji i ulepszenia kształcenia w obszarze nauk, który wybrali jako swój zawód i życiową pasję. Trzeba, gdzie tylko to możliwe, rozpowszechniać wiadomości o prawdziwej stopie bezrobocia wśród absolwentów naszych kierunków. Wskazywać na atuty, w jakie wyposażamy naszych absolwentów, by odnosili sukces w poszukiwaniu i znajdowaniu pracy. Powoływać się na dobre praktyki państw „starej Europy”, gdzie nierzadko nawet inżynier ma w swoim edukacyjnym CV na jakimś etapie nauki filologiczne, filozofię czy historię. Tam rzadko stawia się pytanie, po co inżynierowi np. znajomość łaciny albo klasycznej logiki, bo znana jest odpowiedź – po to by mówić, pisał, zachowywał się i myślał jak człowiek rozumny. Mając autonomię w zakresie kreowania programów kształcenia, powinniśmy pochylić się nad tym zadaniem i starać się rozwijać u studentów – oprócz rze-



fot. M. Kania

telnej wiedzy – jak najwięcej kompetencji miękkich. Interesujemy się tym, które z nich szczególnie poszukiwane są przez pracodawców. Pamiętamy o narzędziach, jakimi są informatyka (dostępna także dla humanistów) i biegła znajomość co najmniej dwóch języków obcych (strategia lizbońska). Zdajmy sobie sami sprawę z roli, jaką humanistyka odegrać może

w społeczeństwie postindustrialnym, i mówmy o tym, gdzie się tylko da. Robiąc to, budujemy wcale nie nowy, lecz raczej prawdziwy wizerunek nauk humanistycznych. Ten wysiłek warto podjąć choćby po to, by kolejne roczniki uczniów wybierających z zamilowania humanistykę nie usłyszały znowu hasła „humany-tumany”. ■

MAREK GLOGIER

Dekada nowej strategii archiwalnej (2003–2013)

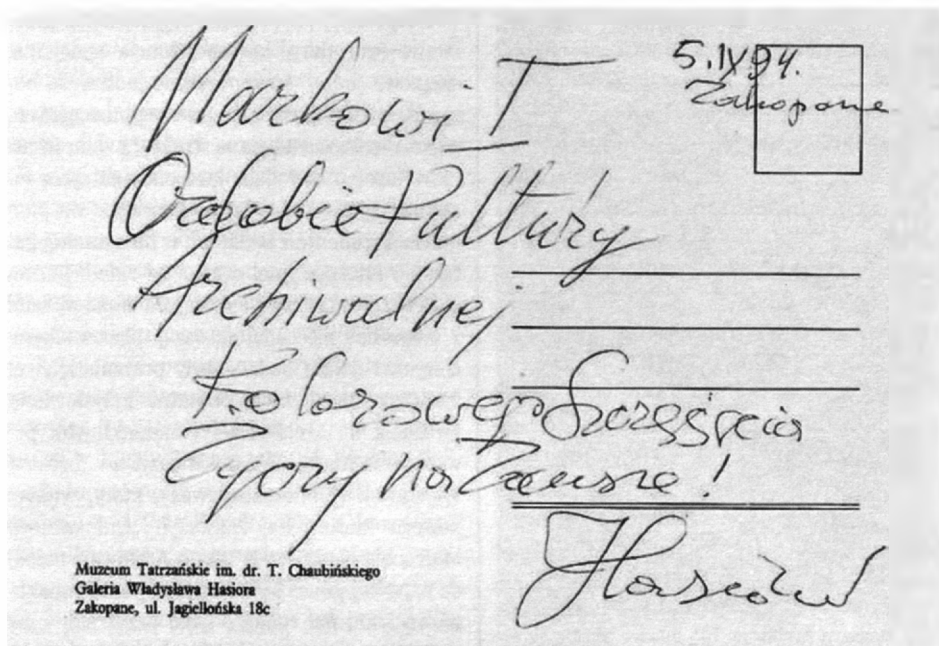
Z notatnika kierownika Archiwum UP

Od poprzedniej prezentacji archiwum zakładowego, jako jednej ze specyficznych, „dyskretnych” jednostek organizacyjnych Uniwersytetu Pedagogicznego, minęło 10 lat („Konspekt” 2004, nr 19, 20). Artykuł z tamtego okresu szczegółowo przedstawiał dzieje, statystykę, personel i ewolucję struktury administracyjnej, oddanej wszystkiemu, co wiąże się z dokumentowaniem funkcjonowania szkoły od chwili jej utworzenia w 1946 r. Historia ma to do siebie, także z powodu różnych strategii zarządzania, że kolejne rozdziały w życiu pracowniczych zespołów prowadzą albo do petryfikacji zastanego modelu funkcjonowania jednostki, albo do zmian trwale wyróżniających nowy etap jej rozwoju. Tak jest i w tym przypadku i tymi – szerzej nieznanymi naszej społeczności uniwersyteckiej – sukcesami oraz przeobrażeniami Archiwum (niekiedy wręcz rewolucyjnymi) w przededniu jubileuszu siedemdziesięciolecia UP, dwudziestolecia utworzenia samodzielnego archiwum zakładowego i dziesiątej rocznicy działania obecnego kierownictwa pragniemy się podzielić. Uczynimy to za pośrednictwem zapisu sporządzonego na podstawie źródeł statystycznych i żywej pamięci, który dedykujemy również następcom. W niniejszym tekście wracamy więc do tajemnic archiwaliów w pierwszych registraturach, późniejszej uczelnianej składnicy akt i obecnego „archiwum z zasobem powierzonym”, którego status zbliża nas usta-

wowo do „arystokracji” wśród wielotysięcznej rzeszy archiwów zakładowych.

OPOWIEŚĆ PIERWSZA – O PERSONALIACH

Przez 34 lata (1960–1994) nad sposobem organizacji i porządkowania zasobu archiwalnego trudzili się najpierw oddelegowani asystenci z Instytutu Historii, a następnie (od 1967 r.) pracownicy Biblioteki Głównej, funkcjonującej wówczas w pierwszym gmachu Uczelni przy ul. Straszewskiego 22, a po wybudowaniu w 1974 r. czwartego modułu WSP przy ul. Podchorążych 2 – w nowej siedzibie biblioteki, kierowanej od 1964 r. przez kolejnych pięciu dyrektorów. Jednym z nich był animator procesu wyodrębnienia zasobu archiwalnego ze zbiorów bibliotecznych dr Marian Niziołek (6 XII 1937–5 VII 2003), znawca prawa bibliotecznego, w latach 1985–2003 kolejno: mój wykładowca w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej WSP, a następnie starszy kolega – nauczyciel akademicki, z którym pracowałem w Instytucie Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa AP/UP (na Grodzkiej 60, Ingardena 4 i Podchorążych 2), kierowanym przez 22 lata przez prof. Jerzego Jarowieckiego. Nasze drogi krzyżowały się ponadto w Kole Grodzkim Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich – z trudem odbudowanym po okresie stanu wojennego

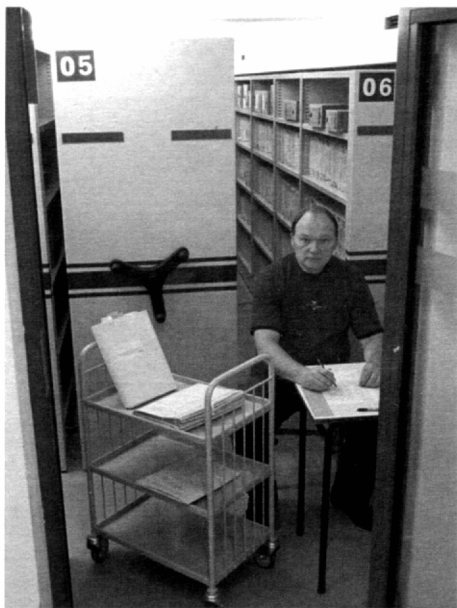


Dedykacja Władysława Hasiora dla Marka Glogiera, Zakopane, wrzesień 1994 r. (z archiwum autora)

i organizacyjnej zapaści większości stowarzyszeń branżowych w kraju. Łączyły nas wspólne wyprawy naukowe, posiedzenia i wyjazdy na konferencje. Nigdy bym nie przypuszczał, że kilka lat później zastąpię go na stanowisku kierownika Archiwum po jego nagłej i niespodziewanej śmierci, która nastąpiła niecały kwartał przed przejściem na emeryturę, a zarazem na progu okresu wakacyjno-urlopowego, wymagającego, jak zwykle, wzmożonej troski o płynność dyżurów uczelnianej administracji centralnej. Marian Niziołek początkowo spoczywał na cmentarzu w Krzeszowicach, a od kilku lat spoczywa na nowym Cmentarzu Salwatorskim, kilka kroków od grobu Stanisława Lema.

W myśl antycznego przysłowia „Fortes fortuna iuvat, timidosque premit” („Los sprzyja otwartym, a uciska tchórzliwych”) – potrzeba chwili, sugestia prof. J. Jarowieckiego (jako prorektora WSP w latach 1987/1988–1989/1990) dotycząca przejęcia nowego miejsca pracy i rekomendowanie mojej osoby JM Rektorowi prof. Michałowi Śliwie (cytat dosłowny: „On

Wam to wszystko dobrze poustawia”) oraz pozytywne kolokwium u Prorektora prof. Henryka W. Żalińskiego (przyszłego bezpośredniego przełożonego), w obecności kanclerza mgr. Mirosława Oseta – zadecydowały o wyborze kierownika, drugiego w dziejach Archiwum. Argumentami dodatkowymi były: efektywnie pełniona od 1993 r. funkcja sekretarza technicznego Komisji Prasoznawczej Polskiej Akademii Nauk, funkcja sekretarza Rady Instytutu Bibliotekoznawstwa i jego kronikarza (1998–2001), podróż studyjna (2001) do Instytutu Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Stanowego Nowy Jork (w Buffalo) oraz do Narodowej Biblioteki i Archiwum Kanady (w Ottawie), uhonorowanie w 2002 r. Medalem Za Zasługi dla Bibliotekarstwa Polskiego, praktyka w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego (2003), funkcjonowanie w krakowsko-warszawskim zespole ds. inwentaryzacji zbiorów rozproszonych pod egidą Polskiego Towarzystwa Bibliologicznego, poszerzonego o pracowników Archiwum Państwowego (1996–2000), oraz publikacja naukowa w „Kra-



Nowy magazyn Archiwum UP, marzec 2014 r. (z archiwum autora)

kowskim Roczniku Archiwalnym" (t. 4, 1998). Była jednakże jeszcze jedna, chciało by się powiedzieć – metafizyczna przesłanka, którą kilka lat wcześniej zaprzyjaźniony awangardowy artysta performer „przepowiedział” piszącemu te słowa. Otóż wakacyjne pobyty w Zakopanem zaowocowały przyjaznymi relacjami z Władysławem Hasiorem. Wielogodzinne spotkania i nocne rodaków rozmowy przy gąsiorkach „trunkaliów” przynosiły obopólną satysfakcję. W ostatnim okresie swego życia, gdy artysta cierpiał na światłowstręt i nie znoślił się fotografować, a bliski flesza były dla Niego bolesne – sprezentował dedykowany autograf antycypujący fakt, który skonkretyzował się po wielu latach. Władysław, w chwili wizjonerskiego natchnienia, skreślił następujące zdanie: „Markowi I [Pierwszemu? Pierwszej?] Ozdobie Kultury Archiwalnej Kolorowego Szczęścia Życzy na Zawsze! Hasiór W., 5 IX 94 Zakopane”. Przejęcie wspomnianego archiwum uczelnianego, zbiegiem okoliczności – w dniu moich pięćdziesiątych pierwszych urodzin – było tyleż emocjonujące co i z różnych względów karkołomne.

Rozpoczęte prace koncepcyjne, nagle przerwane procedury, korespondencja specjalna, służbowe „musy” i równoczesne monity od blisko 20 uczelnianych komórek organizacyjnych, gigantycznie zagmatwana struktura zbiorów archiwalnych, oczekujące kwerendy na rzecz instytucji spoza Krakowa, niekończące się pielgrzymki studentów będących w nieustannej potrzebie informacyjnej oraz setki zamówień na akta i karty płacowe – wpływające mimo wakacji z wszystkich dziekanatów, sekcji płacowo-finansowych i działu kadr – były przyniatającym żywiołem powitalnym. Ostatni przysłowiowy gwoździak do archiwalnej trumienki wbił powszechnie znany i lubiany Mieczysław „Leszek” Więclawek (bibliotekoznawca), który, witając nowego kierownika, zauważył: „Oni wszyscy i tak sobie myślą, że wy tam w Archiwum macie co najwyżej jakieś jedno wielkie pudło z makulaturą i nic nie robicie, tylko przez cały czas siedzicie przy gazetach i kawie”. Odkrycie tej egzotycznej prawdy przyniosło nieodpartą inspirację do wspomnianej na wstępie pilnej potrzeby ogłoszenia artykułu w „Konspekcie”, który miał za zadanie „wyedukowanie archiwalne” całego ówczesnego środowiska WSP-owskiego. Tak też się stało... Po ośmiu latach od publikacji małej wzmianki o Archiwum, sporządzonej w 1996 r. przez poprzednika na potrzeby publikacji jubileuszowej, w 2004 r. ukazał się pierwszy w dziejach Uczelni obszerny ilustrowany materiał informacyjny o funkcji archiwum uczelnianego, zarządzającego na mocy ustawy częścią państwowego zasobu ak tzw. powierzonych i podlegającego okresowej kontroli Archiwum Narodowego w Krakowie.

OPOWIEŚĆ DRUGA – O ZARZĄDZANIU

Autorskie podejście do zarządzania zasobem archiwalnym w latach 1994–2003 było swoiste, materiały archiwalne były bowiem traktowane wówczas jak biblioteczne, a prace dyplomowe jak książki i inne pomoce dydaktyczne. Przykładowo: zarejestrowano wtedy 7 tys. studentów, których masowo kierowali do Archiwum promo-

torzy, a skierowania i zgody na udostępnianie różnych prac magisterskich bez ograniczeń podpisywali dyrektorzy instytutów, a także innych uczelni, także pozakrakovskich (1,9 tys. osób). Jak wynika z pozostawionych zapisków Mariana Niziołka, jego największym problemem było przez całe lata nieskuteczne przekonywanie uczelnianej administracji do zorganizowania w Archiwum czytelni z 20 miejscami dla studentów, którym wspomniane prace w owym dziesięcioleciu udostępniono 28 tys. razy.

Prace koncepcyjne nad ścieżką legistycznego wyodrębnienia zasobu archiwalnego ze zbiorów Biblioteki Głównej Marian Niziołek podjął w 1992 r. jeszcze jako jej dyrektor. Starania te uwieńczył sukcesem w postaci Zarządzenia nr 14/1994 Rektora WSP z dnia 4 października 1994 r. w sprawie utworzenia archiwum podległego bezpośrednio rektorowi uczelni. W owym czasie rektorem był prof. Feliks Kiryk, historyk, doskonale rozumiejący pragmatykę archiwistyki. Kolejnym sukcesem M. Niziołka było zredagowanie obszernego, liczącego 116 stron, dokumentu porządkującego procedury biurowe naszej Uczelni. Jako doktor praw był w swym żywiole, przygotowując przez dwa lata kolejny dokument podpisany przez JM Rektora Kyrka. Było to Zarządzenie Nr 7/1997 z dnia 26 marca 1997 r. w sprawie: Wprowadzenia w życie „Instrukcji kancelaryjnej wraz z jednolitym rzeczowym wykazem akt” a także „Instrukcji o organizacji i zakresie działania Archiwum WSP im. KEN”. W 1999 r. przedstawił ostatni swój projekt zarządzenia, oparty na wytycznych ministerialnych, a dotyczący procedur udostępniania niepublikowanych prac habilitacyjnych, doktorskich, magisterskich, dyplomowych i licencjackich oraz ich kopii przechowywanych w jednostkach dydaktycznych.

Jak wiadomo, podstawą każdego archiwum są przede wszystkim magazyny, a następnie biuro. Po Irenei Młot, swej poprzedniczce zajmującej się archiwalią w Bibliotece Głównej w latach 1973–1988, M. Niziołek odziedziczył 427 m² magazynów oraz biuro liczące 7 m². W roku 1998 oraz 2001 powiększył powierzchnię tych pierwszych o 73 m², a biura – o 14 m².

Zarządzał dokumentacją zajmującą łącznie cztery magazyny z 1400 m akt (w tym 500 m dokumentacji przejętej z różnych jednostek na podstawie 1424 spisów zdawczo-odbiorczych sporządzonych w okresie pierwszego dziesięciolecia). W tym czasie zlikwidowano (czyli wybrakowano) za zgodą Archiwum Państwowego 50 m akt.

Personel Archiwum składał się z dwóch osób: kierownika Archiwum – starszego kustosa dyplomowanego oraz zatrudnionego od 1989 r. bibliotekarza. Wspomnianym bibliotekarzem (obecnie starszym dokumentalistą), organizującym zasoby magazynowe nieprzerwanie od 25 lat, jest mgr Monika Bełza, nieoceniony pracownik-legenda Uczelni, wyróżniona w latach 1994, 2007, 2008, 2010 Nagrodami Rektora, a w 2009 r. odznaczona przyznany przez Prezydenta RP Srebrnym Medalem za Długoletnią Służbę. Do dzisiaj jest chodzącą encyklopedią i ekspertem zasobu liczącego ponad 600 tys. jednostek Archiwalnych, spośród których każdą miała w ręku (rejestrując, sygnując, opracowując, udostępniając etc., etc.). Opiekę merytoryczną nad Archiwum pełnili wówczas prorektorzy ds. nauki: fizyk-astronom Jerzy Kreiner (1993/1994–1995/1996), historyk-politolog Michał Śliwa (1996/1997–1998/1999) i historyk Henryk Żaliński (1999/2000–2001/2002).

Pierwszą dekadę uczelnianego archiwum charakteryzuje profil, który zdecydowanie można określić jako usługowo-informacyjny. Wskazują na to wyraźnie następujące dane: obsługa 505 pracowników, 1705 interesantów spoza uczelni i ponad 7 tys. studentów, którym udostępniono prawie 9 tys. jednostek archiwalnych i 28 tys. prac dyplomowych. Ogarnięcie tych potrzeb wymagało od M. Bełzy opracowania 11 tys. kart katalogowych i skorzystanie z pomocy sześciu praktykantów z Policealnego Studium Archiwistyki z siedzibą w Nowej Hucie. Przygotowano nadto pięć spisów absolwentów organizujących swe zjazdy jubileuszowe oraz prowadzono na rzecz różnych instytucji kultury i nauki kwerendy na temat prac dyplomowych dotyczących: historii polskiej radiofonii, obozów koncentracyjnych, dziejów harcerstwa, twórczości Jana Matejki itp.

Osobną kwestią była działalność naukowa kierownika Archiwum. Opublikował on pięć tekstów w czasopismach branżowych i konferencyjnych oraz uczestniczył z referatami w 11 konferencjach ogólnokrajowych organizowanych przez Stowarzyszenie Archiwistów Polskich w Krakowie (1), Lublinie (1), Szczecinie (1), Toruniu (2) i Warszawie (6).

OPOWIEŚĆ TRZECIA – O NOWEJ STATYSTYCE

Drugą dekadę funkcjonowania Archiwum charakteryzuje ekspansywna działalność dokumentacyjno-gromadzeniowa. Jej szeroko zakrojone projekty były możliwe do realizacji wyłącznie w sytuacji przekierowania setek czasochłonnych wizyt studentów odwiedzających Archiwum każdego miesiąca. Konsekwentne wskazywanie, że ich seminaryjne poszukiwania w pełni zaspokaja Oddział Informacyjno-Bibliograficzny Biblioteki Głównej i Archiwum nie jest miejscem, w którym szuka się literatury przedmiotu lub zapoznaje z metodologią pisania prac zaliczeniowych na podstawie już obronionych prac dyplomowych, umożliwiło wciąż dwuosobowemu personelowi Archiwum podjęcie zadań faktycznie związanych z misją jednostki, do której w nikłym procencie należy działalność dydaktyczna – głównie realizowana w postaci praktyk zawodowych oraz porad źródłoznawczych.

Wcześniejsza znajomość z dyrektorem Archiwum UJ Jerzym Michalewiczem (zm. 2004) oraz jego zastępcą Adamem Cieślakiem (zm. 2008) pozwoliła na przejęcie ich wizji posłannictwa archiwistycznego, a nie tylko poprawnego zarządzania powierzonym zasobem archiwalnym oraz zasobem ludzkim obsługującym ową dokumentację. Wizja ta do dnia dzisiejszego rozwijana jest w naszym archiwum zakładowym (z ambicjami archiwum naukowego) dzięki wsparciu przez kolejnych (zgodnie ze Statutem UP) prorektorów ds. nauki: historyka Henryka Żalińskiego (2002/2003–2004/2005), polonisty-literaturoznawcy Tadeusza Budrewicza (2005/2006–2011/2012) oraz historyka Kazimierza Karolczaka (2012/2013–2015/2016).

Przez gromadzenie rozumiemy nie tylko odbiór dokumentacji już zbędnej w poszczególnych jednostkach Uczelni, chociaż nadal podlegającej ochronie, ale także stałe poszukiwanie – czasem z pogranicza muzealnictwa – materiałów i znaków pamięci związanych z dziejami naszej instytucji edukacyjnej. W naszym przypadku sięgają one roku 1928, gdyż – jak udowodniono – że podłożem strukturalnym Uniwersytetu Pedagogicznego była słynna szkoła nauczycielska Henryka Rowida, funkcjonująca w latach 1928–1946 pod nazwą Państwowego Pedagogium. Jej ślady dokumentacyjne są do dziś troskliwie zabezpieczane w naszym archiwum zakładowym.

Aktualnie w siedmiu magazynach, zlokalizowanych w trzech budynkach, znajduje się dokumentacja (w 80% podlegająca ochronie przez 50 lat), która liczy ponad cztery kilometry półek (dokładnie 4050 m), czyli tyle, ile wynosi pięć okrążeń krakowskiego Rynku Głównego, z czego w minionej dekadzie przyjęto ponad 2 tys. m akt na podstawie 3827 spisów zdawczo-odbiorczych (nr 1425–5252). Z tego, za zgodą Archiwum Narodowego, do likwidacji przeznaczono 550 m (około 30 t) akt. Aktualnie zasób zawiera: 102 tys. teczek absolwentów, 53 tys. teczek studentów skreślonych, 6 tys. teczek byłych pracowników, kilka tysięcy akt słuchaczy studiów podyplomowych, akta doktorantów oraz przewodów habilitacyjnych i doktoratów honorowych, około 50 tys. kart płacowych, około 80 tys. prac dyplomowych, setki metrów akt: Senatu, Rektoratu, dziekanatów, dawnych organizacji studenckich, dawnej dokumentacji z nielicznych instytutów, pionu finansowego (do przechowywania krótkiego, czyli zazwyczaj do 20 lat) oraz setki metrów akt krótkoterminowych oraz porekrutacyjnych. Nadto – za wiedzą Archiwum Narodowego – Biblioteka Główna kataloguje, udostępnia i przechowuje 1348 prac doktorskich, obronionych na uczelni w latach 1959–2013, które formalnie należą także do zasobu archiwalnego.

Ciekawostką może być fakt, że wśród wybranej dokumentacji znalazło się 32 790 teczek kandydatów ubiegających się w latach



Spotkanie dyrektorów: od prawej – Andrzej Biernat (Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych), Rita Majkowska (Archiwum Nauki PAN i PAU), Marek Glogier (Archiwum Uniwersytetu Pedagogicznego), Polska Akademia Umiejętności, czerwiec 2013 r. (z archiwum autora)

2009–2013 o przyjęcie na pierwszy rok studiów któregoś z 28 kierunków Uniwersytetu Pedagogicznego. Oznacza to, że zaledwie w ciągu pięciu lat sekretarze komisji rekrutacyjnych 406 razy przekazywali do Archiwum zbędne akta o łącznej długości 165 m, co stanowi dwukrotność wysokości hejnalicy mariackiej. Ogarńnięcie tak zmasowanych dostaw dokumentacji – przy dwóch pracownikach etatowych – zmuszało do dalszego pozyskiwania powierzchni, ponieważ w myśl ustawy o archiwach nadal podstawą gromadzenia narodowego zasobu archiwalnego jest dokumentacja papierowa, a nie jej digitalizowany odpowiednik.

Oprócz dominującej dokumentacji porekrutacyjnej, studenckiej, kadrowo-płacowej, finansowej i innej, w dużo mniejszych ilościach przekazywanej przez część 84 jednostek organizacyjnych UP (stan struktury z kwietnia 2014 r.), Archiwum z własnej inicjatywy uruchomiło poszukiwania wszelkich innych materiałów dokumentujących życie pozadydaktyczne Uczelni. Skompletowaliśmy w tym czasie 98% czasopism, biuletynów i jednodniówek wydawa-

nych od 1959 r. do dzisiaj przez wszystkie organizacje pracownicze i studenckie oraz koła naukowe (kilkadziesiąt tytułów). Zebraliśmy 100% drukowanych publikacji jubileuszowych i okazjonalnych druków informacyjnych o Uczelni. Posiadamy jeszcze nieliczne filmy o WSP, AP i UP. Od 2005 r. kolekcjonujemy wszelkie klepsydry naszych byłych pracowników (aktualnie 75 druków). Posiadamy 18 metalowych emaliowanych (czerwonych) tablic urzędowych po zlikwidowanych lub przekształconych jednostkach dydaktycznych UP oraz 200-kilogramową tablicę pamiątkową z brązu ufundowaną przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego jako „kamień węgielny” pod gmach budowany w latach 1965–1971 (ostatni, czwarty etap rozbudowy kampusu od strony ul. Podchorążych faktycznie zakończono w 1974 r.; uroczyste otwarcie kolejnego gmachu, od strony ul. Chmiela, nastąpiło 14 października 2011 r.). Pozostał nam ostatni, najtrudniejszy do ogarnięcia „żywiol” – szybko znikające i „nieprzewidywalne” afisze, plakaty, ulotki, obwieszczenia i inne materiały tworzone z myślą o set-

kach tablic informacyjnych w dziewięciu budynkach dydaktycznych i czterech domach akademickich UP. Aktualnie ta najtrudniejsza kolekcja, tworzona od 2011 r., liczy około 500 wielobarwnych i wielkoformatowych druków.

Nadal nowością jest przekazywanie darów i spuścizn profesorskich. Od kilku lat do zbiorów trafiają przedmioty przekazywane głównie przez Rektorat. Otrzymaliśmy tą drogą dwa sztandary, dawne insygnia rektorów i dziekanów, rozmaite prezenty od delegacji krajowych i zagranicznych (obrazy, proporce, medale, odznaki, ceramikę artystyczną, puchary, statuetki, dyplomy, listy gratulacyjne, przesyłki okolicznościowe, np. na Boże Narodzenie w roku 2013 od Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego), książki, albumy fotograficzne i prace magisterskie z dedykacjami dla rektorów, dedykowane wydawnictwa przesyłane przez ambasady, np. dla aktualnego Rektora UP JM prof. Michała Śliwy od Jego Królewskiej Mości Króla Tajlandii Bhumibola Adulyadeja z okazji 65. rocznicy wstąpienia na tron, 80. rocznicy urodzin i 40. rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między Tajlandią a Polską. Album ten, wraz z listem przewodnim, JM przekazał do Archiwum UP 4 lutego 2013 r.

Wśród spuścizn dominują materiały od kilku lat sukcesywnie i osobiście przekazywane przez prof. Bolesława Faronę, rektora WSP (1975/1976–1980/1981), a następnie: Ministra Oświaty i Wychowania (12 II 1981–6 XI 1985), dyrektora Instytutu Polskiego w Wiedniu (1986–1991), założyciela i dyrektora Wydawnictwa Edukacyjnego (od 1993 r.) i dyrektora Instytutu Filologii Polskiej UP (2000–2006).

Cenny kontakt dla Archiwum stanowi twórca relacja z absolwentem naszej Uczelni dr. Marcinem Kanią, od 2009 r. redaktorem naczelnym kwartalnika „Konspekt”. W 2013 r. przekazał on z trudem odnalezioną spuściznę po prof. Antonim Euzebiuszu Balickim (1883–1956), słynnym teatrologu, dydaktyku oraz wykładowcy WSP w początkowych latach jej działalności. Nadto w 2014 r. na aukcji numizmatycznej własnym sumptem pozyskał na rzecz naszego Archiwum tłoczony w 1973 r. w nielicz-

nych egzemplarzach Medal Komisji Edukacji Narodowej, którego brakowało dotąd w zbiorach uczelnianych. Do Archiwum trafiły też „papiery” po śp. prof. Jerzym Gołębiowskim, zbiór korespondencji i liczne recenzje wydawnicze autorstwa prof. Stanisława Grzybowskiego oraz z Instytutu Historii UP – akta redakcyjne „Małopolskich Studiów Historycznych” (1958–1966). Ogółem w minionym dziesięcioleciu oprócz Rektoratu dary do Archiwum przekazało siedem osób. W grudniu 2013 r. siedem tek reprodukcji własnych prac plastycznych oraz dokumenty osobiste podarował Marian Kopf, artysta malarz, nauczyciel i organizator w 1977 r. Zakładu Wychowania Plastycznego WSP, który z czasem przekształcił się w dzisiejszy Wydział Sztuki UP.

Przy wielkim wsparciu DIT (Działu Infrastruktury Technicznej – Kazimierz Deca i Stanisława Ślęzaka z zespołem) oraz DAG (Działu Administracyjno-Gospodarczego – Wojciecha Biernata i Ewy Żołnierek z zespołem), a także Kanclerzy Uczelni: Mirosława Oseta (2002/2003–2009/2010) oraz Jana Kałużnego (od 2010/2011 r.) stało się możliwe powiększenie magazynów o kolejnych 513 m² oraz uzyskanie nowego biura Archiwum (35 m²), spełniającego równocześnie funkcje: sekretariatu, czytelní, pracowni i magazynu podręcznego. Archiwum UP zajmuje obecnie powierzchnię 1027 m².

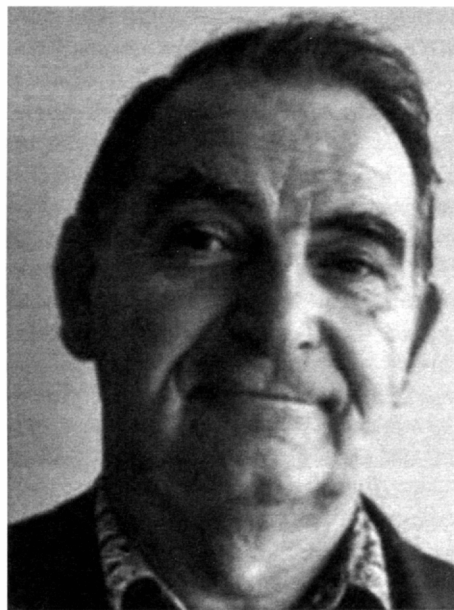
Kolejną – po gromadzeniu – podstawową funkcją Archiwum, zbliżoną do biblioteczną, jest udostępnianie zbiorów i danych, – z tą jednak różnicą, że biblioteki posiadają wieloegzemplarzowe publikacje drukowane, a archiwa – zazwyczaj niepublikowane dokumenty (rękopisy, maszynopisy, wydruki komputerowe), z reguły w jednym egzemplarzu. Drugą istotną różnicą jest wiedza o zasobie: w bibliotece ułatwiają to drukowane i komputerowe, lokalne i centralne katalogi oraz bibliografie oraz foldery wydawnicze, a w archiwach – rzadko drukowane inwentarze oraz (głównie) osobista znajomość zbioru, którym na co dzień zajmuje się personel danej składnicy akt. W przypadku Archiwum UP opcja jest optymalna, gdyż dwuosobowy personel Archiwum tworzy zespół bi-

bliotekoznawców (M. Bełza, M. Glogier), będących absolwentami Uczelni (promotorem ich prac magisterskich był prof. Jerzy Jarowiecki). Od lat więc bardzo dobrze znają zarówno instytucję, jak i jej pracowników, posiadają też uprawnienia archiwistyczne, potwierdzone państwowymi certyfikatami I oraz II stopnia, wydanymi w 2004 r. przez Archiwum Narodowe, i poświadczenia bezpieczeństwa, wydane w 2009 r. przez Pełnomocnika Rektora UP ds. Ochrony Informacji Niejawnych oznaczonych klauzulą „zastrzeżone”.

Mimo posiadanych uprawnień zespół wciąż aktualizuje i poszerza swoje kompetencje. M. Bełza uczestniczyła w dwóch kursach (z certyfikatami) na terenie Krakowa, a M. Glogier – w pięciu krajowych naradach kierowników archiwów uczelnianych (Poznań 2004, Gdańsk 2005, Katowice 2007, Kielce 2008, Słupsk 2009), nadto ukończył cztery kursy (z certyfikatami) oraz odbył z delegacją Stowarzyszenia Archiwistów Polskich podróż studyjną do Archiwum Uniwersytetu Karola w Pradze oraz Czeskiego Archiwum Narodowego (2006).

Wzorem poprzedniej dekady w latach 2008, 2009, 2011, 2013 złożono pięć kolejnych projektów porządkujących szczegółowo obieg dokumentów powstających na Uczelni oraz w sprawie gromadzenia dokumentów życia społecznego i ich nieodpłatnego przekazywania jako egzemplarza obowiązkowego do zbiorów Archiwum, bez względu na nośnik, format i technikę sporządzenia (od 2001 r. wszelkie zarządzenia, po zastosowaniu kodu dostępu, dostępne są na stronie Intranetu UP).

Należy podkreślić, że istotne wsparcie w tym czasie stanowili okresowo i dodatkowo zatrudniani w Archiwum inni pracownicy administracyjni: jedna osoba na pełnym etacie (2006–2009 – z zadaniem zorganizowania magazynu przy ul. Grochowej 17) oraz trzy osoby, kolejno na pół etatu (2012–2013 – z zadaniem kumulacji 6500 płyt CD z pracami dyplomowymi, sprawdzaniem nośnika, sygnowaniem CD jako jednostki archiwalnej, opisem rejestracyjnym oraz pomocą w przejmowaniu 354 m bieżących dokumentacji administracyjnej oraz studenc-



Dr Marian Niziołek (1937–2003) (fot. M. Węclawek)

kiej, która spłynęła w ciągu tych dwóch lat z sześciu dziekanatów). Dodajmy, że kierowanie Archiwum nie uprawnia do dodatku funkcyjnego, ten bowiem na UP przysługuje dopiero w przypadku kierowania zespołem pięcioosobowym. Kierownika uhonorowano więc Nagrodą Rektora (2012), a Prezydent RP odznaczył go Złotym Medalem za Długoletnią Służbę (2012), czyli aktualnie za 45 lat pracy zawodowej (w tym 24 lata na Uniwersytecie Pedagogicznym (11 lat w Archiwum), przy okazji pełnienie funkcji: członka Rady Bibliotecznej (2005–2013), Rady Wydawniczej (2008–2012) i Rektorskiej Komisji ds. Pracowników Bibliotecznych oraz Dokumentacji i Informacji Naukowej (2008–2016). Gigantyczną i wciąż nawarstwiającą się pracę w Archiwum w minionej dekadzie wykonywały de facto dwie osoby, przy cennym wsparciu czterech osób zatrudnianych na czas określony oraz 46 studentów i absolwentów pracujących społecznie w charakterze praktykantów, wolontariuszy i stażystów. Dla porównania: Archiwum UJ, jedno z najstarszych i największych archiwów uniwersyteckich na świecie, posiada zbiory liczące blisko 6 tys. m

bieżących akt oraz 21 pracowników etatowych (dane ze strony internetowej Archiwum UJ).

W omawianej dekadzie udostępniono 31 tys. najrozmaitszych dokumentów (o 22 tys. więcej niż w dekadzie poprzedniej). Obsłużono informacyjnie 530 pracowników uczelni, 372 studentów (poprzednio 7 tys.) i 34 doktorantów. Przyjęto 2971 interesantów spoza Uczelni, którzy zgłaszali się głównie po odbiór własnych dokumentów, bywało że nawet po 30 latach od czasu przerwania studiów. Jak wynika z ewidencji Archiwum, pochodzili oni ze 190 miast i miejscowości oraz z 16 krajów, gdzie jako absolwenci – lub byli studenci – obecnie mieszkają (Australia, Austria, Belgia, Czechy, Francja, Indie, Irlandia, Islandia, Kanada, Niemcy, Norwegia, Szwecja, Ukraina, USA, Wielka Brytania (Szkocja, Walia, wyspa Jersey), Włochy). Ogółem we wzmiankowanym okresie zrealizowano zamówienia, zlecenia i potrzeby 3907 osób oraz 55 jednostek organizacyjnych Uczelni.

Równolegle z obsługą bezpośrednią prowadzona jest korespondencja elektroniczna, a podstawowych informacji udziela się telefonicznie. Bardzo ważną rolę odgrywa strona www Archiwum UP, na której informacje znacznie wykraczają poza podstawowe dane o lokalizacji i godzinach otwarcia jednostki. Od czasu jej uruchomienia 23 czerwca 2004 r. odwiedzana była 20 tysięcy razy. Administratorami aktualizującymi jej dane byli kolejno: dr Stanisław Skórka (od 2008 r. dyrektor Biblioteki Głównej UP), dr inż. Mateusz Muchacki (adiunkt w Katedrze Informatyki i Metod Komputerowych) oraz mgr Katarzyna Czyż (redaktor w Biurze Promocji i Karier UP).

Kolejną funkcją Archiwum jest stałe ewidencjonowanie zasobu, jedno z najbardziej żmudnych i mało zauważalnych zadań. Aktualnie (dzięki gigantycznej pracowitości M. Belzy) posiadamy następujące bazy elektroniczne „tylko do użytku wewnętrznego”: 53 tys. studentów UP skreślonych w latach 1949–2013 (baza kompletna), 1500 akt byłych pracowników (do 1976 r.; kontynuowana), 450 biogramów i wspomnień o zmarłych pracownikach Uczelni z lat 1952–2010 (kontynuowana), karty płac z lat

1955–1976 (litery A–H; kontynuowana), indeks zawartości ksiąg zaliczeniowych z pięciu wydziałów WSP za lata 1950–2002 (kompletna), spis 210 teczek przewodów doktorskich (litery A–H; kontynuowana), spis 194 teczek słuchaczy studium doktoranckiego z lat różnych. przekazanych przez Dział Nauki (kompletna), spis 176 teczek doktorantów bez otwartych przewodów i skreślonych w różnych latach (kompletna), obszerne bazy wielu tysięcy absolwentów 23 kierunków (kontynuowana). Wspomniane bazy elektroniczne tworzone były przez 10 lat – w przerwach pomiędzy opracowywaniem 2 km sukcesywnie przyjmowanej dokumentacji – czyli od 30 marca 2004 r., gdy Archiwum otrzymało swój pierwszy komputer oraz dostęp do Internetu (co zaowocowało 11 tygodni później uruchomieniem pierwszej edycji własnej strony WWW). Z powodu priorytetu potrzeb informacyjnych odłożono na lata przyszłe katalogowanie prac dyplomowych. W minionym okresie wypisano zaledwie 430 kart (w poprzednim – na skutek lawiny odwiedzających nas studentów – 11 tys. kart).

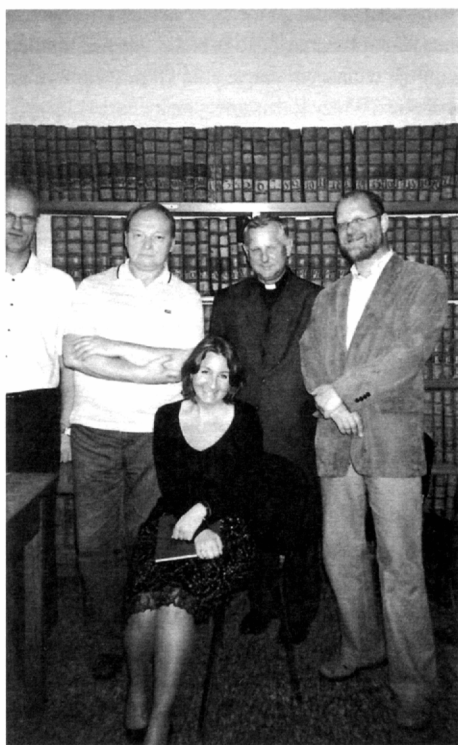
Innymi czasowo absorbującymi zleceniami są zapotrzebowania składane przez organizatorów absolwenckich zjazdów jubileuszowych. Dotyczą one pomocy w nawiązywaniu kontaktów z byłymi wychowankami. W minionej dekadzie do Archiwum zgłosiło się 28 organizatorów zjazdów (najczęściej są nimi obecni nauczyciele akademicki – wychowankowie WSP), którym archiwiści pomogli nawiązać kontakt z 2115 osobami studiującymi u nas w latach 1954–2003. W poprzedniej dekadzie z tego typu pomocy korzystało tylko 5 koordynatorów.

Wśród najbardziej ekscytujących zadań, o trudno przewidywalnych efektach i nakładzie pracy, są bezpłatne poszukiwania informacji (zwane kwerendami) i próby odpowiedzi na stawiane zapytania oraz poszukiwanie danych lub materiałów na zamówione tematy. Miniona dekada owocowała ponad ćwierć tysiącem tego typu zleceń, o różnej skali trudności i czasochłonności, z zasady realizowanych bez wyznaczonego terminu. Bywały to zapytania z polskich placówek dyplomatycznych (Paryż, Kolo-

nia, Londyn, Chicago), od organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, z jednostek samorządu terytorialnego, z archiwów innych polskich uczelni, ze szkół i bibliotek publicznych, z ZUS-u, CBS, ABW, międzynarodowych agencji weryfikujących aplikacje pracownicze, organizacji typu ZHP, PTTK i innych oraz od wielu indywidualnych badaczy, naukowców i słabo zorientowanych w sprawach urzędowych interesantów. Dla lepszego zrozumienia istoty i techniki realizacji wspomnianych kwerend przytoczymy opis bardzo ciekawego zlecenia nadesłanego przez prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej, które kierownik Archiwum realizował od czerwca 2011 do stycznia 2012 r. IPN urzędowo zlecił ustalenie na podstawie zasobu powstałych na uczelni prac dyplomowych, czy znajdują się w nich zapisy dotyczące męczeństwa konkretnych, znanych z nazwiska Polaków podczas drugiej wojny światowej na terenie gminy Książ koło Miechowa oraz Jodłownik koło Limanowej. Pierwszy etap kwerendy wymagał wyeliminowania prawdopodobieństwa powstania korespondujących ze zbliżoną tematyką (regionalistyka, martyrologia, publikowane pamiętniki, bibliografie lokalne etc.) prac dyplomowych na takich kierunkach, jak: geografia, polonistyka, bibliotekoznawstwo, pedagogika, politologia. Po przejrzaniu kilkunastu tysięcy kart katalogowych żaden z tytułów prac licencjackich i magisterskich nie wskazywał na potrzebę sięgania do określonego egzemplarza którejkolwiek z nich. Drugi etap kwerendy skoncentrowano wyłącznie na 8 tys. prac napisanych w latach 1956–2011 w Instytucie Historii UP. Spośród nich wytypowano 500 prac dotyczących, zgodnie z ich tytułami, drugiej wojny światowej na ziemiach polskich. Po skrupulatnym przejrzaniu każdej z nich znaleziono 22 prace napisane w latach 1971–2011, które faktycznie dotyczyły strat wojennych w obu gminach. Tylko jednak cztery prace z lat 1985–2007 (spośród owych 8 tys.) zawierały podane przez prokuratora nazwiska zabitych we wzmiankowanych miejscowościach. Z prac tych wykonano 23 odbitki kserograficzne i przesłano listem poleconym pod wskazany adres Komisji

Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Warto zauważyć, że prace z zakresu historii zajmują w naszym magazynie 70 m (tyle wynosi wysokość Wieży Ratuszowej na krakowskim rynku). Warto przytoczyć jeszcze jedną kwerendę, zleconą w 2009 r. przez Pracownię Badań nad Historią i Kulturą Przestrzeni Totalitarnej i Posttotalitarnej (nazwa w dzisiejszym brzmieniu) w Instytucie Historii Uniwersytetu Jana Pawła II. Przedmiot zlecenia: karanie śmiercią ludności polskiej za ukrywanie Żydów podczas II wojny światowej na łamach prac magisterskich powstałych w UP. Według metody powyżej opisanej wśród wyselekcjonowanych 500 prac dotyczących tego okresu odnaleziono 32 z lat 1968–2009, zawierające nazwy miejscowości z całej Polski, daty i nazwiska uśmierconych oraz towarzyszące temu okoliczności. Pełna dokumentacja zagadnienia obejmowała 114 stron opisów i wypisów. Wspomniane kwerendy realizowane były w chwilach wolnych od innych bieżących procedur archiwalnych w naszym magazynie zewnętrznym, zlokalizowanym w DS „Atol”, oddalonym 15 km od biura Archiwum. Dla porównania: według cennika usług Archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego koszt jednej godziny kwerendy na zamówienie krajowe wynosi 40 zł; na zamówienie zagraniczne – 20 euro.

Archiwum realizuje też specjalne czasochłonne zadania edukacyjno-instruktażowe. Jednym z nich jest przyjmowanie osób zgłaszających się na studenckie praktyki zawodowe (minimum tygodniowe). Z tej formy w latach 2003–2014 skorzystało 40 osób, w tym: trzy osoby realizujące absolwencki staż zawodowy, opłacany przez Grodzki Urząd Pracy (absolwenci UJ, UPJPII, UP), sześciu wolontariuszy (studenci UP i PAT) oraz 37 studentów kierowanych przez Instytuty Historii UP i UJ na obowiązkowe praktyki specjalizacyjne. Dla porównania: w poprzedniej dekadzie z praktyk w Archiwum skorzystało tylko sześciu słuchaczy Pomaturalnego Studium Archiwistyki przy Technikum Poligraficzno-Księgarskim w Nowej Hucie. Inną formą edukacyjną (od 2012 r. na mocy decyzji Kancelarza UP) jest obowiązkowe jednodniowe szko-



Spotkanie dyrektorów na Zamku Królewskim na Wawelu. Od lewej: Wiesław Filipczyk (Archiwum Narodowe – Oddział Zbiorów Staropolskich), Marek Glogier (Archiwum UP), Diana Błońska (Archiwum Muzeum Narodowego), ks. Andrzej Bruździński (Archiwum Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II), Wojciech Krawczuk (Zakład Archiwistyki, Dydaktyki i Metod Kwantytatywnych w Instytucie Historii UJ), czerwiec 2013 r. (z archiwum autora)

lenie każdego nowo przyjętego pracownika administracji w zakresie obowiązującej na Uczelni instrukcji kancelaryjnej oraz postępowania z dokumentacją przeznaczoną do archiwizowania. Z tego instruktażu skorzystało dotychczas 42 pracowników z wszystkich agend prowadzących korespondencję zewnętrzną. Opiekunem praktyk i szkoleniowcem w zakresie przepisów wewnętrznych jest M. Bełza.

Specyficzną formą edukacyjno-informacyjną, organizowaną z myślą o społeczności uniwersyteckiej, są okolicznościowe wystawy. W latach 2005–2011 zrealizowano cztery ekspozycje. Trzy

według scenariusza Moniki Bełzy: z okazji 60-lecia (2006) i 65-lecia Uczelni (2011) oraz na Święto Uczelni w roku nadania jej rangi uniwersytetu (2009). Czwartą wystawę przygotował Marek Glogier i Ewa Tłuczek z Biblioteki Instytutu Politologii; towarzyszyła ona w 2005 r. pierwszemu w dziejach Uczelni Forum Studentckich Zespołów Redakcyjnych, zorganizowanego z inspiracji kierownika Archiwum, wówczas (od 12 lat) sekretarza Komisji Prasoznawczej PAN. Ostatnią aktywnością informacyjną, podjętą z myślą o zorganizowanych grupach branżowych, było przyjęcie – na zasadzie precedensu – dwóch wycieczek: z Torunia (Koła Naukowego Archiwistów, grupującego studentów i doktorantów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika) oraz z Krakowa (lokalnego koła Stowarzyszenia Archiwistów Polskich).

Ostatnią formą promocji Archiwum jest popularyzacja wiedzy o Archiwistyce i znajomości dziejów Uczelni, którą kierownik Archiwum od lat podejmuje w ramach zadań powierzonych. W minionej dekadzie opublikował 20 artykułów dotyczących różnych aspektów historii uniwersytetu, w tym siedem tekstów poświęconych uczelnianemu archiwum w kontekście najróżniejszych jego przekształceń, zasobu, miejsca w strukturze uczelni oraz ewolucji registratury w latach 1946–2010. Podstawowym forum prezentacji wspomnianych materiałów jest „Konspekt” – kwartalnik UP, z którym autor związany jest od pierwszego, wydanego w grudniu 1999 r. numeru, upamiętniającego zmianę statusu z WSP na AP. W 26 zeszytach M. Glogier zamieścił łącznie 39 materiałów źródłowych i publicystycznych (nry 1–12, 21–22, 25–28, 31–32, 35, 37, 42, 49–50 oraz nr 2 specjalny).

OPOWIEŚĆ CZWARTA – O NOWYCH WYZWANIACH

Jakiegokolwiek trafne prognozowanie przyszłości Uczelni (a więc i naszego Archiwum) w XXI w. jest problematyczne. Zmieniające się jak w kalejdoskopie zdarzenia społeczne, ekonomiczne

i polityczne mogą mieć wpływ zarówno na przyrost wytwarzanych akt, jak i zminimalizowanie procesu rekrutacyjnego oraz malejące środki finansowania wszystkich uczelni. Może to zahamować wzrost powierzchni niezbędnej do chronienia lawinowo napływającej dokumentacji (rezerwa wolnych półek wystarczy bowiem tylko do końca 2015 r.), liczba nieprzewidzianych kwerend zewnętrznych może także zaburzyć skuteczność współpracy z uczelnianym komitetem wydawniczym przygotowującym monumentalne prace na jubileusz siedemdziesięciolecia uniwersytetu (w chwili pisania tego tekstu zostały już tylko 24 miesiące do jego inauguracji). Zespół nasz ma już spore doświadczenie związane z tkimi działaniami, bowiem w minionym 10-leciu pomagał autorom i redaktorom prac zbiorowych w wyborze materiałów, weryfikacji danych, dostarczaniu unikatowych informacji oraz wskazywaniu dodatkowych źródeł (często biograficznych) do ośmiu publikacji z okazji 60- oraz 65-lecia Uczelni i innych wydawnictw okolicznościowych (monografia Szkoły Ćwiczeń przy Państwowym Pedagogium, leksykon profesorów WSP, album fotograficzny z okazji jubileuszu Akademii Pedagogicznej itp).

Mimo podobieństwa zadań do Biblioteki Głównej UP (dysponującej 47 etatami) Archiwum bardziej zbliżone jest pod względem sposobu funkcjonowania do bibliotek instytutowych, z dwu-, trzyosobowym „uniwersalnym” personelem, bez specjalizowania procedur i czynności. Zrozumienie naszej szczególnie niełatwej sytuacji spowodowało że JM Rektor Uczelni, z myślą o zrealizowaniu przez Archiwum potrzeb związanych z jubileuszem UP, od jesieni 2014 r. powiększył – na czas określony – liczbę etatów archiwalnych do trzech.

Bez względu jednak na okoliczności zewnętrzne, kilkuletni plan prac wewnętrznych (do czasu obwieszczonej przez ZUS emerytury aktu-

alnego kierownika Archiwum w lutym 2019 r.) przewiduje: wznowienie przerwanych prac nad katalogowaniem około 15–20 tys. prac licencjackich, inżynierskich i magisterskich napisanych po 1998 r.; rozpoczęcie tworzenia elektronicznej bazy około 102 tys. absolwentów; kontynuowanie bazy byłych pracowników (około 4500 nazwisk); opracowanie około 800 teczek z obszerną dokumentacją przewodów doktorskich; melioracja, opracowanie i stworzenie indeksów tematycznych do niezbyt wielkiego zbioru fotografii; pozyskanie, skumulowanie i opracowanie materiałów do dziejów organizacji studenckich i kół naukowych oraz inne drobniejsze prace dokumentacyjne, łącznie z kontynuowaniem na łamach niniejszego kwartalnika cyklu publicystyczno-historycznego o dziejach naszej Uczelni. ■

Dane statystyczne pochodzą z rocznych sprawozdań z działalności Archiwum, przedkładanych Rektorowi w latach 1994–2013 [nr 1–20]. Obejmują one 126 stron i 35 załączników. Kopia sprawozdania zwyczajowo kierowana jest do Prorektora ds. Nauki i Współpracy Międzynarodowej [sygn. Arch. 032: Plany i sprawozdania roczne].

Autor raz jeszcze dziękuje Mieczysławowi „Leszkowi” Węclawkowi (fotodokumentaliście życia społecznego Uczelni minionego ćwierćwiecza) za „zwierzenia” sprzed 11 lat, bez których nie zrodziłaby się motywacja do zredagowania niniejszego tekstu (objętościowo proporcjonalnego do dokumentowanego odcinka czasu).

Archiwum od lat bezskutecznie poszukuje brakujących do kolekcji czasopism studenckich. Są to: „Pała. Satyryczny organ Koła Naukowego Polonistów”, wydany w roku 1959/1960, i „Węzły. Miesięcznik studencki WSP w Krakowie”, którego sześć numerów ukazało się w 1962 r.

W związku z jubileuszem dwudziestolecia Archiwum UP ogłaszamy „Dzień Otwartych Drzwi”. Zainteresowani odwiedzinami (pracownicy, studenci i osoby towarzyszące) w siedzibie Archiwum będą przyjęci w dniu Święta Uczelni 12 maja 2014 r. (poniedziałek) o godzinie 15 przy ul. Podchorążych 2 (parter, dziedziniec wewnętrzny).

Cała książka z jednej głowy

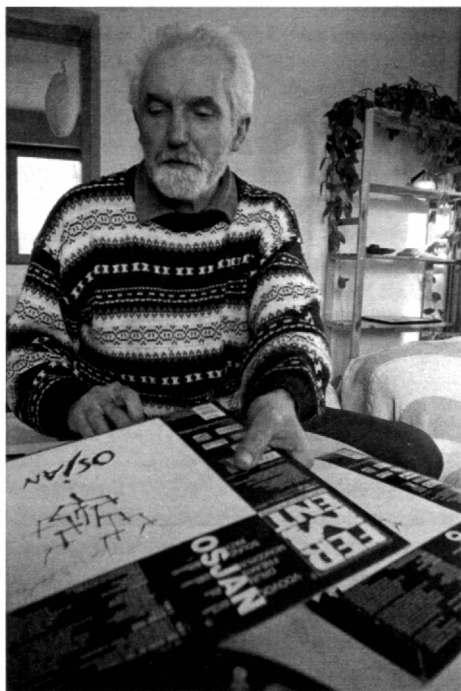
O literaturze opowiada Radosław Nowakowski

Kazimierz Mrówka, Marcin Kania: Jest Pan autorem własnoręcznie wykonanych książek. Na stronie redakcyjnej *Nieposkładanej teorii sztuki* jest napisane: „Wymyślił, napisał, zaprojektował, narysował, zredagował, złożył, wydrukował, oprawił Radosław Nowakowski”. Można jeszcze dodać: „sprzedał”. Dlaczego nie chce Pan podzielić się pracą z re-

daktorami, korektorami, drukarzami i księgarzami? Dlaczego sięgnął Pan właśnie po taką formę typograficznego opracowania tekstu?

Radosław Nowakowski: Kiedyś, może z 10 lat temu, rozmawiając w pewnym bardzo zacnym wydawnictwie o jakimś tłumaczeniu, pokazałem też swoją książkę. Z ust redaktora naczelnego usłyszałem wtedy bardzo interesujące zdanie: „Pan nam odbiera całą przyjemność robienia książki”. Teraz, przywołując tę historyjkę, pomyślałem sobie: „A dlaczego miałbym im zostawiać tę przyjemność?”

Owa przyjemność, choć wielka, należy jednak do mniej ważnych przyczyn tego stanu rzeczy. Najważniejsze jest podejście do książki zupełnie inne niż zakłada konwencja. Otóż normalny, konwencjonalny pisarz pisze tekst. Ten tekst przynosi do wydawnictwa, a wydawnictwo opakuje go w książkę. W pewnym uproszczeniu: pisarza interesuje tylko tekst. Nie interesuje go papier, czcionki, kompozycja strony, okładki, cała maszyneria i architektura przedmiotu zwanego książką, ponieważ konwencja zakłada, że jest to jedynie pozbawione znaczenia opakowanie tekstu. Według tej konwencji treść = tekst. „Nienormalny”, niekonwencjonalny pisarz pisze książkę. Wszystkie elementy, z których składa się książka, są treścią. Według nie-konwencji (lub według „nienormalnej” konwencji) treść bowiem to książka. Na dodatek tak się w moim wypadku złożyło, że



Radosław Nowakowski – pisarz, tłumacz, projektant książek, instrumentalista zespołu Osjan (fot. M. Kania)



Nieopisanie świata – wersja w formie mapy (fot. M. Kania)

potrafię sam zapanować nad żywiołem książki. Nie jestem skazany na współpracę z grafikiem i lamaczem. To bardzo istotne, gdyż wtedy książka wychodzi z jednej tylko głowy. Nie ma w niej żadnych kompromisów prócz tych zawieranych z ograniczeniami technologicznymi i z samym sobą, na nikogo nie mogę zważyć winy. Zresztą nie przepadam za korporacyjnym modelem pracy. Mam naturę samotnika. Twórczość jest domeną samotników.

Przy całym moim uwielbieniu dla tekstu od samego początku towarzyszyło mi niejasne odczucie, że tekst to nie wszystko, że trzeba wyjść poza niego, że trzeba coś dodać, jakoś mu pomóc, kiedy sobie nie radzi, kiedy znaczy nie to, co chcielibyśmy, żeby znaczył. I gdybyśmy prześledzili historię literatury, to okazałoby się, że takie odczucie towarzyszyło bardzo wielu pisarzom, a każdy z nich na swój sposób próbował uwolnić się od tyranii tekstu, wyjść poza jego granice.

W *Traktacie kartograficznym* pojawiają się triada: oratura – literatura – liberatura. Czy

Pana dzieło mieści się w granicach liberatury? Czy chodzi tu o rozwój historyczny, w którym na początku była oratura, po której nastął czas literatury, a po literaturze – liberatura, czy o inny podział? A jeśli o rozwój historyczny, to czy liberatura jest docelową formą rozwoju sztuki książki? Czy może być coś po literaturze?

Oratura, literatura i liberatura dotyczą przestrzeni. Określają pewne obszary działania, a nie okresy, bo nie wiemy, co kiedy powstało, co było przed, a co po. Wchodząc do egipskiej świątyni w Abu Simbel czy Karnaku, wchodzimy do księgi. Australijscy Aborygeni widzą w formach krajobrazu, przez który wędrują, zapis mitu, więc w pewnym sensie wędrują przez księgę. Pojawiający się w *Traktacie* postulat „wyraz – obraz – naraz” jest realizowany w kulturze chińskiej czy japońskiej właściwie od zawsze. Ludzie nie przestali sobie opowiadać rozmaitych historii. Mimo iż pojawiło się pismo, oratura dalej istnieje i ma się dobrze. Pojawienie się słowa „liberatura” nie stworzyło liberatury. Nazwy niczego nie stwarzają. Nazwom

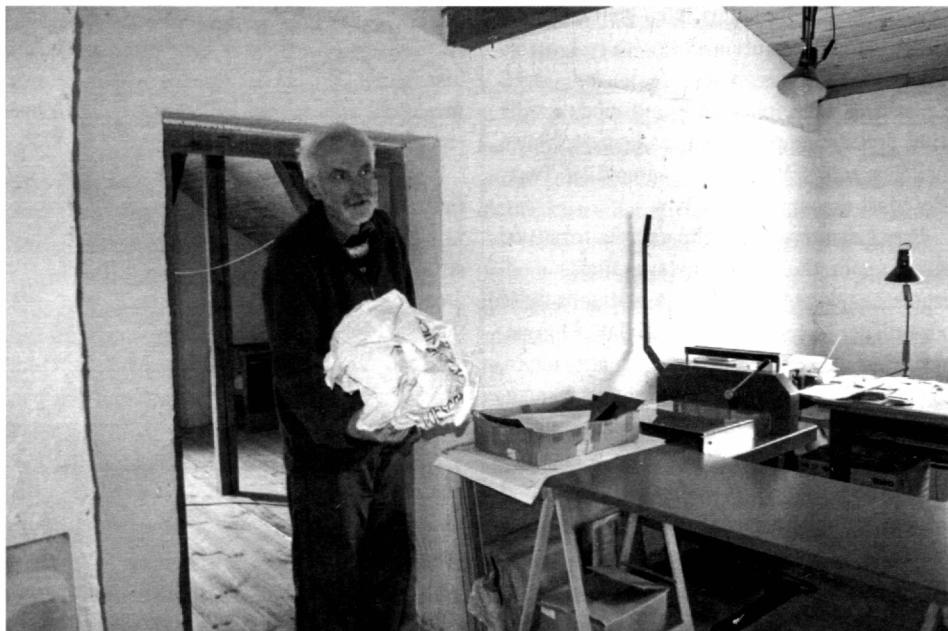
niekiedy udaje się coś uporządkować, zwrócić naszą uwagę na odrębność jakiegoś zjawiska. Oratura, literatura i liberatura to są obszary, które współistnieją, zahaczają o siebie, nakładają się na siebie, stykają ze sobą. Pewne fragmenty tych obszarów są wspólne, inne nie.

Zapewne to, co robię, jest liberaturą. To, czy coś jest liberaturą, czy nie, zależy w dużej mierze od definicji liberatury. Podobnie jest w wypadku jazzu, impresjonizmu, nowej fali, muzyki „fruwającej ryby” czy setek innych określeń. Dzieła żyją swoim życiem i jest im obojętne, jak są klasyfikowane. Dąb nie zmieni swojego wyglądu ani kształtu liści, jeśli zaczniemy nazywać go sosną. Problem będzie miał odbiorca, jeśli zbyt wiele zawierzy nazwom.

Czy będzie coś po liberaturze? Na pewno coś będzie, lecz nie po, a obok. Jeśli naukę i technikę mógłbym porównać do rzeki dokądś płynącej, to sztuka przypomina mi jezioro, którego stojąca woda nieustannie faluje, drży i mieni się.

Swoją refleksję nad światem i sztuką nazywa Pan „nieopisaniem świata”. Dlaczego nieopisanie zamiast opisanie?

Nieopisanie świata jest trochę żartobliwą parafrazą *Opisania świata* Marco Polo. Być może to właśnie lektura tej książki blisko 40 lat temu kazała mi zadać sobie fundamentalne pytanie: czy świat można opisać, a jeśli tak, to w jaki sposób? To pytanie jest fundamentalne, bo zawiera w sobie inne pytania, na przykład: „Jaki jest ten świat?”, „Jak świat działa?”, „Co to jest świat?” – to po pierwsze. Po drugie – mówimy, że coś jest nieopisanie piękne albo że zapanował nieopisany chaos, co wskazuje na ograniczenia oraz ułomności mowy i pisma, a może także i na ułomność świata, który nie chce się nijak zmieścić w naszym opisie. Po trzecie zaś – od samego początku do opisywania świata używałem nie tylko pisma. Używałem także nie-pisma. Bo czymże jest kolor czcionki czy faktura papieru? A trójkątny lub trapezowy kształt książki? Jej konstrukcja, architektonika, przepływ tekstu, relacja między poszczególnymi elementami, z których książka się składa? Stąd moje zainteresowanie teorią języka, pisma, znaku. Wszak są to narzędzia, za pomocą których opisuje świat. Należy więc te narzędzia poznać, żeby wiedzieć, co przy ich użyciu da się zrobić,



Nieopisanie świata – wersja w formie globusa (fot. M. Kania)

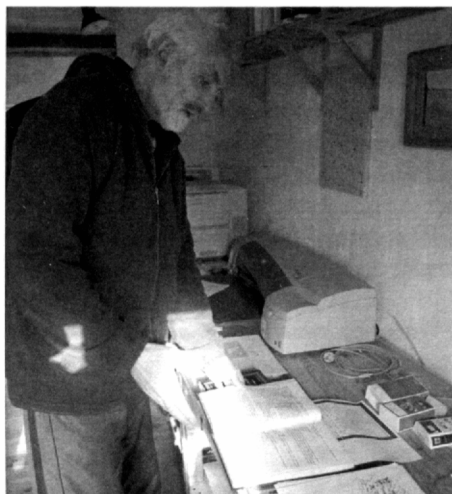
a czego nie, i jaki sposób one deformują to, co próbują opisać.

Jest Pan autorem powieści hipertekstowej pt. *Koniec świata według Emeryka*, wydanej przez Korporację Ha!art na płycie CD. Tej powieści nie dałoby się czytać w tradycyjnej, papierowej formie. Pozostałych wydanych przez Pana dzieł literackich nie da się jednak wydać w formie e-booków ze względu na ich liberacki charakter. Czy liberatura – chociaż chętnie eksperymentuje ze zdobyczami informatyki – nie jest tą dziedziną sztuki, która oprze się przeniesieniu całej literatury w świat wirtualny? Innymi słowy: czy to nie właśnie awangardowa liberatura obroni wartości konserwatywne w kulturze książki?

Być może tak. Wiele na to wskazuje. Chociaż wydaje się, że książka papierowa obroni się sama. Fotografia nie wyeliminowała całkowicie malarstwa, a film nie doprowadził do zagłady teatru. Istnieje jeszcze pewien czysto praktyczny aspekt: książka papierowa zawsze działa. Tej zimy przez trzy dni nie mieliśmy prądu na skutek oblodzenia kabli. I co? I nic. Monitory umarły, książki żyły.

Studiował Pan architekturę, co zresztą znajduje odbicie w formie Pana książek – tej materialnej, ale również konceptualnej. Widać to szczególnie w *Ulicy Sienkiewicza w Kielcach*, ale również w innych pracach. Pana książki są jednak bardzo refleksyjne. Nie bawi się Pan w literaturę i literaturą, nie uprawia Pan sztuki dla sztuki, ale próbuje przez literaturę zrozumieć świat. Nie studiował Pan filozofii, ale swą oryginalną filozofią mógłby Pan zawstydzić niejednego zawodowego miłośnika mądrości...

Studiowałem w czasach, kiedy na pierwszym roku mieliśmy dwa semestry zajęć z ekonomii politycznej, a na drugim roku dwa semestry zajęć z filozofii. Czekałem na egzamin wraz kolegą, śmialiśmy się, żartowaliśmy. Powiedziałem: „Nie wiem, jak ja to zdam, bo oprócz własnej filozofii nie znam żadnej innej”. Kolega



Radosław Nowakowski przy jednej ze swoich pierwszych prac (fot. M. Kania)

nagle spowaźniał i odparł: „A ja znam wszystkie inne filozofie oprócz własnej”. I tak chyba jest do dzisiaj. Moja znajoma urbanistka, która zajmuje się teorią przestrzeni (oraz problemem tekstu w przestrzeni i przestrzenią tekstu) i kilka lat temu wykladała na uniwersytecie w Montrealu, zaprezentowała *Ulicę...* na jakimś sympozjum w Ameryce. Opowiadała mi później, że książka ta wywołała wielkie poruszenie wśród uczestników, gdyż oto nagle pojawiło się dzieło, które nie było kolejnym komentarzem do komentarzy, tylko odnosiło się wprost, wręcz namacalnie, do istoty problemu. To tak właśnie jest: ja, (nie)opisując świat, odnoszę się bezpośrednio do świata. Kiedyś chciałem być naukowcem, ale tak się złożyło, że zostałem artystą, od samego początku jednak traktowałem sztukę jako narzędzie poznawania świata. Zamiast lunety czy mikroskopu używam bębnow, ołówków, czcionek, klawiatur. Przyglądam się światu z innej strony, niż czyni to biolog lub fizyk, i zdaję relację z moich badań.

Jest Pan płodnym i oryginalnym pisarzem. Jak Pan to robi, że od lat utrzymuje Pan doskonałą formę i że z Pana warsztatu nie wychodzą dzieła kiepskiej jakości?

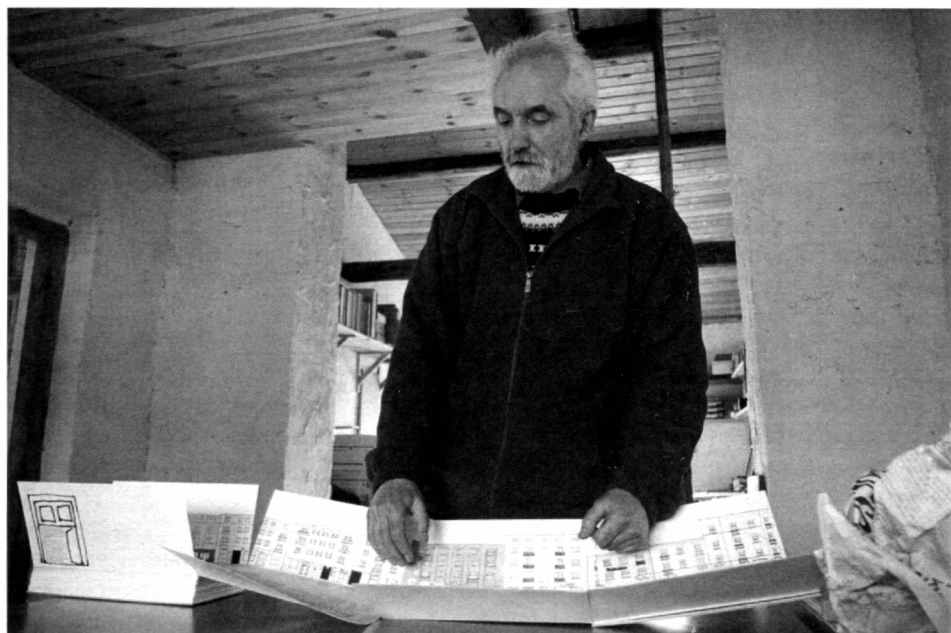
Staram się, jak mogę. Tu nawiążę do pierwszego pytania. Dzięki temu, że wszystko robię sam, nie idę na żadne kompromisy. Kompromisy są może dobre i pożądane w życiu, ale nie w sztuce. Robiąc wszystko sam, mam władzę absolutną nad dziełem, a jak wiadomo, demokracja jest dobra w życiu, ale nie w sztuce. Na szczęście nie muszę swoim absolutyzmem gnębić współpracowników, bo ich nie mam. Każda kolejna książka jest próbą rozwiązania jakiegoś konkretnego problemu. Ponieważ za każdym razem jest to inny problem, nie mogę działać w sposób rutynowy. Muszę zachowywać czujność. Żywię też przeświadczenie, że jeśli tylko artyści nie trapi jakaś choroba, jeśli mu rozumu nie ubywa, jeśli nie przeszkadzają mu koleje losu, historia, katastrofy, to może i powinien rozwijać się harmonijnie. Bo chociaż w sztuce nie ma rozwoju, to artysta się rozwija. Jeśli ten rozwój przebiega w sposób niezakłócony, to im starszy artysta, tym lepsze są dzieła (a przynajmniej nie gorsze). Jest to logiczne, ponieważ dzieło to suma doświadczeń, a tych z wiekiem przybywa. Tu zacytuję wielkiego japońskiego

drzeworytnika Hokusai, zwanego pod koniec życia starcem opętanym rysowaniem:

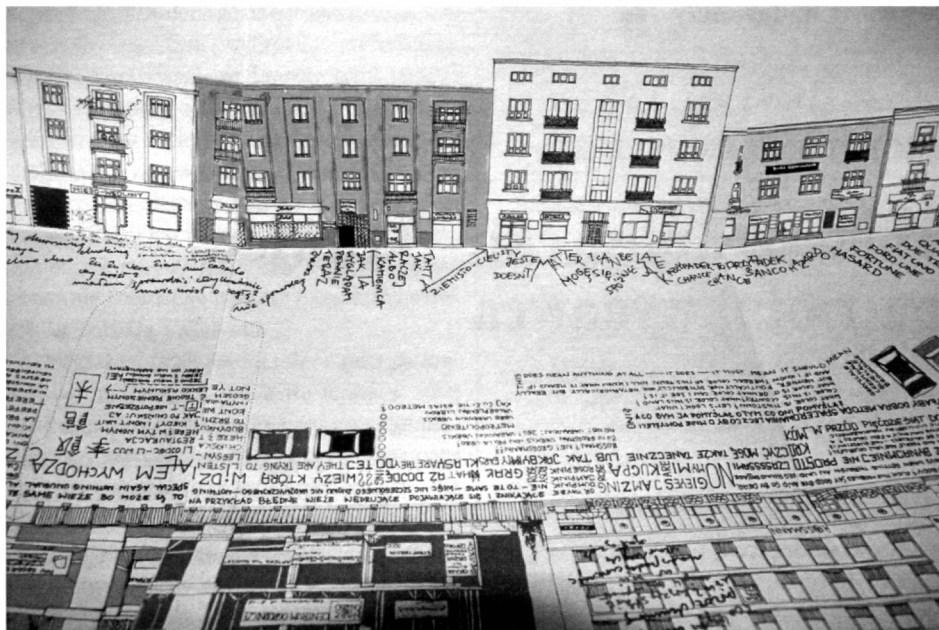
Od szóstego roku życia odczuwałem potrzebę malowania wszystkiego, co widziałem wokół siebie. Gdy osiągnąłem wiek pięćdziesięciu lat, opublikowałem już niezliczoną ilość rysunków, nie byłem jednak z tego, co dotychczas stworzyłem, zadowolony. Dopiero teraz, gdy skończyłem siedemdziesiąt trzy lata, zbliżam się do poznania rzeczywistego kształtu i charakteru ptaków, ryb i roślin. Do osiemdziesiątego roku życia zrobię dalsze postępy, a w dziewięćdziesiątym wniknę w istotę wszystkich rzeczy. W setnym roku osiągnę wysoki stopień doskonałości, gdy zaś dożyję stu dziesięciu, wszystko, co stworzę, każdy punkt, każda kreska będzie żyć własnym życiem.

Czy to, że mieszka Pan na wsi i „w pięknych okolicznościach przyrody” ma wpływ na tworzoną przez Pana literaturę?

Oczywiście. Ciągłe staram się zrozumieć te „piękne okoliczności przyrody” i im dorównać. Zwykle też mówię o tym miejscu, że to takie miejsce, w którym książki piszą się same... Kiedyś, kiedy już nie będę mógł przebierać palcami



Fragment *Ulicy Sienkiewicza w Kielcach* (fot. M. Kania)



Fragment Ulicy Sienkiewicza w Kielcach, widziany z góry (fot. M. Kania)

po klawiaturze ani utrzymać w dłoni ołówka, rozłóżę po całym ogrodzie kartki papieru (zakładam, że to będę mógł zrobić). Poczekam aż minie tydzień, może dwa... Zbiorę je. Zobaczę, co się napisało. Jeśli będzie to ciekawe, to szcziepię jakoś te kartki i zrobię z nich książkę. A jeśli nie będę mógł ich szcziepić, to włożę do pudełka. Zatytułuję jak zwykle: *Nieopisanie świata*. Tym razem będzie to część ostatnia. A jako autora podpiszę „Świat”.

Jest Pan również autorem przekładów tekstów literackich. Jak to jest samemu pisać, a jak tłumaczyć powieść napisaną przez kogoś innego?

Jako pisarz jestem władcą absolutnym, jako tłumacz jestem absolutnym poddanym. W dodatku absolutnym przegranym, bo tłumaczenie zawsze będzie gorsze od oryginału. Idealne tłumaczenie powinno być tym samym co oryginał, a to jest niemożliwe. Moze się tylko zbliżyć do oryginału.

Jak Pan ocenia estetykę książki współcześnie promowaną przez różne wydawnictwa?

Nie oceniam. Są rzeczy, które mi się podobają, i takie, które mi się nie podobają. Spotykam książki piękne i paskudne, ładne i nieładne. Jak zwykle. Jak zawsze. Jak wszędzie. To wszystko. Nie próbuję wyciągać ogólnych wniosków, nie śledzę trendów i tendencji. Jakże mógłbym je śledzić, skoro do moich rąk trafia ledwie ułamek tego, co się obecnie wydaje? A gdyby i trafiły do mnie wszystkie książki, to musiałbym je najpierw przeczytać, żeby wiedzieć, dlaczego są takie, jakie są, lub nie są takie, jakie być powinny. To przecież nie jest możliwe, nawet ich przekartkowanie nie byłoby możliwe.

■

Rozmawiali:
Kazimierz Mrówka i Marcin Kania

EWA TŁUCZEK, KAROLINA DURDA

Tomasz Kulczycki – krawiec, patriota, wydawca

Wisława Szymborska pisała kiedyś:

Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci.
Chwiejna waluta. Nie ma dnia
by ktoś wieczności swej nie tracił
(*Rehabilitacja*)

Urodził się 19 marca 1803 r. w Zwierzyńcu, w powiecie zamojskim. Pochodził z lubelskiej szlachty zaściankowej. Według herbarza Adama Bonieckiego trzystu Kulczyckich bez przydomku i z przydomkiem wylegitymowało się ze szlachectwa w sądach ziemskich oraz grodzkich w 1772 r. i w pierwszej połowie XIX w. Rodzina Tomasza Kulczyckiego należała do tych pierwszych. W dokumentach, jakie przedstawiono, aby udowodnić szlachectwo, znalazły się wypisy (prawdopodobnie nieautentyczne)¹ z przywilejów nadanych w 1284 r. przez księcia halicko-włodzimierskiego Lwa Daniłowicza (Lwa Halickiego) i późniejszych, nadanych przez króla Polski Zygmunta Augusta. Udowodnienie szlachectwa miało jedną bardzo istotną zaletę: chroniło od długiej służby wojskowej. Poza tym przywilejem pochodzenie miało dla krawca nie-

wielkie znaczenie. Niemniej kiedy jeden z zalegających z opłatą klientów potraktował Kulczyckiego *per acan*, urażony rzemieślnik zażądał satysfakcji. Do pojedynku nie doszło, ponieważ poszkodowany uznał, że nie będzie się pojedynekował z osobą bez właściwego pochodzenia.

Ojciec Tomasza był oficjalistą, prawdopodobnie w ordynacji Zamoyskich w Zwierzyńcu niedaleko Zamościa, gdzie mieszkał wraz z żoną Łucją. Po ukończeniu szkoły podstawowej we Lwowie Tomasz został uczniem krawieckim.

¹ Odpis dokumentu Lwa Daniłowicza znajduje się w spisie dokumentów pozostałych po śmierci Tomasza Kulczyckiego, a sporządzonych przez Kajetana Jabłońskiego (Dokumenty do biografii Tomasza Kulczyckiego krawca, rkps, BJ, syg. 4943. Pisała też o tym J. Rosnowska w artykule *Twórcy „Dziennika Mód Paryskich”* („Kwartalnik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” VI, 1967, zesz. 2, s. 62).



W 1818 r.² wyzwolono go na czeladnika, po czym udał się na tzw. wędrowkę czeladniczą. W 1829 r. otrzymał we Lwowie tytuł mistrza i wcześniej zaczął odgrywać istotną rolę w miejscowym życiu cechowym. Kiedy zawarł związek małżeński z wdową Teresą Lendhardt, stał się posiadaczem własnego warsztatu i obywatelem Lwowa. Po śmierci żony Kulczycki zmienił wyznanie na ewangelickie, aby móc ożenić się ponownie (notabene bardzo szczęśliwie) z rozwódką Barbarą Angerman.

Odegrał on przełomową rolę w rozwoju krawiectwa w Galicji, a być może nawet w całej Polsce. Nie był rzemieślnikiem przeciętnym, a raczej nowatorem, który wywarł znaczący wpływ na rozwój rzemiosła krawieckiego³. Na prośbę Karola Estreichera lwowski księgarz Kajetan Jabłoński wraz z Januarem Poźniakiem zbierali we Lwowie informacje na temat Tomasza Kulczyckiego⁴. Z ich kwerend wynika, że młody wówczas rzemieślnik dowiedział się w 1830 r. od swojego przyjaciela Milikowskiego, zawiadowcy księgarni, że nadeszła z Paryża nowa przesyłka książek. We wspomnianej przesyłce miała znajdować się broszurka autorstwa paryskiego krawca Compaing, traktująca o nowym, wynalezionym przez niego kroju. Kulczycki kupił ową broszurkę, oddał do tłumaczenia, a w 1840 r. wydał własną, o tytule *Rozprawa o kroju sukien męskich podług wyrachowania matematycznego*, a we wstępie do niej skomentował tekst Compaing.

Nowy system okazał się rewelacyjny. Dzięki popularyzowaniu metody zachodniej oraz bo-

² J. Rosnowska we wspomnianym artykule podaje tę datę. Z. Sokół w artykule *Tomasz Kulczycki krawiec – redaktor i wydawca lwowski* (w: *Kraków – Lwów. Książki, czasopisma, biblioteki XIX i XX wieku*, red. J. Jarowiecki, t. 5, Kraków 210, s. 499–518) podaje 1824 rok. *Polski słownik biograficzny* pomija datę wyzwolenia na czeladnika.

³ W. Dobrzański, *Krótki zarys historii krawiectwa i kroju*, Gdańsk 1947, s. 20.

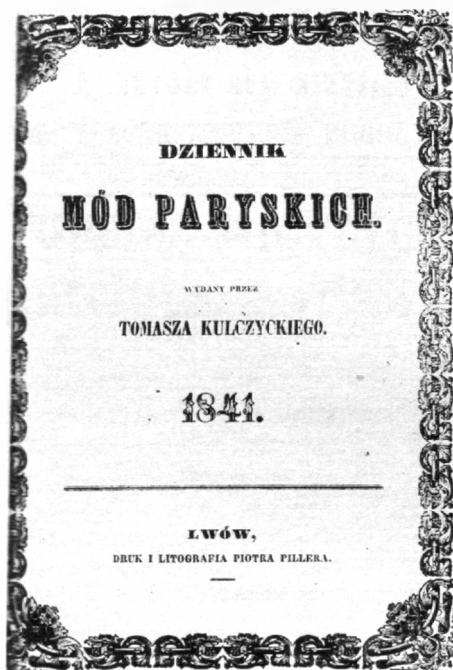
⁴ Rękopisy listów niewykorzystanych przez K. Estreichera znajdują się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej (Dokumenty do biografii Tomasza Kulczyckiego krawca, rkps, BJ, sygn. 4943).



gactwu materiałów sprowadzanych z zachodnich fabryk Kulczycki w krótkim czasie zyskał renomę i zagraniczną klientelę. W zachowanych dokumentach z biografii Tomasza Kulczyckiego widnieje notatka K. Jabłońskiego potwierdzająca sukces zawodowy lwowskiego projektanta:

Wszystko rzuciło się do niego, by mieć suknię podług nowego sposobu zrobioną, a gdy się nadto przekonało, że ogłoszenie jego nie zwiodło [...] już też i ustaloną widział swoją przyszłość.

W roku 1835 Kulczycki kupił we Lwowie kamienicę przy ulicy Wałowej 301. Mieścił się tam jego dom, zakład krawiecki, wytwórnia bieleziny, a także skład materiałów. Miejsce to stało się kolebką życia towarzyskiego mieszczan, a po kilku latach – również areną wydarzeń politycznych. Kulczycki sam bezpośrednio opatrywał się w niezbędne do produkcji materiały, co zapewniło mu miano manufakturzysty-kapitalisty. W swojej pracowni zatrudniał 50 czeladników. Cieszył się dużym szacunkiem i poważaniem, czego efektem był wybór na pro-



wizora przedsiębiorstw krawieckich prowadzonych przez wdowy. W roku 1830 został mianowany honorowym asesorem dla pilnowania w sądzie karnym ścisłości protokołu zeznań i wyjaśnienia ich sędziom niemieckim. Mieszkańcy Lwowa, jak pisał J. Poźniak, uważali krawca za osobę „głęboko uspołecznioną”⁵. Jako komendant korpusu strzeleckiego w Bractwie Strzeleckim, a także jako król kurkowy, podporządkował sobie jego społeczne fundusze, dzięki czemu mógł zaopatrywać wdowy. W 1843 r. został prezesem Galicyjskiej Kasy Oszczędności. Wiązało się to z licznymi podróżami do Warszawy, Wiednia i Kijowa, gdzie cieszył się opinią doskonałego fachowca, a z jego doświadczenia korzystali miejscowi krawcy.

Kolejnym przedsięwzięciem Kulczyckiego było założenie z inicjatywy Józefa Borkowskiego czasopisma literackiego „Dziennik Mód Paryskich”, którego zadaniem miało być propagowanie mody zachodniej na ziemiach polskich.

⁵ Tamże.

Pierwszy numer pisma ukazał się w styczniu 1840 r. Periodyk był kopalnią wiedzy o życiu literackim, teatralnym oraz artystycznym, odegrał również ogromną rolę w dziejach czasopiśmiennictwa galicyjskiego. Kulczycki „oszukał” władze galicyjskie co do charakteru pisma. Mieszkanie krawca, a jednocześnie lokal redakcyjny, w czasie galicyjskiej Wiosny Ludów stało się miejscem ważnych wydarzeń politycznych. To właśnie w nim ułożono oraz masowo w 1848 r. podpisywano „adres 18 marca” – uchwałę o powołaniu do życia Rady Narodowej. Sam Kulczycki zaś wszedł do Centralnej Rady Narodowej i do Rady Administracyjnej Gwardii Narodowej, gdzie należał do grupy opozycyjnej względem dowództwa Gwardii. Dzięki tej przynależności energicznie angażował się w wystąpienia w Wydziale Bezpieczeństwa przeciwko biurokracji i objawom soldateski. Na każdym kroku podkreślał historyczną rolę mieszczaństwa cechowego. Z pomocą lwowskich literatów wydał *Rys historyczny wraz ze zbiorem przywilejów Towarzystwa Strzeleckiego Lwowskiego*⁶, który był zbiorem dokumentów wydanych od czasów Henryka Walezego począwszy. Wraz z reorganizacją samorządu wszedł do Rady Miejskiej, lecz niestety gasnące nadzieje wolnościowe wśród ludzi odbiły się niekorzystnie na jego wizerunku, pozycji i majątku.

Jako wydawca „Dziennika Mód Paryskich” stracił na tej inwestycji 10 tys. zł⁷, a jego zakład opuściła wyśmiewaną w czasopiśmie klientela ziemiańska. Kulczycki stał się celem inwigilacji władz. Jego działań nie popierała mieszkająca z nim matka, która potępiała działalność charytatywną i narodowościową syna, w przeciwieństwie do drugiej żony, wspierającej go w społecznych i patriotycznych działaniach. W konsekwencji Kulczycki zmuszony został do sprzedaży domu i przeniesienia się do ubogiej dzielnicy. Jeszcze w 1854 r. został powołany na In-

⁶ T. Kulczycki, *Rys historyczny wraz ze zbiorem przywilejów Towarzystwa Strzeleckiego Lwowskiego*, Lwów 1848.

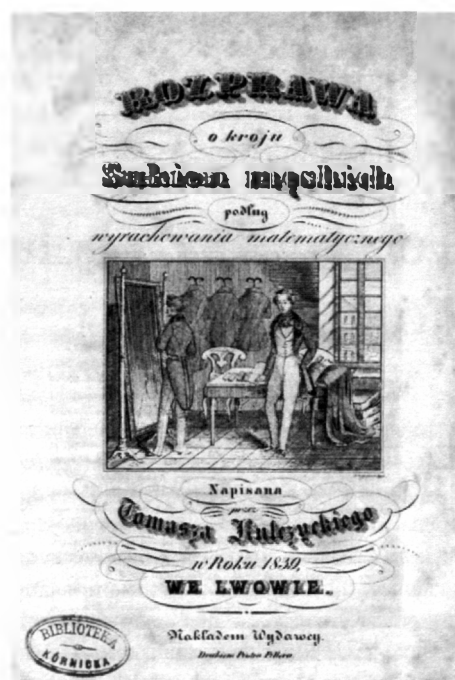
⁷ Od roku 1848 „Dziennik Mód Paryskich” zmienił nazwę na „Tygodnik Polski”.

spektora Izby Rzemieślniczej a w 1846 r. – do komitetu Rzemieślniczej Kasy Pożyczkowej. Niestety, był to koniec jego aktywności. Zmarł 3 listopada 1873 r. w biedzie, długach i zapomnieniu.

Z rękopisu listów J. Poźniaka wynika, że to nie „Dziennik” stał się jedynym powodem ruiny materialnej krawca, jak się powszechnie uważa. Kulczycki sam doprowadził do takiej sytuacji przez... uczciwość. Jak wszyscy rzemieślnicy krawieckiego cechu zaopatrywał się w sukna przemycane przez granice zaboru, co niestety bardzo skrupulatnie zapisywał. Podczas rewizji w warsztacie odnaleziono zapisy transakcji. Kulczycki nie przystał na propozycję wykradzenia ksiąg, aby nie narazić nikogo na kłopoty. W konsekwencji został skazany przez sąd na grzywnę w wysokości 10 tys. zł reńskich. Wielokrotne odwołania do Wiednia nie przyniosły

UWIADOMIENIE.

W wykazie pism periodycznych, pozwolonych w państwie rosyjskiem na rok nadchodzący 1844, który urzędowo drukiem ogłoszono, znajduje się obok licznych dzienników francuskich i niemieckich dziennik mód paryskich wydawany przez Tomasza Kulczyckiego, a cena jego oznaczona rocznie wynosi rubli srebrnych dziesięć w Petersburgu. Dla tych którzy na prowincji ten dziennik odbierają doliczy się do ceny powyżej oznaczonej za przesyłkę pocztową rocznie rubli srebrnych dwa. Odtąd kaźden życzący sobie ten dziennik trzymać, raczy się przez najbliższy kantor pocztowy z zaliczeniem prenumeraty udać do głównego pocztamtu ekspedycji gazet w Petersburgu, gdzie wszystkie pisma periodyczne prenumerują się, a to niepoźniej jak w pierwszych dniach grudnia 1843 roku, a to dla tego, ażeby pojedyncze numera wcześniej swych właścicieli dochodziły.



żadnych rezultatów. Grzywny nie umorzono, jedynie zmniejszono ją nieznacznie. Prawdopodobnie stąd wyciągnięto mylne wnioski, że to „Dziennik”, na który rzekomo wyłożył wspomniane 10 000 zł, doprowadził go do bankructwa. Tomasz Kulczycki, za życia chętnie piastujący funkcje państwowe, był bezinteresownym mecenasem kultury i szczerym patriotą. Spore straty poniósł na szyciu mundurów dla gwardzystów oraz legionistów polskich na Węgrzech czy powstańców styczniowych.

W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej znajduje się rękopis, który powstał z listów J. Poźniaka, oraz dokumenty uwiarygodnione podpisami i pieczęciami, świadczące o jego społecznikostwie i oddaniu sprawom wolności narodowej. ■

Wykorzystane w artykule materiały ikonograficzne pochodzą ze zbiorów Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej oraz ze zbiorów autorek.

MAREK KARWALA

Teatr MIST obchodzi dwudzieste urodziny

Enigmatyczna nazwa MIST skłania publiczność teatralną do snucia różnych przypuszczeń co do jej znaczenia i pochodzenia. Jedni wskazują na związki z językiem angielskim, gdzie *mist* to mgła, mgiełka, a *mystery* oznacza tajemnicę. Inni są skłonni wywodzić tę nazwę od średniowiecznego gatunku teatralnego – misterium; jeszcze inni po prostu sądzą, że dwie pierwsze litery pochodzą od nazwiska Michno, a dwie kolejne od imienia Stanisław. Sam Stanisław Michno uśmiecha się tylko tajemniczo i twierdzi, że wszystkie te pomysły są... uprawnione.

Teatr powstał w 1994 r., ale zanim do tego doszło, jego twórca odbył długą, niekiedy wyboistą drogę zarówno w życiu, jak i na scenie. Stanisław Michno przyszedł na świat 10 stycznia 1936 r. w miejscowości Kowel na Wołyniu. Oczyma dziecka oglądał podniebne pojedynki samolotów hitlerowskich z bolszewickimi; przyszło mu także doświadczyć bombardowania rodzinnego miasta i zetknąć się bezpośrednio ze śmiercią. W 1945 r. pociąg repatriantów dowiózł rodzinę Michnów do Olsztyna. Będąc jeszcze uczniem, Stanisław podjął pracę zarobkową, a w szkole. Jak wspomina, był dyżurnym mówcą i recytatorem. Występował także w inscenizacjach organizowanych przez Dom Kultury w Olsztynie i spodobało mu się to tak bardzo, że postanowił zostać zawodowym aktorem. Co zamierzył, zrealizował. W 1957 r. uzyskał dyplom w Państwowym Studium Dramatycznym przy Teatrze Śląskim w Katowicach, gdzie zdobywał wiedzę i umiejętności m.in. pod kierunkiem

Gustawa Holoubka. W latach 1957–1964 występował na deskach scenicznych Grudziądza, Olsztyna i Tarnowa, a następnie (1964) przyjął go do swego zespołu w nowohuckim Teatrze Ludowym Józef Szajna. W tzw. międzyczasie skorzystał z zaproszenia Alojzego Nowaka i grał gościnnie w bielsko-bialskim Teatrze Polskim (1975). W latach 1978–1981 związał się z krakowskim teatrem Bagatela, zaś w 1981 r. wyjechał do USA na zaproszenie Polsko-Amerykańskiej Fundacji Kultury. Tam gorzko przeżywał wprowadzony w Polsce stan wojenny. Pozostał w Ameryce aż do 1986 r. W Chicago współtworzył Teatr Polski, występował także w słynnym wówczas kabarecie Żelazna Kurtyna (tam zetknął się bliżej m.in. z Jackiem Kaczmarskim). Po powrocie do kraju został przyjęty przez Tadeusza Kantora do jego zespołu Cricot 2, gdzie występował przez cztery lata do śmierci twórcy teatru (1990), a następnie znalazł się w składzie grupy Aktorzy Teatru Cricot 2, której przewodził Andrzej Welmiński.

Stanisław Michno zagrał dotąd ponad 100 ról teatralnych, w tym sporo głównych, u wielu reżyserów, w tym także tej miary co Józef Szajna czy Jerzy Jarocki. Brał udział w rozlicznych festiwalach teatralnych: we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie, Lublinie, Szczecinie i innych.

W 1994 r., jak się zwykło potocznie mawiać, „przeszedł na swoje”. Wtedy bowiem powołał do istnienia Teatr MIST, w którym występują zarówno aktorzy zawodowi, jak i wybitnie uzdolnieni amatorzy, wyłonieni w castingach. W ciągu 20 lat działalności teatr zrealizował wiele

ambitnych spektakli, które warto w tym miejscu przypomnieć, nie tylko z uwagi na obchodzony w bieżącym roku jubileusz. A oto i one: *Sceny z Szekspira* (1994; na podstawie *Ryszarda III*, *Hamleta* oraz *Romea i Julii*), oprac. i reż. Stanisław Michno (dalej będą stosowane inicjały S. M.); *Car Miłosz i caryca Swietłana* (1994; na podstawie reportażu Miłosza P. Wnuka *Świt nowej Rosji*), reż. S. M.; *Gimpel* (1995; według opowiadania I. B. Singera *Gimpel głupek*), oprac. i reż. S. M.); *Mówca* (1996; według T. Kantora, W. Szekspira i E. Stachury), oprac. i reż. S. M.; *Magiczna moc* (1997; według I. B. Singera), oprac. i reż. S. M.; *Szwejk* (1998) (na podstawie *Przygód dobrego wojaka Szwejka* J. Haška), adaptacja i reż. S. M. W 1999 r. nastąpiło nawiązanie współpracy z Wadowickim Centrum Kultury, gdzie Stanisław Michno założył wraz z grupą miejscowej młodzieży Teatr Młodych „Sokół”, gdzie powstają przedstawienia, ważne ze względu na ich kontynuację w Teatrze MIST: *Antygona* Sofoklesa (2000), *Wowro* według T. Seweryna i E. Zegadłowicza (2001) oraz *Jest Teatr!... Nasz!*, na podstawie wspomnień K. Wojtyły; *Grabiec – król dzwonkowy i świat fantastyczny według „Balladyny” Juliusza Słowackiego* (2000), reż. S. M.; *Az do śmierci* (2001), według A. Oza, scenariusz K. Miklaszewski i S. M., reż. K. Miklaszewski. W 2002 r. powstała Fundacja Międzyludzkie Inspiracje Sztuką Teatralną Teatr MIST, której celem jest tworzenie i wspieranie ruchu teatralnego propagującego przyjaźń między ludźmi i szacunek bez względu na pochodzenie i wyznanie. Kolejne spektakle: *Love story według Bohumila Hrabala* (2003; na podstawie opowiadań B. Hrabala, oprac. i reż. S. M.); *Moskwa–Pietuszki* (2004; według W. Jerofiejewa), adaptacja i reż. S. M.; *Hamleci z Placu Centralnego* (2005; na podstawie twórczości S. Wyspiańskiego (przekład *Hamleta*), W. Szymborskiej, E. Stachury, A. Bursy, S. Stanucha), układ tekstów i reż. S. M. (z grupą nowohuckiej młodzieży w Teatrze Łaźnia Nowa); *Ulisses* (2005; według J. Joyce’a), scenariusz i reż. S. M.; *Publiczność* (2006; według P. Handtkego), reż. B. Piotrowski; *Minęło... minęło... i tak przemi-*

na wszystkie historie (2007; na podstawie spektakli T. Kantora, wspólnie z teatrem Akto-ry Teatru Cricot 2), reż. A. Wełmiński; *Mój Dekalog – czyli 10 wariacji na temat wariacji* (2008; według opowiadania M. Koniecznego), scenariusz i reż. S. M. i W. Michno; *Goplana i Grabiec – czyli niemożliwa miłość* (2009; nowa wersja przedstawienia z 2000 r.); *Kokaina* (2010; według poezji E. Darkla), reż. P. Bitka Zapendowski; *Lekarz mimo woli* (2011; według Moliera), reż. S. M.; *Ten fantastyczny burdel* (2012; według E. Ionesco), reż. S. M.; *Wowro – świątkarz i beskidzki powsinoga* (2013; według T. Seweryna i E. Zegadłowicza), oprac. i reż. S. M.

Jak widać, dorobek Teatru MIST jest imponujący i co warto podkreślić, Stanisław Michno sięgał nie tylko po klasykę, ale też po twórczość mniej znaną. Podejmował ryzyko uwspółcześniania starych tekstów, aby wyeksponować ich uniwersalne przesłania, starał się docierać bezpośrednio do widza, nie czekając jedynie na aktywność z jego strony. Z zaprezentowanego dorobku wyraźnie widać, że Michno przyjął azy- mut ku wartościom i służeńiu prawdzie; uznał – zapewne słusznie – iż teatr jest na tyle istotnym miejscem, aby traktować je z pełną powagą (szkoda, że ta dewiza nie zawsze przy-świeca twórcom, którzy decydują o kształcie i charakterze inscenizacji na najważniejszych polskich scenach...). W kontekście kryzysu, który zawałdął wieloma rodzimymi scenami, alternatywna scena MIST może być przykładem tego, jak należy „robić teatr”.

Aktorzy, których widzowie mogli najczęściej oglądać w Teatrze MIST, to m.in.: Wojciech Michno, Agnieszka Michno, Anna Dzierża, Agnieszka Wielgosz, Ola Barczyk, Zina Zagner, Katarzyna Kolanowska, Filip Jurkowski, Tomasz Ponیزی, Karolina Bondaronek, Robert Trybus, Tomasz Pilch, Karolina Suchoń... i oczywiście Stanisław Michno. Chociaż Teatr MIST nie ma własnej sceny i występuje gościnnie w różnych miejscach – najczęściej w Centrum Sztuki Współczesnej „Solvay” oraz w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie – to przecież nie przeszkadza to w osiągnięciu wysokiego poziomu

kolejnych spektakli, docenianych zarówno przez widzów, jak i krytykę, która obdarowała zespół i jego twórcę licznymi nagrodami. Grupa teatralna Stanisława Michny odbyła wojazę zagraniczne, z których zawsze wracała „z tarczą”, o czym mogą świadczyć pochlebne recenzje w prasie anglojęzycznej. Teatr uczestniczył ponadto w festiwalach zagranicznych: w Szkocji, na Słowacji i w Czechach.

Wydaje się, że tajemnicy sukcesu artystycznego tej sceny alternatywnej należy upatrywać w swoistym credo, jakie sformułował ongiś jej twórca, a które brzmi następująco: „Obiektem zainteresowania realizatorów przedstawień winien być człowiek – w jego wielkości i małości, śmieszny i tragiczny. Dlatego unikać będziemy wyrafinowanych inscenizacji, które ten obraz mogą zniekształcić. Będziemy z uporem dążyć do doskonalenia warsztatu aktorskiego, aby ukazać prawdziwe oblicze iluzorycznej teatralnej rzeczywistości w zderzeniu z człowieczą duchowością”.

Owo teatralne „wyznanie wiary” przyświecało wszystkim zrealizowanym spektaklom i w dalszym ciągu jest aktualne, dlatego zapewne widz rozpozna je w planowanych na najbliższą przyszłość przedstawieniach: *Antygonie* w reżyserii S. M. (niezwykle interesująco zapowiada się m.in. scenografia, którą przygotowuje znakomity malarz, grafik i poeta Grzegorz Stec; uwagę zwraca także mocna obsada aktorska), *Aktorze według Tadeusza Kantora* (scenariusz, reż. i wykonanie S. M.) oraz w *Dzienniku duszy Jana XXIII* (scenariusz i reż. A. Pisarek, wykonanie m. in. S. M.).

Na ten świąteczny, jubileuszowy czas wypada życzyć – co niniejszym czynię – Teatrowi MIST dalszych świetnych realizacji scenicznych, rozumnej i licznej publiczności, zaś jego twórcy

i zarazem dyrektorowi kolejnych ambitnych przedsięwzięć, znakomitych pomysłów i artystycznych spełnień. Panie Stanisławie – niech wena będzie przy Panu podczas jeszcze wielu takich jubileuszy.

Postscriptum: 27 marca bieżącego roku odbyła się na scenie Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie prapremiera monodramu *Aktor według Tadeusza Kantora*. Monodram jest jedną z najtrudniejszych form teatralnych, gdyż wymaga pełnej i nieustannej aktywności od jedynego aktora biorącego udział w przedstawieniu. Stanisław Michno poradził sobie z tym zadaniem bez zarzutu, więcej – na około godzinę przykuł tak mocno uwagę wymagającej publiczności, że miała ona wrażenie, jakby fizycznie uczestniczyła w próbach odbywających się kiedyś w Teatrze Cricot 2, przeżywała emocje, na które „narażeni” byli (przy całkowitej akceptacji własnej) aktorzy Mistrza. Stanisław Michno, posługując się bogatym spektrum środków artystycznego wyrazu (od patosu po autoironię, od wzniosłości do śmiechu, od nostalgii po satyrę, od wspomnień po uniwersalną refleksję...), zaprezentował widzom całą gamę owych emocji. Oddajmy mu jeszcze na koniec głos: „Być rok u Kantora to tyle co 10 lat w konwencjonalnym teatrze... Być u Kantora to znaczyło zapomnieć o teatralnej przeszłości, tak zwanych sukcesach itp., itd. Być u Kantora to narodzić się po raz wtóry i zobaczyć teatr z innej perspektywy, i uczestniczyć w święcie teatralnym, bo każde przedstawienie to było święto. Ale... aby się tam dostać i być, trzeba było zostać żołnierzem Legii Teatralnej i poddać się musztrze – ćwiczeniom prowadzonym przez Mistrza. A żołnierz-legionista musi być karny i słuchać! I aby stać się kimś, musi stać się nikim”.

OLIWIA BRZEŹNIAK

Centrum Literatury Dziecięcej w Oświęcimiu, czyli miejsce spotkań niezwykłych

Przechodząc przez próg Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Łukasza Górnickiego – Galerii Książki w Oświęcimiu, wchodzi się do niezwykłego miejsca. Od lipca 2011 r. biblioteka mieści się w nowej siedzibie i nieprzypadkowo nazywa się Galerią Książki. Jej budynek został bowiem tak zaprojektowany, aby zapraszać do wejścia i swobodnego spacerowania po nim, a szklane ściany na zewnątrz i wewnątrz zachęcają do zaglądania do środka. Oprócz wypożyczalni i czytelni w bibliotece tej znajduje się Centrum Literatury Dziecięcej (CLD), któremu zostanie poświęcony niniejszy artykuł.

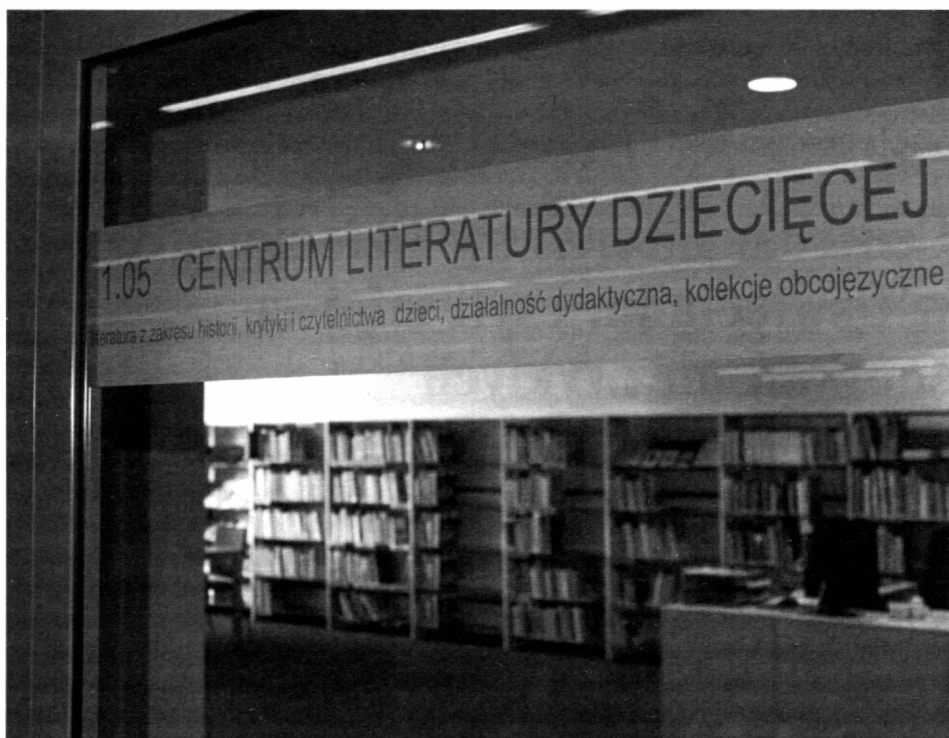
Aby zrozumieć, czym jest to miejsce, należy cofnąć się do lat dziewięćdziesiątych XX w. W kręgu badaczy literatury dla dzieci i młodzieży, zgromadzonych wokół polskiej sekcji IBBY i prof. Joanny Papuzińskiej, zrodził się pomysł powołania początkowo wzorcowej dla innych placówek biblioteki, a później ośrodka o charakterze naukowo-badawczym i dokumentacyjnym, który w kompleksowy sposób zajmowałby się zagadnieniami związanymi z literaturą dla dzieci i młodzieży. Na długo przed powstaniem Centrum J. Papuzińska pisała, że dostrzega „we właściwym środowisku potrzebę wyodrębnienia i scalenia wszystkich informacji dotyczących problemu książki dziecięcej oraz zagadnień jej odbioru”¹. W samym Oświęcimiu działała wtedy bib-

lioteka publiczna i jej Filia nr 5, czyli tzw. Biblioteka pod Słoneczkiem, przeznaczona dla dzieci i młodzieży. W mieście odbywały się prestiżowe spotkania, takie jak: III Forum Literatury Dziecięcej Krajów Nadbałtyckich (1994), Spotkanie Polsko-Izraelskie Pisarzy Dziecięcych i Młodzieżowych (1995) oraz ogólnopolska konferencja naukowa „Dzieciństwo i sacrum” (1997). Poza tymi przedsięwzięciami pracownicy biblioteki, którym zależało na zaszczepieniu w umysłach dzieci i młodzieży miłości do czytania, zapraszali czytelników na spotkania z pisarzami, współpracowali z polskimi uczelniami w dziedzinie promocji książki dziecięcej i młodzieżowej, a także nawiązywali kontakty z badaczami tej literatury. Od 2004 r. równie ważną częścią działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Oświęcimiu stała się organizacja konkursu o Ogólnopolską Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego.

Wszystkie te działania, a także wyjazdy do ośrodków związanych z literaturą dla dzieci i młodzieży za granicą, powodowały, że wśród oświęcimskich pracowników biblioteki narodziła się idea powołania do życia polskiego centrum książek dla dzieci. Na jego powstanie wpłynęły działania „Biblioteki pod Słoneczkiem” oraz orędownictwo znanej pisarki i popularyzatorki czytelnictwa J. Papuzińskiej.

Dzisiejsze CLD początkowo działało w bardzo skromnych warunkach w Filii nr 5 biblioteki publicznej. Później planowano stworzenie Gabinetu Literatury Dziecięcej im. Joanny Pa-

¹ J. Papuzińska, *Książki, dzieci, biblioteki*, Warszawa 1992, s. 5.



Centrum Literatury Dziecięcej w Oświęcimiu (z archiwum CLD)

puzińskiej – z biurkiem, fotelem, zdjęciami oraz cennymi książkami pani profesor. W 2007 r. projekt CLD uwzględniono w strukturze nowo planowanej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Łukasza Górnickiego – Galeria Książki w Oświęcimiu. Ustalono wówczas zakres działania Centrum, opracowano projekt, który uzyskał wsparcie finansowe Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wtedy otrzymano pierwsze dary książkowe od prof. J. Papuzińskiej. Przystąpiono także do prac technicznych związanych z opracowaniem zbiorów. Wtedy też pojawiała się nazwa: Centrum Literatury Dziecięcej, którą wymyśliła Stanisława Niedziela. W chwili rozpoczęcia budowy nowego gmachu oświęcimskiej biblioteki (prace ruszyły w czerwcu 2009 r.) powołano Radę Programową CLD, w skład której, oprócz J. Papuzińskiej, weszli badacze literatury z różnych ośrodków akademickich Polski: Krystyna Heskwa-Kwaśniewicz (Uniwersytet Śląski), Jolanta

Ługowska, Ryszard Waksmund (Uniwersytet Wrocławski), Grzegorz Leszczyński (Uniwersytet Warszawski), Jan Malicki (Biblioteka Śląska). Od początku ideę centrum wsparli pracownicy Uniwersytetu Pedagogicznego: Alicja Baluch, Małgorzata Chrobak (Instytut Filologii Polskiej) oraz obecnie p.o. dyrektora Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa UP Michał Rogoż. Nowy gmach biblioteki otwarto 4 lipca 2011 r., a we wrześniu 2012 r. Rada została ukonstytuowana oficjalnym rozporządzeniem dyrektora Biblioteki w Oświęcimiu Leszka Palusa, również absolwenta krakowskiej WSP.

Dlaczego właśnie Oświęcim? Zdecydowało o tym zaangażowanie pracowników tamtejszej biblioteki w działania związane z literaturą dla dzieci i młodzieży, ale także sympatia, jaką miejsce to darzy prof. Papuzińska. Uważa ona, że miasto to znajduje się w centralnym punkcie Małopolski, skąd blisko do ośrodków academic-

kich w Krakowie, Katowicach oraz Bielsku-Białej, a obecność instytucji związanej z literaturą dla dzieci doda magiczności i otuli cieplejszą aurą miejsce tak bardzo doświadczone przez historię.

Dziś Centrum Literatury Dziecięcej zajmuje się wieloma działaniami i przedsięwzięciami. Nieustannie pracuje nad zbieraniem materiałów związanych z literaturą dla dzieci i młodzieży. Gromadzi i udostępnia bibliografie, publikacje naukowe polskich i światowych znawców tej literatury, materiały z konferencji polskich, zagranicznych i międzynarodowych, czasopisma związane z literaturą dla dzieci i młodzieży. Opiekuje się posiadanymi, często unikatowymi zbiorami. Znajdują się wśród nich m.in. książki z autografami, np. egzemplarz *Bajki o carze Sattanie, o jego synu sławnym i potężnym bohaterze księciu Gwidonie Sattanowiczu i o pięknej księżniczce łabędzicy* autorstwa Aleksandra Puszkina w tłumaczeniu Jana Brzechwy, z odrębną dedykacją dla J. Papuzińskiej, wówczas kilkuletniej dziewczynki. Dorosła poetka i profesor wspominała, że autograf i dedykacja „Joannie Papuzińskiej małej poetce z pozdrowieniem Jan Brzechwa” były owocem spotkania z poetą, którego poprosiła o ocenę swoich dziecięcych wierszy. Uczyniła to po spotkaniu autorskim, kiedy to bez wcześniejszego przygotowania recytowała jego utwory. Następnie Brzechwa zaprosił Papuzińską do siebie i dokładnie 4 czerwca 1952 r. złożył tak cenny dzisiaj wpis².

Wśród zasobów CLD znajdziemy także: wydawnictwa drugoobiegowe dla dzieci z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w., np. czasopismo „Okienko”, oraz zbiory specjalne, tzw. korczakiana – dzieła samego Korczaka, jego wspomnienia, biografie, ale również opracowania naukowe na temat twórczości Starego Doktora; bogaty zbiór „Losy dziecka”, który obejmuje książki beletrystyczne dotyczące losów dzieci w okolicznościach konfliktów zbrojnych, a także publikacje dla dzieci i młodzieży

nagradzane w najważniejszych konkursach literackich w Polsce (Nagroda Literacka im. Kornela Makuszyńskiego, Książka Roku Polskiej Sekcji IBBY, Mały i Duży Dong i in.). Do najcenniejszych należą również zbiory obcojęzyczne, w tym kolekcja 76 książek w różnych językach i 18 kolekcji jednojęzycznych.

Centrum Literatury Dziecięcej otwarte jest dla każdego. Dziecka i rodzica, którym służy radą w doborze lektury, pomocą w rozbudzaniu i kształtowaniu potrzeby czytania. Studenta i badacza literatury dla dzieci i młodzieży, w szczególności zainteresowanego działalnością społeczną, naukową, krytyczną oraz literacką J. Papuzińskiej oraz szukającego informacji o pedagogicznej, społecznej i literackiej działalności Janusza Korczaka. Jest to miejsce dla wszystkich miłośników literatury dla dzieci i młodzieży. Niedawno uruchomiono jeszcze jeden kanał informacyjny – listę mailingową i biuletyn „Informator CLD”. Należy wejść na stronę Galerii Książki w Oświęcimiu i zapisać się na newslettera. Warto być na bieżąco i wiedzieć, co dzieje się w miejscu tak ważnym nie tylko na mapie Małopolski.

Zapytani, czym dla nich jest Centrum, związani z nim pracownicy Uniwersytetu Pedagogicznego wskazali wiele jego pozytywnych cech, głównie jako miejsca niezwykłych spotkań na różnej płaszczyźnie. Alicja Baluch podkreśla „dobrą prowincjonalność” CLD, czyli funkcjonowanie poza głównymi ośrodkami, ale w bardzo dobrej łączności z nimi. Wskazuje także, że jest to miejsce w niezwykły sposób scalające różne funkcje – od ludycznej do naukowej. Małgorzata Chrobak porównuje Centrum do Muzeum Książki Dziecięcej przy ul. Koszykowej w Warszawie. Według niej jest ono ważnym punktem na kulturalnej mapie Polski, które powstało dzięki wsparciu prof. J. Papuzińskiej, ale swoje istnienie zawdzięcza przede wszystkim pasji i zaangażowaniu dyrektora biblioteki L. Palusa oraz jego współpracowników. Zdaniem M. Chrobak, jest to również przestrzeń autentycznej integracji świata nauki o literaturze dziecięcej z rzeczywistym odbiorcą tej literatury, który za ścianą codziennie może „buszować” wśród regał

² Wyowiedź Joanny Papuzińskiej w wywiadzie udzielonym redakcji „Guliwera” (2007, nr 2).



Sesja naukowa poświęcona Januszowi Korczakowi, październik 2012 r. (z archiwum CLD)

z książkami. Michał Rogoż również akcentuje magiczność CLD jako miejsca spotkania badaczy, autorów i czytelników, ale także jest to dla niego forum wymiany myśli naukowej i źródło

różnych inicjatyw i pomysłów. Zaznacza także, że wszystko to wpływa na lepsze poznanie i zrozumienie funkcji, jaką spełniała i spełnia książka dla dzieci. ■

PAULINA SACHA

Nie niszczy małych bibliotek...

Biblioteka to miejsce, w którym są setki książek, a w powietrzu unosi się ich specyficzny zapach. Miejsce, które podczas przerw szkolnych – już jako „starszak” – nałogowo się odwiedzało, wielokrotnie kosztem niezjedzonego śniadania. Biblioteka to też pani siedząca za biurkiem, w ogromnych okularach na nosie, pytająca: „Co, kotuś, dziś potrzebujesz...?”

To jest moja definicja biblioteki – zwykłej studentki i czytelniczki, będącej za pan brat z bibliotekami od najmłodszych lat, której rodzice albo babcia czytali książki do snu, a te po jakimś czasie znano się już na pamięć. W przedszkolu natomiast na palcach sięgało się po ulubioną książkę „z oczami”, która opowiadała przygody małego samochodziku. Tak z mojego punktu widzenia powinna zaczynać się przygoda z bibliotekami młodego, czytającego książki człowieka, który, nabywając pewnych nawyków w dzieciństwie, może przechodzić na wyższe etapy rozwoju intelektualnego.

Oczywiście nie można pomijać tych dużych, nowoczesnych bibliotek, które dysponują komputerowymi katalogami, czy tych wyposażonych w czytelnie, gdzie właściwie można znaleźć każdą książkę. Takie miejsca są niezwykle ważne, bo szybko i sprawnie dostajemy właściwie wszystko, co w danym momencie jest nam potrzebne. Wspaniała sprawa, zwłaszcza przy pisaniu wszelkiego rodzaju prac naukowych. Ale dlaczego takie biblioteki kojarzą mi się z McDonaldem? Jest szybko, wygodnie i natychmiast... Właściwie to powinno być uznane za ich atut, ale też nie do końca. Bywa przecież, że raz na jakiś czas odczuwa się potrzebę zjedzenia w małej, serwującej zdrową żywność re-

stauracji, gdzie czasem można nawet obserwować proces przygotowania dania, którym za moment będziemy się delectować...

Tak samo jest z bibliotekami. Często potrzebujemy książki na teraz, już, od razu. Wówczas duże, nowoczesne biblioteki są dla nas zbawienne, ale niekiedy też potrzebujemy odwiedzić miejsce, gdzie możemy książkę powąchać, dotknąć jej, przekartkować w ciszy, spojrzeć na okładkę, zobaczyć czasem ślady – niekoniecznie w pozytywnym tego słowa znaczeniu – które pozostawił po sobie inny czytelnik...

Znam wiele osób, które mają takie samo wyobrażenie o bibliotece, które dorastały w małych miejscowościach, gdzie często jedynym miejscem kulturalnego rozwoju była właśnie szkolna czy lokalna biblioteka. Wspomnienia nie umierają nigdy, wręcz przeciwnie – przez cały czas są żywe w naszej świadomości i często skłaniają do powrotu do miejsc, które pozytywnie nam się kojarzą. Tu tkwi sedno sprawy. Te małe biblioteki jeszcze są, jeszcze funkcjonują, ale muszą walczyć o swoją przyszłość...

DLACZEGO MUSZĄ O SIEBIE WALCZYĆ?

Rok temu Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji ogłosiło projekt ustawy, która umożliwiała samorządom likwidację małych, lokalnych czy szkolnych bibliotek. Nie zostało to stwierdzone dosłownie. Zapis przewidywał, że władze samorządowe będą mogły łączyć biblioteki, ale w rezultacie może się to sprowadzać do ich likwidacji na rzecz tworzenia bibliotek centralnych. Ten pomysł szczególnie oburzył bibliotekarzy.

Redakcja miesięcznika „Biblioteka w Szkole” ogłosiła akcję: „Stop likwidacji bibliotek”, a odzew w społeczeństwie należy uznać za zadziwiający, co można stwierdzić choćby na podstawie liczby „polubień” (ponad 20 tys.) akcji na Facebooku. Ze statystyk, które na swej stronie zamieścili organizatorzy akcji, wynika, że wśród „lubiących” „przeważają ludzie młodzi – ponad 70% osób [...] nie ukończyło 34. roku życia, a ponad 40% «lajkujących» to osoby w wieku do 24 lat”¹. Akcja przyniosła skutek i Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji po protestach i inicjatywach środowisk związanych z bibliotekami wycofało się z projektu.

WŁADZA, POZIOM CZYTELNICTWA, REKLAMA...

Tak to już bywa, że często w relacjach społeczeństwa z władzą dochodzi do nieporozumień. Rządzący nie zawsze są świadomi potrzeb społeczeństwa, a może ich nie znają. Ma to miejsce właściwie w każdej sferze życia i w przypadku większości relacji pomiędzy wspomnianymi powyżej podmiotami. Dotyczy to również omawianej sytuacji. Władza teoretycznie ma może i dobre intencje, ale często nie pokrywają się one z intencjami i potrzebami społeczeństwa. Przykład łączenia bibliotek bardzo dobrze to obrazuje. Ludzie, zwłaszcza w małych miejscowościach, powinni mieć możliwość korzystania z biblioteki, bo starsza pani często nie jest w stanie pojechać specjalnie po książkę do sąsiedniej wsi bądź miasteczka, tak jak i dzieci bez opieki rodziców nie mają takiej możliwości.

Poziom czytelnictwa w Polsce jest – delikatnie mówiąc – nipokojący. Z raportu sporządzonego przez Bibliotekę Narodową we współpracy z TNS Polska², który został przeprowadzony na losowo wybranej grupie 3000 respondentów

w wieku powyżej 15 lat, wynika że w 2012 r. aż 60% – czyli ponad połowę badanych – można było zaliczyć do grupy osób nieczytających książek. Wydawać się może, że problem tkwi w postępie technologicznym – w dostępie do każdego niemal tekstu czy książki w formie elektronicznej, ale na podstawie wyników wspomnianego sondażu można uznać ów tok myślenia za błędny. Raport dowodzi, że czytamy mało e-booków, bo przynajmniej się do tego zaledwie 7% respondentów, natomiast do słuchania audiobooków – tylko 6%. Nasuwa się zatem pytanie, gdzie i w czym tkwi problem?

Pod koniec marca Tomasz Olbratowski w swoim felietonie dla radia RMF FM pt. *Promocja czytelnictwa*³, ironizował – dodam: słusznie – na temat Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa na lata 2014–2020, który przewiduje przeznaczenie w ciągu tych sześciu lat niebagatelnych kwot (liczonych w milionach złotych) na kampanie społeczne i reklamowe zachęcające do czytania książek, a tymczasem np. biblioteki szkolne walczą o każdy grosz, żeby nadążyć za rynkiem nowości wydawniczych. Co prawda, projekt przewiduje przeznaczenie pewnych kwot dla bibliotek, ale niestety, nie dla bibliotek szkolnych. Tkwi w tym pewien paradoks. To w bibliotece szkolnej pożyczają się i przeglądają książkę „z oczami”... To ona jest pierwszym miejscem, gdzie jako dzieci uczymy się kultury czytania. Czy nie powinniśmy o to dbać?

Dążymy do tego, żeby stać się społeczeństwem inteligentnym, wykształconym. Nie da się tego osiągnąć bez książki i bez tych małych bibliotek, bo to one uczą nas szukać, drążyć, zdobywać informacje. Oczywiście jest „wujek Google”, który wie wszystko, ale on nie potrafi na razie filtrować informacji według wartości. Musimy to robić sami, ale żeby osiągnąć taką umiejętność trzeba się jej najpierw nauczyć i to już w dzieciństwie... z książki.

¹ <http://www.stoplikwidacjibibliotek.pl/index.php>

² <http://www.bn.org.pl/download/document/1362741578.pdf>

³ <http://www.interia.tv/video-felieton-tomasza-olbratowskiego-promocja-czytelnictwa,vId,1398279>

CZŁOWIEK versus KOMPUTER...

Wspaniale, że najnowsze technologie tak ułatwiają nam dziś życie. Słyszysz się nawet opinie, że niedługo większość pracowników najróżniejszych branż będzie można zastąpić inteligentnym komputerem, który nigdy się nie myli i każdy przypadek rozpatruje tak samo – automatycznie. Tylko do czego mogą w dłuższej perspektywie czasu doprowadzić takie działania? Człowieka nigdy nie da się zastąpić maszyną. Komputer podpowie, ale nie odczuje emocji, nie uśmiechnie się życzliwie i jakoś do tej pory nie zdarzyło mi się, żeby zaprosił mnie na następne spotkanie, aczkolwiek pewnie i do tego w przyszłości dojdzie. Zawód bibliotekarza bez wahania można porównać do pracy nauczyciela, lekarza czy pielęgniarki. To powołanie, może na-

wet misja, bo pracuje się z ludźmi, którzy doskonale odbierają bodźce i już po pierwszym wrażeniu są w stanie ocenić, z kim mają do czynienia. Profesjonalizm, wiedza, cierpliwość, otwartość i empatia to „drugie imiona” bibliotekarzy. Mam szczęście, że w mojej przygodzie z bibliotekami są tylko tacy bohaterowie...

Dzień 8 maja jest Dniem Bibliotekarza, dlatego pragnę złożyć z tej okazji najserdeczniejsze życzenia wszystkim pracownikom bibliotek, szczególnie tym troszczącym się o te małe, lokalne, które pomagają zdobyć pierwsze doświadczenia związane z czytaniem i wypożyczaniem książek. Dziękuję za Waszą pracę, zaangażowanie, trud i serce, których ja – czytelnik – wiele razy mogłam doświadczyć i doświadczam wciąż. ■

MICHAŁ GÓRNIŚIEWICZ

Polityka przedostatnich Jagiellonów wobec ostatnich Piastów mazowieckich

Mazowsze pozostawało osobnym księstwem tak długo, jak długo żyła rządząca nim linia Piastów, wywodząca się od Konrada I Mazowieckiego. Koniec tych rządów przypada na rok 1526, kiedy to – w wieku zaledwie 24 lat – umarł ostatni (męski) potomek linii mazowieckiej Janusz III (zapewne, z uwagi na młody wiek, nie stało się to z przyczyn naturalnych). Dwa lata wcześniej zszedł z tego świata – w nie mniej tajemniczych okolicznościach – jego star-



Konrad I Mazowiecki (1187/1188?–1247), rys. J. Ma-tejko

szy brat Stanisław (także wówczas 24-letni). Niespodziewana śmierć dwóch tak młodych książąt (w krótkim odstępie czasu) rzuciła podejrzenia o ich otrucie. Szybko znalazła się podejrzana: wojewodzianka płocka Katarzyna Radziejowska. Niestety ponoć zakochana (w którym z braci?), miała rozkazać otrucie ich matki, Anny Radziwiłł, a potem kolejno obu książąt. Pomocy udzieliła jej podobno szlachcianka Kliczewska, którą wyrokiem sądu spalono żywcem! O otruciu podejrzewano też starostę błońskiego Piotra Jordanowskiego, który miał przygotować odpowiednią truciznę. Na rozkaz panującego wówczas Zygmunta Starego powołano specjalną komisję mającą zbadać owe tajemnicze zgony. Ustaliła ona ostatecznie, że obaj bracia „nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Pana Wszechmogącego z tego świata zeszli” (mówi się – powtarzając za Długoszem – oficjalnie o gruzlicy; Marcin Bielski w swej kronice sugerował zatrucie alkoholem!), a edykt potwierdzający wyrok podpisał osobiście w 1528 r. król. O uknucie tegoż zabójstwa podejrzewano wreszcie nie kogo innego, jak samą żądną władzy królową Bonę. Król Zygmunt – człowiek słabej woli, długo myślący nad podjęciem decyzji – często ulegał władczej małżonce. Czy nie należała ona na szybkie „umorzenie” śledztwa? Co ciekawe, po śmierci obu piastowskich władców, wojska królewskie szybko zajęły Warszawę (wbrew woli Anny, siostry zmarłych i ostatniej dziedziczki Mazowsza), Bona

zaś przejęła wszystkie mazowieckie dobra (po śmierci męża i konflikcie z synem przeniosła się tam na osiem lat). Czy już wcześniej królowa nie miała ochoty na zawłaszczenie tej ziemi i postanowiła pozbyć się niewygodnych (choć prawowitych) jej władców? Wiele lat wcześniej, w roku 1503, umarł Konrad III Rudy, ojciec trójki rodzeństwa – ostatnich Piastów. Wówczas to księżna Anna – ich matka – dokonała zapisu 30 tys. dukatów na rzecz króla Aleksandra. Zrobiła to z wdzięczności – czyżby już wtedy mogło dojść do jakichś „układów”? A może właśnie dzięki temu posunięciu król nadał synom księżnej (w 1504 r.) ziemię warszawską, ciechanowską, łomżyńską i nowogrodzką?

Mazowsze jednak broniło swej odrębności, zamykając przed wysłannikami Aleksandra bramy Warszawy, a Polaków (czyli mieszkańców Korony!) wyzywając od wisielców! Posłowie odpowiadali: „Sami siebie znieważyliście, bo ani Niemcami, ani Morawianami, ale Polakami jesteście”. Odwlekanie decyzji o pozostaniu oddzielnym księstwem nie na wiele się jednak zdało – w 1526 r. Mazowsze wcielono do Królestwa Polskiego, a od 1569 r. Warszawa stała

się miejscem obrad wspólnego polsko-litewskiego sejmku...

W tym samym co Konrad 1503 r. umiera także – w wieku zaledwie 35 lat – Fryderyk Jagiellończyk, kardynał i prymas Polski. Szósty i ostatni z synów Kazimierza Jagiellończyka do korony już chyba dopuszczony nie został i zapewne ojciec wcześniej przeznaczył go do stanu duchownego, ale – jako królewski syn – nie mógł być byle księżyną, więc zapewniono mu możliwość awansu na najwyższe stanowisko w Kościele polskim. Przyczyna śmierci młodego prymasa jest znana (choć nie świadczy dobrze o „prowadzeniu się” najwyższego rangą dostojnika kościelnego w Koronie); podobnie jak bracia – Jan Olbracht w 1501 r. i Aleksander trzy lata później – również i on zszedł z tego świata „długą niemocą francuską zemdlony”...

LITERATURA

Bogucka M., *Bona Sforza*, Wrocław 2004.

Jasienica P., *Polska Jagiellonów*, Warszawa 1983.

Poczet królów i książąt polskich, Warszawa 1980. ■

CZESŁAW MICHAŁSKI

Soczi 2014 – najlepszy start polskich sportowców w historii zimowych igrzysk olimpijskich

W czasie trwania XXII Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi świat obchodził dziećmiędziesiątolecie zimowych olimpiad. Reprezentacja Polski brała udział we wszystkich igrzyskach, które odbyły się do tej pory. W przeciwieństwie jednak do igrzysk letnich, na których Polacy miewali znaczne sukcesy i doczekali się wielkich gwiazd, zimą porażki niestety nie należały do rzadkości, a medale były rarytasem.

Zanim przejdę do omówienia wyników ostatniej zimowej olimpiady w Soczi, najpierw kilka refleksji na temat propagowania idei olimpijskich na naszej Uczelni. „Mens sana in corpore sano” (W zdrowym ciele zdrowy duch) – ta maksyma, której autorstwo przypisuje się Juwenalisowi, satyrykowi rzymskiemu z początków naszej ery, należy do najbardziej znanych. Społeczność akademicka Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie hołduje jej od samych począt-



Otwarcie wystawy „Od Chamonix do Soczi”, 5 lutego 2014 r. (fot. M. Pasternak)



for. M. Pasternak

ków istnienia Uczelni. Stąd liczne osiągnięcia sportowców związanych z naszą Alma Mater, a także popularność sportu amatorskiego wśród wielu pedagogicznych pokoleń.

Sport jest uniwersalny. Jego racjonalne uprawianie sprzyja rozwojowi fizycznemu i daje siłę psychiczną. Wspaniałych wrażeń dostarcza też kibicowanie sportowcom, zwłaszcza tym w narodowych barwach, dzięki którym słuchamy naszego hymnu narodowego.

W dniu 5 lutego 2014 r., a więc na dwa dni przed uroczystym otwarciem igrzysk w Soczi, zorganizowano w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie wystawę „Od Chamonix do Soczi. Zimowe Igrzyska Olimpijskie 1924–2014”. Powstała ona dzięki zaangażowaniu trzech entuzjastów sportu, pracowników Biblioteki Głównej: Jana Batora, Bartłomieja Dudy i Piotra Milca. Na wystawie zaprezentowano wydanictwa poświęcone historii igrzysk olimpijskich, zestawienie wyników polskiej reprezentacji, sylwetki medalistów oraz skład polskiej reprezentacji olimpijskiej w Soczi. W czasie trwania olimpiady organizatorzy wystawy każdego dnia informowali na specjalnej planszy o osiągnięciach medalowych poszczególnych państw.

Uroczystego otwarcia ekspozycji dokonała wicedyrektor Biblioteki Głównej mgr Renata Zając. Gościem specjalnym otwarcia był mgr Kazimierz Augustynek, emerytowany pracownik Instytutu Historii, niewątpliwie najlepszy narciarz w dziejach naszej Uczelni, brązowy medalista Akademickich Mistrzostw Świata w Chamonix (1960; sztafeta 4 × 8 km).

Podczas otwarcia wystawy piszący te słowa postulował, aby reaktywować istniejący w ówczesnej WSP w latach siedemdziesiątych Klub Olimpijczyka. Miał on za zadanie krzewienie idei olimpijskiej wśród studentów przez organizowanie teleturniejów „Na olimpijskim szlaku” oraz spotkania z olimpijczykami. Na naszej Uczelni gościli m.in.: Adam Papée, szermierz, czterokrotny olimpijczyk, dwukrotny brązowy medalista (Amsterdam 1928, Los Angeles 1932), Stanisław Maruszarz, narciarz, czterokrotny olimpijczyk, wicemistrz świata w skokach narciarskich, Maksymilian Więcek, hokeista, reprezentant Polski na olimpiadzie w St. Moritz (1952) oraz komentatorzy sportowi, obsługujący igrzyska olimpijskie – redakto-

rzy TVP: Andrzej Szeląg i Janusz Zielonacki. Za istnieniem takiego Klubu przemawia fakt, iż oficjalnie zgłoszono do MKOl kandydaturę Krakowa jako organizatora zimowych igrzysk olimpijskich w 2022 r. Na forum tego Klubu można byłoby organizować dyskusje o celowości olimpiady w Krakowie oraz spotkania z olimpijczykami.

Na naszej Uczelni pracowali w Studium Wychowania Fizycznego olimpijczycy: siatkarz Jerzy Szymczyk (Meksyk 1968 – piąte miejsce) oraz Boguchwał Fulara (Moskwa 1980 – trener reprezentacji w piłce ręcznej). Ten ostatni był długoletnim kierownikiem Studium. Wśród absolwentów naszej Uczelni spotykamy m.in.: mamę „królowej śniegu” Justynę Kowalczyk – Janinę (filologia polska, 1970), Beatę Fortunę (historia, 1998), córkę złotego medalisty z Sapporo 1972 r. Wojciecha, oraz Ewę Bilan (pedagogika, specjalność: wychowanie obronne z wychowaniem fizycznym, 2009), żonę Kamila Stocha.

Pomysł zimowych igrzysk olimpijskich narodził się we Francji. Decyzja zapadła podczas

posiedzenia Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Rzymie 8 kwietnia 1923 r. W Chamonix, francuskiej miejscowości u podnóża Mont Blanc, 25 stycznia 1924 r. rozpoczął się Tydzień Sportów Zimowych. Imprezę zorganizował Francuski Klub Alpejski, a patronował mu Francuski Komitet Olimpijski. Rok później MKOl na VIII Kongresie w Pradze uznał oficjalnie Tydzień za I Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Igrzyska zimowe odbywały się co cztery lata, w tym samym roku co letnie. Dopiero od 1994 r. rozgrywane są dwa lata po letnich. Działacze MKOl uznali, że wielkie imprezy sportowe odbywające się co dwa lata będą cieszyły się jeszcze większym zainteresowaniem. Na pierwszych zimowych igrzyskach w Chamonix startowało 294 zawodników z 16 krajów, w tym 13 kobiet.

W zimowych igrzyskach olimpijskich mogą się pojawić dyscypliny uprawiane i rozpowszechnione w co najmniej 25 krajach i na dwóch kontynentach w przypadku konkurencji męskich oraz w 20 krajach i na dwóch konty-





fot. M. Piasternak

nentach w przypadku kobiet. W Chamonix w 1924 r. rywalizowano w pięciu dyscyplinach, w sumie w 14 konkurencjach.

Polscy sportowcy startujący na zimowych igrzyskach olimpijskich w latach 1924–2006 zdobyli łącznie osiem medali, w tym jeden złoty, trzy srebrne i cztery brązowe. Na pierwszy olimpijski medal Polska czekała 32 lata, do czasu, gdy w przepięknej włoskiej Cortina d'Ampezzo 31 stycznia 1956 r. Stanisław Groń-Gąsienica zajął trzecie miejsce w kombinacji klasycznej wśród 36 zawodników z 12 krajów. Drugi medal dla Polski, tym razem srebrny, zdobyła Elwira Seroczyńska w 1960 r. w Squaw Valley w łyżwiarstwie szybkim, w wyścigu kobiet na 1500 metrów. W tej samej konkurencji trzecie miejsce i brązowy medal wywalczyła Helena Pilejczyk. Na kolejnej zimowej olimpiadzie w Sapporo (1972) złoty medal zdobył Wojciech Fortuna. Startował on w skokach narciarskich i zwyciężył w konkursie na dużej skoczni wśród 52 zawodników z 15 krajów. Następne medale dla Polski – brązowy i srebrny – zdobył Adam Małysz w Salt Lake City (2002). Startował tam w skokach narciarskich i zajął trzecie miejsce

w konkursie na skoczni K 90 oraz drugie w konkursie na skoczni K 120. Siódmy medal dla Polski – brązowy – wywalczyła Justyna Kowalczyk w Turynie (2006) w biegu narciarskim stylem dowolnym na dystansie 30 km ze startu wspólnego. Kolejny medal – srebrny – przypadł również w Turynie Tomaszowi Sikorze w biathlonowym biegu masowym na dystansie 15 km ze startu wspólnego.

Bardzo udane dla reprezentantów Polski były Zimowe Igrzyska Olimpijskie w 2010 r. w kanadyjskim Vancouver. Nasi reprezentanci przynieśli aż sześć medali. Złoty, srebrny i brązowy wywalczyła Justyna Kowalczyk, dwa srebrne medale zdobył w skokach narciarskich Adam Małysz, brązowy – drużyna kobieca w łyżwiarstwie szybkim. Największą niespodziankę sprawiły nasze panczenistki: Katarzyna Bachleda-Curuś, Luiza Złotkowska i Katarzyna Woźniak, zajmując trzecie miejsce w wyścigu drużynowym na dochodzenie.

Do Soczi wyjechało 59 polskich sportowców. Po cichu liczyliśmy, że dojdzie do powtórki, choć poprzeczka w Kanadzie została podniesiona bardzo wysoko. Jednak Polacy dokonali cze-



Plakat reklamujący wystawę

goś jeszcze więcej. Zdobyli sześć medali, w tym cztery złote, srebrny i brązowy. Kamil Stoch został pierwszym w historii polskim sportowcem, który wywalczył dwa złote krążki na jed-

nych zimowych igrzyskach i zarazem trzecim skoczkiem w historii, który podczas jednej imprezy był najlepszym na normalnej i dużej skoczni. Justyna Kowalczyk wygrała olimpijski bieg na 10 kilometrów techniką klasyczną po heroicznej walce nie tylko z rywalkami, ekstremalną trasą, ale przede wszystkim samą z sobą i swoim cierpieniem. Biegła ze złamaną kością stopy i to, czego dokonała, wydaje się wręcz niewiarygodne. Startując z kontuzją, na środkach przeciwbólowych, pobięła po olimpijskie złoto. „Królowa śniegu” z Kasiny Wielkiej stała się najbardziej utytułowanym polskim sportowcem w historii zimowych igrzysk olimpijskich, zdobywając pięć medali na trzech olimpiadach.

Wspaniale spisali się polscy panczeniści. Zdobyli złoty, srebrny i brązowy medal. Zbigniew Bródka wygrał bieg na 1500 metrów z koalicją holenderską o 0,003 sekundy. Medal srebrny w wyścigach drużynowych wywalczyły panie, panowie natomiast sięgnęli po brąz. Bohaterami łyżwiarskiego toru zostali: Katarzyna Bachle-da-Curuś, Natalia Czerwonka, Katarzyna Woźniak i Luiza Złotkowska oraz Konrad Niedźwiedzki, Jan Szymański i Zbigniew Bródka. Reasumując: w punktacji medalowej Polska uplasowała się na 11. miejscu. ■

WITOLD WARCHOLIK

Turystyka – fakty i mity

Zamykając studentów kierunków takich jak: turystyka i rekreacja lub: geografia w uczelnianych salach na wiele godzin, można łatwo przeoczyć potencjał, jaki kryje środowisko zewnętrzne (*outdoor space*). Organizowany przez autora poniższego tekstu cykl wykładów „Turystyka – fakty i mity” w pubie Cafe 7, zlokalizowanym na krakowskim Kazimierzu, śmiało można zaliczyć do nurtu edukacji pozaformalnej (incydentalnej), często (niestety!) nieuznawanej za proces nauczania-uczenia się. Obejmuje ona m.in. rozmaite rozmowy i spotkania towarzyskie, które przez wymianę informacji dostar-

czają młodemu człowiekowi wiedzy i kształtują jego myślenie o świecie.

W nawiązaniu do nieprzypadkowego tytułu cyklu wspomnijmy, że uczestnicy mieli do tej pory możliwość obalenia mitów dotyczących m.in. „dziewiczego” krajobrazu i wydolności przeciętnego zjadacza chleba w górach wysokich, turystyki w Czarnobylu, gościnności Gruzinów, podróżowania bezpośrednio w strefach konfliktów zbrojnych – np. pieszo w Sudanie czy też samochodem terenowym w Libii. Bez-cenne okazały się też podpowiedzi dotyczące pakietu umiejętności potrzebnych w prowadze-



Cykl wykładów „Turystyka – fakty i mity”

REFERENCI	TEMAT WYSTĄPIENIA	MIEJSCE
Marek Żołądek	Korona Ziemi – stereotypy, fakty i mity	Audytorium im. W. Danka, Uniwersytet Pedagogiczny
Michał Apollo	Śmietniki na „dachach świata”	
Paweł Kramarz	Z licznikiem Geigera w plecaku – Czarnobyl	
Paweł Stelmach	Biuro turystyczne o specjalizacji górskiej	
Paweł Kramarz	Czarnobyl – fakty i mity	Cafe 7, Plac Nowy
Michał Apollo, Marek Żołądek	W kolejce po Koronę Ziemi	
Łukasz Kowalski	Gruzja – uboga czy bogata?	
Sebastian Żmudzki	Iran – Khamenei i kilka innych trudnych nazwisk...	
Piotr Dolnicki	Polska stacja polarna na Spitsbergenie	
Szymon Kowalczyk	Na ścieżkach Bożej Armii Oporu – Sudan Południowy	
Jerzy Piasecki, Piotr Stós	Fotografia podwodna – Chorwacja	
Małgorzata Zielina	Patagonia – w bikini czy pod parasolem?	
Renata Rettinger	Kuba	
Małgorzata Zemula	Przezuwając kokę – Boliwia	
Magdalena Rzepecka	W strefie konfliktu – Libia	

www.warwitek.pl

niu stacji badawczej za kołem polarnym, wykonywania zdjęć pod wodą w strefie raf koralowych, handlu zakopiańskimi owieczkami w Argentynie czy wreszcie obcowania z boliwijską koką i kubańskimi cygarami.

W takcie realizacji cyklu, jak zakładano, uległa zmianie relacja student – wykładowca. Stała się ona mniej oficjalna, a bardziej nastawiona na współpracę i obustronną aktywność. Wykłady prowadzą zarówno pracownicy uniwersyteccy, podróżnicy, jak i studenci.

Organizator już w czasie pierwszych edycji projektu, które odbywały się poza murami naszej Uczelni, był świadkiem „przełamywania się” studentów, którzy zadawali liczne pytania, brali udział w dyskusji itp. Co ciekawe, byli wśród nich ci, którzy na zajęciach w salach

uniwersyteckich zupełnie nie przejawiali takiej aktywności. Wieczorna pora, przestrzeń pubu, aromat kawy, brzęk kufli i otwarta formuła wykładów stworzyły sytuację w której pojawił się szeroki wachlarz pytań, zadawanych przez osoby o różnych specjalnościach oraz zainteresowaniach, nierzadko nawet przypadkowo pojawiające się podczas wykładu w lokalu. Pedagodzy sygnalizują iż brakuje punktów, gdzie młodzi – także studenci – mogą czuć się gospodarzami, a to właśnie tam ma miejsce indywidualizacja – najważniejszy proces w kształtowaniu dojrzałego człowieka, jednostki samostanowionej, lecz jednocześnie uspołecznionej. Pub Cafe 7 stał się więc odpowiednikiem zapomnianego już podwórka, zastąpionego współcześnie autonomiczną przestrzenią Internetu. ■

BOŻENA MUCHACKA, IWONA CZAJA-CHUDYBA, ANNA SZKOLAK

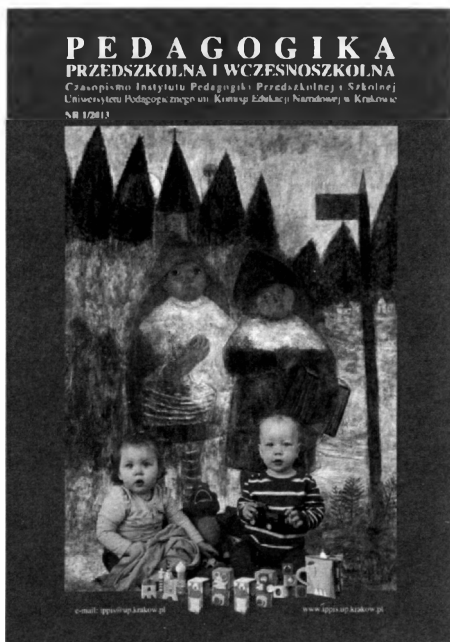
Nowe forum pedagogów

Rynek wydawniczy nie zawsze uwzględnia indywidualne potrzeby czytelników. Po roku 1989 wiele pism pedagogicznych niestety przestało się ukazywać. Spowodowało to lukę na rynku wydawniczym. Pedagogika jest jednak dyscypliną naukową podlegającą ustawicznemu i szybkiemu rozwojowi, a więc konieczne stało się wypełnienie niszy w prasie pedagogicznej. Dlatego w 2013 r. w Instytucie Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie powołano do życia czasopismo „Pedagogika Przedszkolna i Wczesnoszkolna”, wydawane w formie półrocznika. Pomysłodawczynią przedsięwzięcia była prof. Bożena Muchacka – redaktor naczelny – wraz ze współpracownikami: prof. Iwoną Czają-Chudybą – zastępcą redaktora naczelnego i dr Anną Szkolak – sekretarzem redakcji. Radę Redakcyjną współtworzą profesorowie z Polski, Czech, Słowacji i Ukrainy.

Misją czasopisma jest pobudzenie dyskusji na poziomie akademickim nad najważniejszymi współczesnymi problemami wychowania w przedszkolu i edukacji w klasach I–III oraz umożliwienie międzynarodowej wymiany poglądów na temat miejsca pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej wśród różnorodnych kierunków i tendencji pedagogiki polskiej, europejskiej oraz światowej. Celem czasopisma jest także podkreślenie znaczenia pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej jako subdyscypliny, wyodrębnienie specyfiki metodologii prowadzonych w jej obszarze badań, ukazanie kontekstów interdyscyplinarnych, np. wśród nauk społecznych: pedeutologii, historii wychowania, psychologii czy pracy socjalnej, oraz wśród nauk

artystycznych: sztuk plastycznych i muzycznych, a także uzmysłowienie czytelnikom trudnych relacji i zależności pomiędzy nauką, polityką a edukacją. Ambicją Instytutu Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej jest wydawanie wysokopunktowanego pisma, które będzie reprezentować naszą Uczelnię w dziedzinie nauk pedagogicznych.

Każdy z numerów ma charakter tematyczny i jest poświęcony innej problematyce. Zaproponowano szerokie spektrum podejmowanego dyskursu, mieszczącego się w różnych obszarach nauk dających podstawę do refleksji nad analizowaną problematyką.



Innym ważnym momentem, zarówno w dziejach Grecji, jak i w życiu rodziny autora, są lata czterdzieste XX w. — okres wewnętrznej niestabilności państwa, zapoczątkowany bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej. Powojenna sytuacja podzieliła społeczeństwo greckie na dwa obozy. Do pierwszego zaliczano zwolenników monarchii i ugrupowań prawicowych, na czele których stały rządowe siły zbrojne, wspierane militarnie przez Wielką Brytanię oraz Stany Zjednoczone. Przeciwwagę dla tej grupy stanowiły komunistyczne siły Demokratycznego Wojska Grecji (DSE) związane z lewicowym ruchem oporu (EAM-ELAS). Brak porozumienia między stronami wywołał wojnę domową, a zwycięstwo sił rządowych spowodowało emigrację części społeczeństwa do wielu państw, m.in. Polski. Również krewni Dionisa Sturisa osiedlili się w Polsce i dopiero po trzydziestu latach powrócili do ojczyzny. Zamieszczone przez autora fragmenty wypowiedzi poszczególnych osób pomagają czytelnikowi cofnąć się w przeszłość i ją odtworzyć, a tym samym — lepiej zrozumieć i powiązać ze sobą poszczególne fakty. Subiektywne opinie członków rodziny autora na temat życia w Polsce przez trzy dekady pozwalają spojrzeć także na polską rzeczywistość z zupełnie innej perspektywy.

W części historycznej pojawiają się również wątki z biografii kilku sławnych osób, np. ikony greckiego aktorstwa Meliny Mercouri, będącej również aktywną działaczką opozycji skierowanej przeciwko rządowi czarnych pułkowników, tzw. greckiej junty, dzięki czemu później została ona nazwana „ostatnią grecką boginią”. Inną godną uwagi postacią jest Nicholas Papandreu, wnuk, syn i brat byłych premierów Grecji, który w rozmowie z autorem opisuje grecką rzeczywistość z własnego punktu widzenia — z perspektywy naukowca i przedstawiciela fundacji. Papandreu, mówiąc o swoim życiu, zaznacza, że różni się ono od tego wykreowanego przez media, dzięki którym stał się współadresatem społecznych zarzutów o nieudolne zarządzanie finansami państwa.

Drugą część lektury można z kolei „ubrać” wątkami, których celem jest bardziej porusze-

nie kontekstu społecznego niż historycznego. Dzięki temu podjęta przez autora próba ukazania mentalności greckiego społeczeństwa okazała się niewątpliwym sukcesem. Sturis nie tylko relacjonuje współczesne wydarzenia, ale w licznych wywiadach z Grekami z różnych części kraju stara się pokazać czytelnikowi rzeczywisty obraz państwa, który zazwyczaj zna jedynie z opowiadań. W książce zostały ukazane zarówno wady, jak i zalety społeczeństwa greckiego. Dzięki lekturze wiemy, że Grecy z jednej strony to naród ludzi o wielkim honorze i dumie, ale również ludzi radosnych i otwartych — typowych optymistów. Czytelnik, zagłębiając się w lekturę, odkrywa również, że Grecja to nie jedynie feta, oliwki, przezroczyste i ciepłe morze oraz ciągle upały, ale również społeczeństwo, które w obliczu zagrożeń potrafi się jednaczyć. Przykładem takiego działania są strajki generalne, które potrafią sparaliżować funkcjonowanie całego państwa. Zawarta w książce relacja autora z tych wydarzeń wydaje się być bardzo realistyczna. Oznacza to, że wizerunek Grecji kształtowany przez media lub katalogi biur podróży znacznie odbiega od faktycznego stanu państwa i społeczeństwa.

Należy również zaznaczyć, że głównym celem autora — jako obserwatora wydarzeń we współczesnej Grecji — jest umożliwienie czytelnikowi zrozumienia ich istoty. Liczne wypowiedzi składają się na obraz państwa widzianego oczami Greków. Bohaterowie lektury mówią wprost o zmęczeniu kryzysem, którego skutki coraz dotkliwiej dają znać o sobie. Zwracają uwagę na wzrost liczby samobójstw spowodowanych utratą pracy i brakiem środków niezbędnych do przetrwania. Można więc wnioskować, że państwo było i nadal jest źle zarządzane, a realizowana przez kolejne rządy polityka „zaciskania pasa” prowadzi do coraz większej frustracji społeczeństwa, a tym samym wzrostu sceptycyzmu wobec unijnych instytucji. Warto też podkreślić, że Grecja w strukturach Unii Europejskiej znajduje się już od 1981 r., co oznacza ponad trzydziestoletni okres członkostwa. Według Greków ta przynależność przyniosła im samym więcej strat niż korzyści. Mimo to społeczeństwo greckie

kie nie obwinia za kryzys samej Unii, lecz przede wszystkim własne elity polityczne.

Książka *Grecja. Gorzkie pomarańcze* swoim metaforycznym tytułem odwołuje się do aktualnej sytuacji gospodarczej kraju, w której społeczeństwo pogrążone w kryzysie traci swój optymizm i wiarę. Po lekturze pozostaje jedno pytanie: czy sfrustrowani Grecy rzeczywiście nie rozumieją błędów popełnionych w przeszłości, czy też nie chcą ich zrozumieć? Odpowiedź na to pytanie zależy od punktu widzenia. Kwestia samego kryzysu finansowego jest natomiast współcześnie jednym z najczęściej poruszanych na arenie międzynaro-

dowej tematów, zarówno przez środowiska polityczne, naukowe, jak i przez tych, których ten kryzys najbardziej dotyczy, czyli przez samych obywateli.

Grecja. Gorzkie pomarańcze to ważna lektura – dla wszystkich. Zarówno dla tych, którzy chcieliby poznać grecką historię, mentalność, kulturę, tradycję i obyczaje, jak i dla tych, dla których Grecja jest obszarem zainteresowań naukowych, zwłaszcza politologów i historyków, ponieważ dzięki opowiedzianym historiom oraz rzetelnej relacji o wydarzeniach współczesnych, pozwala przeanalizować i zrozumieć obecną sytuację w tym państwie. ■

Pokolenia odchodzą – pamięć pozostaje

Rozmowa z dr. Hubertem Chudzio

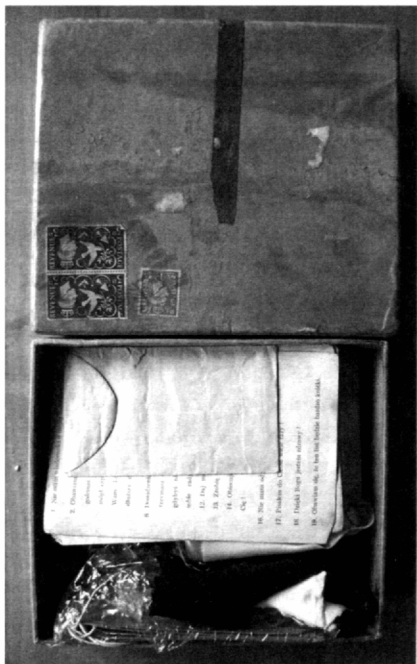
Marcin Kania: Panie Doktorze, przygotowuje Pan wydanie dziennika pani Krystyny Ostrowskiej, która w okresie II wojny światowej podzieliła los wielu Polaków zesłanych na Syberię. Jak dotarliście Państwo do pani Ostrowskiej?

Dr Hubert Chudzio: Od kilku lat realizujemy projekt zatytułowany „Pokolenia odchodzą. Re-



Pani Krystyna Ostrowska i dr Hubert Chudzio w domu autorki w Bradford (fot. A. Andryszewska)

lacje źródłowe polskich Sybiraków z Wielkiej Brytanii”. Zadanie finansowane jest z grantu, który uzyskałem w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. W związku z tym wraz z zespołem badawczym Uniwersytetu Pedagogicznego jeździmy do miast Wielkiej Brytanii i nagrywamy tam wywiady ze świadkami historii. Najczęściej są to ludzie, którzy po masowych wywózkach w głąb Rosji Sowieckiej w latach 1940–1941 wyszli z armią gen. Władysława Andersa do Iranu, a potem różnymi drogami trafili na Wyspy Brytyjskie. Do tej pory odbyliśmy podróże do Leicester, Nottingham, Bradford, Leeds i Birmingham. W niedługim czasie ruszamy do Coventry. Wśród Sybiraków, którzy trafili do Anglii, była także pani Krystyna Ostrowska, dziś mieszkanka Bradford. Przed wojną mieszkała w okolicach Równego. W wieku 10 lat utraciła słuch. Gdy miała 16 lat, została wywieziona na Sybir. Tam zaczęła pisać swój niezwykle pamiętnik. Mogła to robić, ponieważ była niepełnosprawna, a kontakt ze światem zewnętrznym zapewniało jej właśnie słowo pisane. W innym wypadku, podobnie jak młodzież w jej wieku, pracowałyby w lesie przy wyrębie drzew. Pewnego dnia podczas misji w Bradford pani Agnieszka Andryszewska – jedna z osób związanych z polskim ośrodkiem i parafią w tym mieście, a także opiekunka pani Ostrowskiej z ramienia tamtejszej pomocy spo-



Podczas prac w Bradford do Polskiego Ośrodka zgłosił się p. Thomas Flynn, pracownik zakładu oczyszczania miasta. Znalazł on pudełko zawierające rzeczy należące do Franciszka Jaworskiego, żołnierza II Korpusu Polskiego (m.in. pagony, które świadczą o tym, że był saperem). Zostały one przekazane Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń UP. To tylko jeden z licznych przykładów świadczących o tym, jak ważne są prace dokumentacyjne i badania, które mają charakter ratunkowy (fotografie i opis z archiwum Centrum)

łecznej – przyniosła nam dziewięć około 150-stronicowych zeszytów, całkowicie zapisanych. W reklamówce, w której były zeszyty, znalazła się także karteczka do mnie od pani Krystyny. Zapisana była na niej informacja, że jeśli pamiętnik posiada wartość dokumentalną, to mam go ze sobą zabrać do Polski, jeśli zaś nie – mam go jej oddać. Rękopis z olbrzymim wzruszeniem, a czasami ze łzami w oczach, czytaliśmy do późnych godzin nocnych. Dokument był niezwykle. Postanowiłem jak najszybciej odwiedzić panią Ostrowską. Spotkałem niezwykle ciepłą kobietę, mieszkającą samotnie w dużym domu. Zgodziła się nagrać krótki wywiad, opowiedziała mi swoją historię... Bardzo skarżyła się na to, jak los ją potraktował.

W jednej z wypowiedzi dla prasy dziennik Krystyny Ostrowskiej został przez Pana porów-

nany do Dziennika Anny Frank. Na czym polegają podobieństwa między tymi relacjami?

Głównie na tym, że ukazują losy dwóch kilkunastoletnich dziewczynek na tle terroru dwóch systemów totalitarnych. Z jednej strony – reżimu nazistowskiego Adolfa Hitlera, z drugiej zaś – komunistycznego, ze złowrogim Stalinem na czele. Obie autorki stały się ofiarami tych nieludzkich systemów. Ich życie stało się gehenną, zostało złamane, a konsekwencje tego były tragiczne. Obie odczuwały wszechobecny strach, mimo to pisały swoje wspomnienia. Wycieńczona Anna Frank zmarła na tyfus w niemieckim obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, a Krystyna Ostrowska, po upadającym życiu na syberyjskiej zsyłce, choć przeżyła wojnę, nigdy nie odzyskała spokoju ducha. Obie nastolatki opisały swoje tragiczne doświadczenia

i ważna jest paralela ich losów. Anna pisała swój pamiętnik w ukryciu, w koszmarnym odosobnieniu. Krystyna pisała, gdyż była „upośledzona” z powodu swej głuchoty. Tylko dlatego nie chodziła do pracy w lesie, a przez to, że porozumiewała się z innymi, pisząc (choć do dziś świetnie czyta z ust), nie budziła podejrzeń władz sowieckich. Uważam, że pamiętnik pani Krystyny powinien być lekturą obowiązkową dla dzisiejszej młodzieży.

Skąd bierze się wyjątkowość wspomnień pani Ostrowskiej? Jaka jest ich wartość historyczna?

Wspomnienia te przypominają wiele innych wywiadów, które nagrywamy w Wielkiej Brytanii i innych miejscach. Relacje opowiadane z dzisiejszej perspektywy są już jednak skażone czasem. Dotyczą bowiem wydarzeń sprzed ponad 70 lat. Pani Krystyna ma już 90 lat. Jej pamiętnik pisany był jednak na bieżąco. Choć przed wyjściem z ZSRR w 1942 r. do Iranu, ze strachu, że Sowietów nie pozwolą jej wyjechać, spaliła notatki, natychmiast je odtworzyła, już na wolnej ziemi. Każde kilkunastoletnie dziecko musiało w systemie sowieckim pracować jak dorosły. Pani Krystyna nie, bo była głucha. Dzięki temu mogła pisać, pisać, pisać... Jak mi powiedziała, przyrzekła sobie, że nie daruje Stalinowi tego, co zrobił jej i jej rodzinie, a także jej ojczyźnie. Jest wielką patriotką. Warto dodać, że pamiętnik przeleżał wiele lat w garażu pani Krystyny. Nasz przyjazd prawdopodobnie uratował go przed zapomnieniem, a może przed zniszczeniem. Wiele pamiętek po polskich Sybirakach utraciliśmy bezpowrotnie. Gdy ludzie umierają, zwłaszcza samotnie, często ich rzeczy lądują na śmietniku. To nie są cenne słowa. Podczas tej samej misji w Bradford przyjechał do nas Irlandczyk, pracownik przedsiębiorstwa

oczyszczania miasta. Przywiózł pudełko z pamiętkami po polskim żołnierzu, które znalazł właśnie na... śmietniku.

Rękopis pamiętnika obejmuje około 1,4 tys. stron tekstu. Został już przepisany komputerowo. Jakie będą jego dalsze losy? Kiedy trafi do czytelników? Czy zostanie wydany w całości, czy we fragmentach?

Pamiętnik przepisał pracownicy Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń oraz wolontariusze Centrum, czyli doktoranci i studenci z Instytutu Historii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. W wersji komputerowej z 1400 stron rękopisu zrobiło się około 600 stron A4. To bardzo dobry tekst, pełen niekiedy wręcz sienkiewiczowskich opisów. Chcemy w niego jak najmniej ingerować. O ile jednak materiał z Rosji sowieckiej i Iranu nie powinien zostać skrócony, to relacja z pobytu w Afryce (pani Krystyna przebywała w latach 1942–1948 w polskim osiedlu w Lusace w Rodezji Północnej) zostanie już raczej okrojona, jest bowiem najdłuższa, a opisy poszczególnych dni są do siebie podobne, więc może nie trzeba wszystkiego drukować. W tej chwili szukam wydawnictwa, które sfinansuje publikację tej niezwyklej książki. Chciałbym, aby została wydana w tym roku i pani Krystyna jak najszybciej mogła ją zobaczyć. Warto to zrobić choćby tylko dla niej, aby zmieniła zdanie odnośnie do swego życia... Podczas naszego spotkania w Bradford mówiła mi, że uważa je za zmarnowane. Ja tak nie myślę i chciałbym, aby ona widziała to podobnie...

Dziękuję za rozmowę. ■

Rozmawiał Marcin Kania

Wywiad przeprowadzono w styczniu 2014 r.

KRYSTYNA OSTROWSKA

Pamiętnik z pobytu na Syberii (fragment)

ZNOWU EPIDEMIE – TYFUS PLAMISTY –
CZERWONKA

Jak zwykle noszę z Celą ziemię na polu, pracujemy przy drodze, więc zawsze wszystko widać, kto gdzie drogą idzie lub jedzie. Teraz kilka razy już widzieliśmy jadące arby z chorymi do szpitala. [Gdy w]yjebiec na drogę, zapytać się, kto chory, na jaką chorobę, towarzyszący choremu ktoś z rodziny smutnym głosem odpowiada: „Chory na tyfus plamisty, jedzie do szpitala”. I to coraz więcej ofiar tyfusu wiozą tak drogą w stronę Wapkienu. Ze szpitala rzadko wracają, mnożą się znów pogrzeby. Wspomnienie wraca do Południowicy¹. Tam też było tyle ofiar tyfusu brzuszego i dość duży pozostał cmentarz. Niepewni jesteśmy życia, gdy z kolchozów tyle pada ofiar tyfusu, jeśli tyfus dostanie się do naszego kolchozu, któż wie, czy nie stanie się z nami tak samo, a przecież do Polski wrócić całym sercem pragniemy.

Pewnego wieczora, przed zachodem słońca, spotykamy znów pewną dziewczynę. Idzie z miasteczka do swojego kolchozu. Dowiedzieliśmy się, że jej ojciec i matka przed jakimś czasem zmarli w szpitalu na tyfus plamisty, pozostaje z bratem i siostrą czy tylko z siostrą, dokładnie nie wiem. Ona jest starszą dziewczynką, ma dwanaście lub trzynaście lat, zostali tak osieroceni, mój Boże. Drugim razem spotykamy p. Kwiatkowską. Była na placówce po zapomo-

gę. W kolchozie mieszka z Wandą, Renią, a Zosię oddała do ochronki. Prosiłam, by powiedziała Wandzi, żeby do mnie przyszła. [Pani] Kwiatkowska źle wygląda. Kaszle, płuca ma chore od dawna. Po kilku chwilach rozmowy pożegnaliśmy się i p. Kwiatkowska poszła w dalszą drogę do swojego kolchozu, a ja z Celą do nosilki pozostawionej na polu. Prowadzący naszego kolchozu też od jakiegoś czasu jest chory na tyfus plamisty. Do szpitala za nic jechać nie chce, sądzi, tak jak Uzbeki, że ze szpitala to już nie wróci, a że to choroba zaraźliwa, kazano rodzinie stanowczo oddać go do szpitala, ale gdzie tam, jak już pisałam, to lud uparty i trzyma się swojego zdania, poza tym na ogół leniwy. Na szczęście jednak po dwu czy trzech miesiącach powoli przychodzi do zdrowia i widzimy go nieraz z pola, jak powoli wychodzi z kibitki i siada na słońcu. Nosimy teraz nad brzegiem wyschniętego koryta małej rzeki. Ziemia jest pulchna i blisko nosić, więc z nosilkami niemal biegamy i sypimy na kupkę po nosilce i trochę, także prędko cały wyznaczony kawałek wypełnił się kupkami. Po drugiej stronie wyschniętej rzeki wznosi się wyższa, samotna na polu góra. Postanowiliśmy z Celą wejść na jej szczyt i zobaczyć. Tylko że trudniej przejść na drugą stronę, bo brzeg urwisty i wysoki, i dnem przejść jest niemożliwe. Nad korytem z jednego brzegu na drugi jest przerzucona gruba kłoda drzewa, lecz obawiam się przejść po niej, bo fiknę koziółka w dół. Ale jeżeli nie przejdę po tej belce, muszę zrezygnować z obejrzenia góry. Wzięliśmy się więc z Celą za ręce i powolutku prze-

¹ Obozu pracy w Południowicy (obwód swierdłowski) w Związku Radzieckim.

szliśmy na drugą stronę i teraz biegiem do stóp góry. Po kilku chwilach wspinałyśmy się obie dość łagodną dróżką biegnącą na szczyt góry. Gdyśmy już doszli do końca, przekonaliśmy się że góra szczytu w ogóle nie ma, jak to się wydawało z pola, a jest równa, jak gdyby ostry szczyt naumyślnie był ścięty. Poszliśmy obie środkiem. Trawa i krzewy rzadko na niej rosną, przeważnie ziemia gliniasta jest goła i mocno wyschnięta przez słońce. Schodzimy drugą stroną i na każdym kroku spotykamy suche, wyschnięte, a niektóre stoczone przez robactwo grzbiety młodych jeży. Od czego one poginęły, nie wiemy, lecz bardzo nam [ich] szkoda.

Żeby te kolce były miękkie, to szczotka byłaby „fajna” – mówimy sobie tak z Celą. Wzięłyśmy obie po jednym, po dwa, pokazać Łodzi, Ryskowi, mamusiom, i schodzimy. Z tej drugiej strony u podnóża przepływa mała rzeczka z brudną wodą. Górę od rzeczki dzielą jakieś krzaki i w tych krzakach prawdopodobnie mieszkają jeże. Po tej samej kłodzie przeszliśmy na drugą stronę i za krótki czas z nosilkami do domu na obiad, a na nosiłce przynieśliśmy kilka jeżowych skór ze swojej „wyprawy” na górę. Tadzio ciekawie je ogląda.

Tak bliski był odjazd młodzieży do junaków, że dzieciom radość serduszka rozpiełała, a tu masz, pobór do junaków został odwołany na czas nieokreślony z powodu szerzącej się epidemii tyfusu plamistego. Niektórzy nawet zapisani „junacy” wpięrow poszli do grobu zanim do formacji. Smutek i oczekiwanie w miejsce radości zagościły w sercach dzieci i to niecierpliwie pytanie: „Kiedyż wreszcie zaczną przyjmować? Kiedyż pójdziemy do junaków?”, by jak najprędzej wyjechać z kołchozów i być między swoimi.

Pracując wspólnie na polu i patrząc na Ryska, na jego jeszcze dziecinne ręce nakładające łopatą ziemię na taczkę, którą wozi, bo do nosiłki nie ma pary, po drugie taczka więcej zrobi, choć ciężiej pchać taczka po roli. I żal serdeczny – żal głęboki ściska za serce na myśl rozstania i rozłąki. Pytam go się nieraz, czy mu nie żal mnie, to on mi odpowiada: tam będzie mi lepiej, dostanę chleb, tam będę się uczył,

albo innym razem: zostaniecie we dwie z mamusią, przy tych słowach pozornie się uśmiecha, lecz w wyrazie twarzy wyczytuję żal w jego sercu. I smutne widoki snują mi się przed oczami. Widzę już w wyobraźni tylko siebie i mamusię w kołchozie, jak ciężko nadal pracujemy na życie, a ukochanego, jedynego brata już nie ma, obraca się gdzieś tam w junakach.

Pocieszam się jednak jeszcze tym czasem i tymi chwilami, gdy on jeszcze jest między nami, jeszcze nie przyjmują do junaków.

W naszych kołchozie, raczej w naszej kibitce, też jakoś nieszczególnie, od pewnego czasu p. Wołkowska źle się czuje i niedomaga, aż tu pewnego dnia przychodzi do nas, Łodki, Celi, Ryska i mnie, moja mamusia na pole ze smutną wieścią: przyjeżdżała zawezwana sowiecka doktorka i stwierdziła tyfus plamisty, i kazała chorą natychmiast odwieźć do szpitala.

Na to Łodka i Cela w płacz i po naradzie wróciliśmy z nosilkami do kołchozu. Nie ma możliwości odwieźć dziś chorą do szpitala, nie ma w kołchozie koni. Zbliża się wieczór, p. Wołkowska leży chora, Łodzia, Cela, Tadzio są przygnębieni i popłakują. Na drugi dzień rano jest arba i konie. P. Wołkowską ubieramy i wyprowadzamy, idzie powolnym krokiem, podtrzymywana przez córki. Ja jadę razem, wysłała mnie mamusia z Łodzią za sprawą na placówkę. P. Wołkowska przywołała Tadzia, ale i my same kazałyśmy mu przyjść, bo płakał gdzieś w kącie podwórza czy kibitki. P. Wołkowska na pożegnanie zleciła mu posłuszeństwo i pogroziła palcem. Arba ruszyła i pojechaliśmy do Wapkientu. Po krótkim czasie stajemy przed dość wyższym murem, na bramie widnieje napis „Bolnica”. Woźny zameldował i wprowadzamy p. Wołkowską do poczekalni. Wkrótce przyszły siostry i wzięły chorą do łazienki, gdzie po wymyciu obcięto [jej] włosy do goła. Przez okno pożegnałyśmy chorą. P. Wołkowska poszła z siostrą na salę chorych. A na podwórzu szpitalnym spotykamy Józka Wrzyszcza, [który] prowadzi swoją małą siostrę ze szpitala, już szczęśliwie z tyfusu wyzdrowiała. Poszliśmy na placówkę i po załatwieniu sprawy wracam z Matyldą do domu. Łodzia gdzieś tam została w miasteczku



Rodzina uzbecka przed domem, 1941 r. (fot. z archiwum Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń UP)

na obiad czy na herbatę. Po drodze spotkaliśmy arbę. Jechało na niej dwóch Uzbeków. Na naszą prośbę podwieźli nas do samego kolchozu, bo nasza arba zaraz ze szpitala pojechała. Dzień był zimny, duży był wiatr, niemało zmarzliśmy, spożyliśmy ciepłą kolację i zapadł zmierzch. Jutro przeprowadzamy w kibitce dezynfekcję. Naczynie i żywność dnia następnego rano przenosimy do domku panny Matyldy, okna i drzwi szczelnie utkaliśmy i po rozpaleniu siarki w odpowiednim miejscu zamknęliśmy kibitkę na dwa dni. Lodzia z Celą i Tadziem nocowali u Matyldy, my u gospodarza, na ziemi, pod kołdrami i na kołdrach. Tuziemcy rano wstają wcześniej, jak tylko zaczyna się rozwidniać, i choć my się jeszcze wys[y]p[i]aliśmy, musimy wstawać bo gospodyni sprząta. Posilek gotowaliśmy na kuchence u Matyldy. Po dwóch dniach kibitkę i wszystkie z niej rzeczy wietrzymy i wracamy do niej z powrotem.

Z tyfusu zwykle trudno wyzdrowieć. Lodzia z Celą się martwią, mnie szkoda małego Tadzia. Lodzia chodzi do szpitala, z początku stan zdro-

wia nic nie był lepszy, potem zaczęło się polepszać i dzięki Bogu p. Wołkowska wyzdrowiała. Choć jeszcze słaba, wróciła do kolchozu.

Po tym wstrząsie i obawie o zdrowie dalej płynie to samo życie i praca na polu. Do kolchozu przyjechał traktor i orze pole, cały dzień i noc przy reflektorach. Traktorem kieruje i orze sowietka, widziałyśmy ją, dumna i pyszna jest ze swego zawodu i swej pracy, w wysmarowanym, brudnym ubraniu. Prawda, u nas to była praca nie dla kobiety. Noszę nadal z Celą. Dziś my same na polu, Lodzia poszła z Ryśkiem do Wapkientu, mamusia w bani, p. Wołkowska z Tadziem w domu. Nosimy tak same i po kilku godzinach zauważyłyśmy coś ciekawego, a zarazem bolesnego. Hen na rowie śpiewa obłąkany tuziemiec, takt nut wymachując rękami, jak gdyby śpiewał na scenie lub uczył śpiewu zgromadzony lud, a tam w ogóle nikogo nie było prócz jego roweru porzuconego na rowie i kilku Uzbeków orzących pole, wcale niesłuchających śpiewu. Zdało mi się na chwilę, jak gdyby śpiewał przyrodzie i tym polom przygotowującym

się pod świeży zasiew, dopóki mi Cela nie wytłumaczyła osoby tuziemca i jego postępowania. Po skończonym śpiewie siadł na rower i jak wicher, jak strzała, popędził na nim drogą do kolchozu, tak że myślałam mimo woli, że głowę rozbije o jakie drzewo.

Zrobiło się nam żal chłopaka, boć to jeszcze młody. Otóż podczas naszego przyjazdu do tego kolchozu on był przy całkiem zdrowym umyśle, przychodził nawet do nas na drugi dzień, by iść po okno, był mały, lecz przystojny, i w tak krótkim czasie, bo po miesiącu, zmienił się nie do poznania, twarz, cała ospowata, straciła poprzednie jej w kwiecie wieku piękno. Mówią tuziemcy, że miał narzeczoną, lecz ona go nie chciała i że z tego powodu dostał obłąkania, ile [w] tym prawdy czy kłamstwa, nie wiemy. Pracował on poprzednio w kolchoźnym urzędzie, nikogo z rodziny tu nie ma, nikt nie dba o odwiezienie go do szpitala, po drugie, my z Uzbekami nie możemy się prawie dogadać i przyczyn jego choroby nie znamy. Pewnej niedzieli poszliśmy we trzy[:] Łodka, Cela i ja, zobaczyć go we własnej kibitce. Weszliśmy na podwórko i stamtąd zaglądaliśmy do uchylonych drzwi. Mój Boże, człowiek w niej na równi ze zwierzęciem.

Pośrodku kibitki wbity słupek, do niego przy-mocowany gruby łańcuch i w łańcuch spięte obie ręce obłąkanego, a on siedzi na nędznym, starym dywanie. Na kolanach stoi miseczka z gotowanymi morelami i tak tymi dwoma spiętymi ze sobą łańcuchem rękoma bierze z miseczki morele i wkłada do ust. Przy tym jakoś dziwnie się śmieje, pokazuje coś, rozmawia, mocuje się z łańcuchem, to się rusza. W kącie kibitki leży barłóg słomy. Po kilku chwilach pokazał nam, że idziemy, i znowu się śmieje, to coś mówi. Mój Boże, jak ci Uzbeki nie mają litości, takim łańcuchem spinać mu obie ręce, które chyba ciąży mu jak kajdany. Tłumaczy się oni, że lata, krzyczy i nie mają na niego rady, co by wziąć i odesłać do szpitala, lecz ten szpital to u nich, jak pisałam, droga do grobu, w szpitalu czeka śmierć, ze szpitala się nie wraca. Smutne powróciliśmy do swojej kibitki. W naszej kibitce przy wysokim morelowym

drzewie mamusie szykują obiad. Wszędzie jakoś pusto, smutno i pobliska rzeka nic nas nie wabi ani przyciąga. Czegoś brak, za czymś tęskno, do czegoś i kogoś bardzo daleko.

A ta epidemia tyle ludzi zabiera, od złego odżywiania chorują i na czerwonkę, a nasza Ojczyzna Polska chyba z tęsknotą czeka tam daleko na nasz powrót i głosem stłumionym pod jarzmem niewoli woła i woła. Gdyby, Polsko, to w naszej było mocy mieć skrzydła u ramion, zaraz byśmy poprzez wszystko polecili do Ciebie na te wołania spełnić Twe żądania.

Poprzez kolchoźne pola, gdzie pracujemy, wieje pustką i smutkiem, od czasu do czasu drogą sterany rodak idzie na placówkę po zapomogę lub wlecze się z powrotem do kolchozu, nieraz zapomogi nie uzyskawszy.

Wracając z pracy, zaglądamy nieraz do kolchoźnego magazynu, o ile otwarty. W magazynie jest zboże, morele suszone i w ogóle tu wszystko się mierzy i odważa, co się na polach uprawia, a potem odsyła albo przychodzą materiały. Jest w naszym kolchozie pewna Uzbekka – uczona, lecz pracuje na polu z tego powodu, że jej mąż, także uczony, pracując przed czasem wspólnie z nią w magazynie, popełniał deficyt, za co został aresztowany i osadzony gdzieś we więzieniu i ona z magazynu została również wydalona. Obok magazynu stoi stary meczet, choć mały – bez wieży, zdradza od pierwszego wejrzenia tutejszą świątynię. Przed 15 laty świątynia ta była czynna, jak twierdzą tuziemcy, lecz po wprowadzeniu rządów komunistycznych została zamieniona na kolchoźny sklep. Pewnego południa, wracając z Celą z pola, zajrzałyśmy, potem weszłyśmy do środka. Wewnątrz zupełny wygląd świątyni, lecz zaniedbana i zanieczyszczona. W niszach leżą resztki waty, papiery, poza tym prócz warstw kurzu wszędzie leżącego zupełna pustka. Sprzedawać tu teraz nie ma co, bo wojna i materiałów w ogóle nic tu nie dowożą.

Nasza praca na polach bez zmian, na dłoniach robią się narywy od nośników, toteż po całodzienniej pracy najmiłszy jest wieczór i jedna w tygodniu niedziela. A jeszcze milej, gdy jak który uprzejmy Uzbek poprosi na wieczór do siebie i poczęstuje lepioszkiem, mlekiem,

serem, burakiem lub choćby morelami, choć nie często, lecz jesteśmy z tych „w gości”, jak nazywamy, zadowoleni. Pewnego razu po obiedzie, idąc na pole, zasłaliśmy do pewnego tużemca, gdzie zostawiliśmy nosiłki i taczkę. Trafiliśmy jak raz na czas posiłku. Gospodyni prosi nas do kibitki, weszliśmy chętnie. Pośrodku na ziemi rozłożony obrew, na nim chleb pierwszy raz w tym kołchozie spotykamy, bo chleb to tu rzadka rzecz. Stoi miska ze serem, placki leżą pośrodku, a naokoło – po turecku lub po prostu na czworakach – siedzą i jedzą dzieci umazane na buzi i rączk[ach] serem z mlekiem, bo jedzą rączkami z miski. Łyżek nie widać, więc z pewnością nie ma. Obok dzieci siedzi ojciec, mało mówi, nie zna rosyjskiego. Dzieci jeść przestały, dziwnie się nam przyglądają, gospodyni prosi, byśmy siadali, i podsuwa miskę ze serem.

Ser rozpuszczony w mleku jest dobry, ponieważ łyżek nie ma, więc je zastępuje chleb i placki maczane w misce. Wkrótce wstaliśmy, podziękowaliśmy uprzejmej gospodyni i pospieszyliśmy na pole, gdzie Uzbetki już noszą ziemię. Wieczorem po powrocie z pracy idę sama lub z Celą i Tadiem po gałęzie na pole, blisko już nie ma, trzeba iść dalej. Obecnie znaleźliśmy przy zakręcie rzeki za wsią większą kupę. Naładowawszy dobrą wiązkę, biorę na plecy i zmierzchem już wracam do domu. Tak samo gałęzie noszę i do bani, tam to prędko idzie, bo duży piec. Chodzę zwykle brzegiem rzeki, rzeka wezbrała, ach, prawda, to marzec, więc w Polsce roztopy, nie dziw że i tu, w kraju bez śniegu i mrozu, też wita wiosna wezbraną rzeką i zieleńiącą murawą, drzewami. O, witaj, wiosenko, jakie wieści niesiesz z kraju? Jak tam płynie Wisła, nasz Horyń na Wołyniu i jak kwitną drzewa, i zieleńią się zboża? Smutno czy wesoło klekocą bociany i śpiewają skowronki? A wiosenka odpowiada: w kraju jest smutno, ziemia Polska tęskni za wami, a Wisła płynie, jak dawniej płynęła, i swym wiosennym szumem coś mówi i szepcze, że „Polska nie zginęła”, i Horyń woła swoich rybaków do pozostawionych na brzegach sieci, drzewa z kwieciami co dzień płaczą kropelkami rosy, młode zboże się żali,

że dla wroga rodzić będzie chlebuś i bułeczki, a swoim dać nie może, mimo że żyją bez chleba. I bocki żałośnie klekocą, a skowronki coś śpiewają, że wróci i powstanie wolna, niepodległa Polska.

Dziękuję ci, wiosno ukochana i miła, za te drogie wieści, idź dalej do wszystkich kołchozów, gdzie pracują nasi, i zanieś im te nowiny z kraju, a się nimi ucieszą i pocieszą w ciężkiej pracy i niedoli.

Mimo że bierzemy wodę do gotowania ze rzeki, a jest obecnie brudna, więc przynosimy na noc, by się na rano ustała, a rano na obiad. Dostaliśmy tym razem proso na mąkę, lżej nieco było mleć, i robimy teraz z tej mąki mamałygę, z rzadka i placki, ale one są bardzo kruche i łamią się. „Mamałyga” mnie i Ryśkowi bardzo smakuje, mamusi natomiast nie.

Z upragnieniem zawsze oczekiwana jest przez nas niedziela, dzień wytchnienia. Rano jak zwykle i jak czas kiedy pozwalał, msza św. z książeczki, różaniec, zwrócenie myśli do Boga i prośba o siły do przetrwania dla siebie, dla najbliższych. Z dwóch obowiązków przepisanych mi przez szkaplerz karmelitański wypełniam jeden, odmawiam co dzień siedem pacierzy, drugi: w każde święto M[atki] B[ożej] być u spowiedzi i Komunii św., choć pożądanym, jednak niemożliwym. I pozostało mi tylko błogie wspomnienie Milicji Niepokalanej, do której tak krótko przed wojną zostałam przyjęta.

A tuziemcy z tej figurki M[atki] B[ożej] i obrazka w niszy śmieją się, szczególnej nasz gospodarz. Dziwią się, że Bóg na obrazkach i figurkach. Nieraz się pytają co to jest w tej niszy. Odpowiadamy, że Bóg. Oni na to, że Bóg jest w niebie, nie na obrazkach, oni modlą się prosto do nieba, po swojemu, jak którzy wierzą [...]. Meczety pozamykane, obrządku zniezione, powszechne zaniedbanie religijne i w ogóle odstępstwo. Dałby Bóg, by po tej wojnie całe masy tego ludu pozyskał Kościół święty [rzymskokatolicki], by się Rosja nie-szczęśliwa nawróciła. I ta nasza tabelszczyca chce, byśmy nie mieli dnia odpoczynku, byśmy i w niedzielę pracowali. A priedsiadatiel i cała ta władza może ją posłuchać, bo przecież

i tuziemcy pracują w niedzielę. Lepiej, by do tego nie doszło, a jeżeli i dojdzie, niech sobie robią, co chcą, my w niedzielę pracować za nic nie będziemy. To nasz brygadier nam o tym powiedział, że tabelszczyca chcą, byśmy pracowali w niedzielę, i że powiedziała pried-siedatielowi, że on nam dodaje. Na szczęście brygadiera kara nie spotkała. Nasz dobry brygadier szczególnie lubi Ryśka.

Do naszego gospodarza przyjechała siostra, i ona tak samo jak brat ospowata, i pracuje na polu. Myśleliśmy z początku, że przyjechała z innego kołchozu w odwiedziny do swego brata, lecz jakie ogarnęło nas zdumienie, gdybyśmy się dowiedzieli, że ją mąż z domu i od dzieci wypędził, których nie pozwalał jej zabrać. A ona – matka – dzieci nie żałuje i w krótkim czasie pociesza się już drugim mężem, podczas gdy pierwszy żyje. Wychodzi za tuziemca, który także swą żonę przed jakimś czasem przepędził, a dwóch chłopców pozostało przy nim. Tak po-deptane jest tutaj małżeństwo, tak znieważona nierozzerwalność związku.

I choć Uzbeci są mahometańskiego wyznania, lecz obecnie rzadko już wierzą w swojego Boga po zniesieniu meczetów. Tak więc uznał rząd bolszewicki ważność ślubu, gdy był cywilny, u nich ślub kościelny nieważny, a tutejszy ciemny, biedny lud dał się zwieść i uwierzył, i żyją dzieci bez chrztu św. Tu mężczyzna, gdy się żeni, musi mieć pozwolenie z rej[onowego] „spalkomu”, a kobieta z rej[onowej] „obłasti” NKWD, i zaświadczenie lekarza, że skończyła 18 lat życia, wzrost i ilość zębów. Potem ślub biorą w urządzie, przed jakim bądź naczelnikiem i urzędnikiem.

Następnie odbywa się wesele, a uczta trwa przez trzy dni. Podczas uczty kobiety są w tym pokoju, w którym panna młoda, a mężczyźni w drugim, z którymi ucztuje pan młody.

Gdy [ktoś] zaś umrze, w pogrzebie biorą udział mężczyźni, jeden zawodzi, a reszta lamentuje, kobiety zaś patrzą z daleka. Chowają bez trumien i na siedząco, tak u nich jest w zwyczaju.

W niedalekim kołchozie Kaganowicza mieszka p. Żygadłowa z Wirkami. Bolesny cios ugodził w ich serca. Narzeczony Hanki – Gąsowski, służący razem z p. Żygadłą we wojsku w Guza[rze], doniósł o śmierci ich męża i ojca. Poszliśmy je odwiedzić pewnej niedzieli we trójkę: Łodzia, Cela i ja.

Trudno było po prostu uwierzyć, by ten w pełni sił mężczyzna tak przedwcześnie zgasł, lecz bolesne przygnębienie malujące się na twarzy p. Żygadłowej i córek rozwiała mi wszelkie wątpliwości.

Mieszkanko ich jest przytulne, jakie z nędznej, niewygodnej kibitki zrobili wspólnie, zanim poszli do wojska p. Żygadło z Gąsowskim. P. Żygadłowej w oczach stoją łzy, gdy na nasze zapytanie, kto zrobił tak dobrą kuchnię i okno, odpowiada, że to zrobił mąż. Obaj, zanim dostali karty powołania, pracowali w kołchoznej kuźni. Głęboko współczujemy ich nieszczęściu. To właśnie obecna epidemiczna choroba – tyfus płamisty – skosiła życie p. Żygadły. Lucia poczęstowała nas kompotem z moreli, ona jest w tutejszym kołchozie tabelszczycą, p. Żygadłowa pilnuje dzieci tuziemców, gdy ich rodzice idą do pracy. Hanka nie pracuje, chora jest na ślepą kiszkę i źle wygląda. Poza tym Lutka robi Uzbekom zdjęcia aparatem, który zostawił jej Gąsowski, i też nieco tym zarabia. Za zdjęcia płacą pieniędzmi względnie swoimi prowiantami. Tak zeszło nam do wieczora. Wszystkie trzy odprowadziły nas kawalek za wieś, są niemal bólem złamane. Pożegnaliśmy się serdecznie i o zmierzchu byliśmy w swoim kołchozie. Była razem z nami starsza dziewczyna z naszego kołchozu, której bratowa z córeczką przed naszym przyjazdem do kołchozu Stalina zmarła na tyfus, a jej brat służył we wojsku, lecz przed kilku dniami dostała również wiadomość o jego śmierci na tyfus. Tak więc zmarła w krótkim czasie rodzina: żona, córka i mąż. Tyfus szaleje, giną ludzkie istnienia w dalekiej obcej ziemi, pozostają gorzkie, bolesne łzy. Czas jest dla nas ciężki, a los okrutny. ■

RADOSŁAW GAJDA

Rosyjska mentalność a tęsknota za imperium

Winston Churchill nazwał Rosję zagadką. Nawet dziś, po upadku komunizmu, kraj ten wciąż pozostaje tajemnicą, tak jak wiele wydarzeń z jego historii.

Nie ma jednej Rosji. Jest ich wiele. Czy istnieje rosyjski naród? Oczywiście, że tak. Czym jest? Odpowiedzi może być wiele, zależnie od punkty widzenia. Rosja jest inna od pozostałych państw europejskich choćby ze względu na swoje rozmiary. To największe państwo świata; poza tym, mimo że leży w Europie, nie jest krajem europejskim. Historia Rosji zaczęła się dawno temu, przed Stalinem i Leninem. Zanim „czerwoni” zdobyli w niej władzę, przez 300 lat panowała dynastia Romanowów. Ale oni też przyszli późno...

Początki państwa sięgają IX w. – czasów, gdy historia mieszała się z mitologią, a polityka kazała wybierać religię. U szczytu swej potęgi imperium carów zajmowało jedną szóstą planety – od blasku Moskwy i Sankt Petersburga na zachodzie, przez wielkie lasy Syberii, po brzegi Pacyfiku i dalej. Rosja nigdy nie była jednym krajem, a jej mieszkańcy jednym narodem. Zawsze żyli tu Turcy i Słowianie, Mongołowie i Finowie. Rosja była ojczyzną setek różnych ludów. Wszystkie one miały własne tradycje, mówiły różnymi językami. Trudno zatem oczekiwać, aby czuły się jedną grupą etniczną.

Od wieków władza cara była absolutna i tej zasady wszyscy władcy bronili aż po kres rosyjskiego imperium w 1917 r. Rosyjski naród zachował sentyment do rządów carskich, a za-
wdzięcza to niewątpliwie Iwanowi Groźnemu.

To właśnie on wpoił Rosjanom ideologię autokratyzmu. Abdykując, car uwolnił się od politycznych i religijnych ograniczeń, które nie pozwalały mu działać. Dokonał zamachu stanu, obalił samego siebie, ale wiedział, że lud będzie błagał, żeby znowu zaczął rządzić (gdyż bojarzy byli znienawidzeni). I lud przyszedł do niego i wypowiedział się w typowo rosyjski, trochę bizantyjski sposób: „Owce nie mogą zostać bez pasterza. Wróć i niech będzie wola twoja”. Iwan zgodził się wrócić na tron pod jednym warunkiem – będzie miał wolną rękę w kwestii rządzenia i karania swoich wrogów.

Mijały lata i nastał okres panowania Piotra I. Władca ten przeobraził Rosję, a zacofany, leżący na uboczu kraj stał się nowoczesnym, potężnym mocarstwem. Skończył z religijną ksenofobią i izolacją kraju – pozostałościami po dawnym Księstwie Moskiewskim. Przyszłą Rosję widział jako świeckie imperium, oparte na ciężkiej pracy ludzi i potęgze armii. Historia dobitnie pokazuje, że ortodoksja, autokracja, nacjonalizm od wieków były dewizami władzy.

Podobnie jest dzisiaj. Nie bez powodu często odnosimy wrażenie, że świat traktuje współczesną Rosję jak grupę nastolatków przechodzących kryzys tożsamości, którzy jednak posiadają broń jądrową i mogą wyrządzić wiele szkód. To nieprawda, że inne narody ich szanują, raczej się obawiają, boją się, że mogą uczynić coś groźnego, nieprzewidywalnego. Rosyjska elita polityczna choruje na manię imperialnej wielkości i to od wieków. Niedługo carowie uważali, że jedyny słuszny system to ten, w którym

Bóg wskazuje władcę, aby rządził masami, współczesnym również trudno się jest wyżyć podobnych opinii. Rosjanie są silnie związani z ideą historycznej ekspansji i państwowości. Zostali wychowani w kolektywizmie. Trudno budować kapitalizm w społeczeństwie mającym poczucie sprawiedliwości. Rosyjskie społeczeństwo nie potrzebuje wolności, lecz równości.

„Zachód prędkiej wynajdzie perpetuum mobile lub eliksir życia, niż zgłębi istotę rosyjskości, ducha Rosji, jej charakter i nastawienie”¹. Trudno nie zgodzić się z tymi słowami. Oczywiście o rosyjskiej mentalności krąży wiele mitów, a jeden z nich nawiązuje do szczególnej duchowości Rosjan. Mentalność (łac. *mentalis*) to ogół poglądów, przekonań, nastawień i nawyków myślowych danej jednostki lub grupy społecznej.

Już w *Pouczeniu* Władimira Monomacha, w *Słowie o wyprawie Igora* czy *Słowie o ruinie ziemi ruskiej* odnajdujemy informacje o tym, w jaki sposób przodkowie dzisiejszych Rosjan wyobrażali sobie czas i przestrzeń, jaki mieli stosunek do przeszłości, jakie panowały relacje między narodem i władzą.

Sposób myślenia to kwestia nauki i duchowości. Przecież świadomość jest wyższym poziomem ludzkiego poznania, odzwierciedleniem obiektywnej rzeczywistości. Już w XVII–XVIII w. dało znać o sobie dążenie Rosjan do wypraw, odkrywania nieznanych przestrzeni (Siemion Dieżniow, Jerofiej Chabarow, Władimir Atlasow, Stiepan Kraszeninnikow, Siemion Czeluskin, Chariton Łaptiew, Dmitrij Łaptiew). Poszukiwanie drogi i sensu życia obecne było zarówno w rosyjskim folklorze, jak i w literaturze pięknej.

Patriotyzm... Bez względu na czasy trudno jest znaleźć pisarza, który nie okazywał swej bezgranicznej miłości i oddania Rosji. Kiedy

słyszemy słowa: „советский человек”, „русский человек”, wywołują w nas one inne skojarzenia niż na przykład „немецкий”, „итальянский” czy „американский человек”. Wo „русский человек” brzmi dumnie. I nie tylko brzmi, ale ma również określony sens.

Do najważniejszych cech charakteru rosyjskiego człowieka zalicza się umiłowanie wolności, która przejawia się wolnością ducha. Niepełniony sen o wolności ducha prowadzi Rosjan na skraj duchowego zagubienia. W jednym ze swoich listów w 1824 r. Puszkina pisał:

Я устал подчиняться хорошему или дурному
пишесварению того или другого начальника:
мне надоело видеть, что на моей родине обра-
щаются со мною менее уважительно, нежели
с любым английским балбесом, приезжающим
предъявлять нам свою пошлость, неразборчи-
вость и свое бормотание.

Trudno jest mówić dziś o jakiejś wspólnej mentalności społeczeństwa, tym bardziej jeżeli to społeczeństwo – w przypadku Rosji – nie jest jednolite i możemy odwoływać się wyłącznie do mentalności poszczególnych grup i warstw społecznych.

Ważnym elementem mentalności narodu rosyjskiego jest wiara w Boga, prawosławne tradycje, obyczaje, rytuały. Tym niemniej ateizm, jako spuścizna siedemdziesięcioletniego okresu komunizmu, również daje o sobie znać.

Kilka słów wypowiedzianych niegdyś przez kontrowersyjnego poetę Fiodora Tiutczewa niech będzie podsumowaniem rozważań na temat mentalności Rosjan:

Не способ поjąć jej rozumem,
Не способ zwyклą miarką mierzyć.
Ma w sobie tyle skrytej dumy,
Że w Rosję można tylko wierzyć².

¹ R. Kapuściński, *Imperium*, Warszawa 1999, s. 308.

² F. Tiutczew, *Sto wierszy*, przeł. R. Łuzny, Kraków 1989, s. 155.

PAWEŁ PRÓCHNIAK

Prawda metafory

Uwagi o pisarstwie Dariusza Czai*

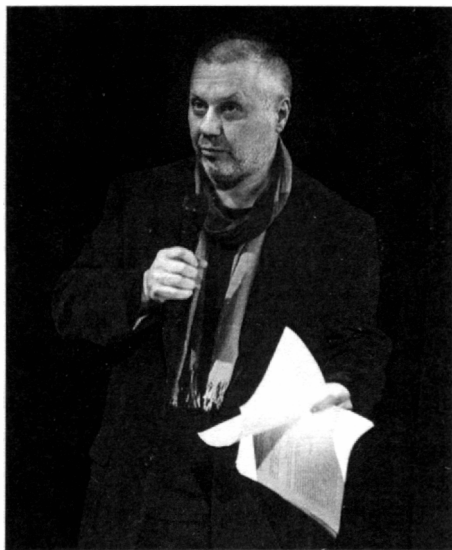
1.

Dariusz Czaja jest jednym z najwybitniejszych i najbardziej intrygujących antropologów współczesności. Jest też wytrawnym eseistą, dysponującym znakomitą piórem, świetnym słuchem i przenikliwością. Takie połączenie odważnej, nietuzinkowej umysłowości i pisarskiego talentu rzadko się zdarza. Nieczęsto uczony bywa pisarzem, pisarz – uczonym. Jeszcze rzadziej udaje się wywalczone piórem przestrzenie oświetlić w taki sposób, by stały się obszarem rzeczywistego poznania, by dążenie do prawdy i praca w słowie znajdowały w sobie nawzajem oparcie, by nauka miała siłę literatury. Krakowski antropolog potrafi jednym pociągnięciem pióra zestroić te dziś coraz bardziej rozbieżne, coraz bardziej oddalające się od siebie rejestry. Potrafi słowo uczynić na powrót miejscem rzeczywistej obecności, miejscem realnego doświadczenia i wydarzającej się prawdy. Dobieram sformułowania brzmiące wysoko, bo w takiej właśnie – najwyższej – tonacji odrzucam te mniejsze książki, które Dariusz Czaja napisał.

* Szkic jest wprowadzeniem do wykładu prof. Dariusza Czai, inauguracyjnego przedsięwzięcie „Filozofia i literatura. Wykłady krakowskie”, zorganizowane przez Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie we współpracy z Fondation Jan Michalski. Wykład ten, wygłoszony 13 marca 2014 r. w Małopolskim Ogrodzie Sztuki, był jednocześnie pierwszym ogniwem autorskiego cyklu wykładowego „Antropologia i fikcje”.

2.

Pierwsza z nich – *Sygnatura i fragment. Narzeczanie antropologiczne* – opublikowana została równo 10 lat temu, w roku 2004. Następnie ukazały się: *Anatomia duszy. Figury wyobraźni i gry językowe* (2005), *Lekcje ciemności* (2009), *Gdzieś dalej, gdzie indziej* (2010) i wydane ostatnio – w roku 2013 – *Znaki szczególne*, opatrzone podtytułem *Antropologia jako ćwiczenie duchowe*. Są wśród tych książek pozycje wyraźniej utrzymane w duchu akademickiej antropologii, są też takie, które nazbyt prostoduszny czytelnik



Prof. Dariusz Czaja

weźmie za zwykłe zbiory esejów. Jedne i drugie – a słyhać to już w tytułach – wyprowadzone zostały z intuicji, że ludzka rzeczywistość jest wyzwaniem nie tylko dla krytycznej refleksji, ale i dla poznającej wyobraźni, że refleksja i wyobraźnia są dwiema stronami tej samej monety, którą wyplacamy się istnieniu. Tą monetą jest wewnętrzne doświadczenie (kiedyś powiedzielibyśmy: doświadczenie duchowe) i wywiedziona z niego myśl – myśl w przestrzeni pisma (w przestrzeni tego, co zrobione z liter – w przestrzeni literatury), przybierająca postać metafory wynurzającej się z ciemności, zjawiającej się w rozbłyśku nowych form, oświeclającej miejsca dotąd nieznane, ale często wspartej przy tym mocno na źródłowej mowie symboli, na ich tajemniczej, biegnącej przez czas obecności w naszym świecie.

3.

Dariusz Czaja jest jednym z tych uczonych (kiedyś powiedzielibyśmy: myślicieli), którzy mają mocne poczucie, że to właśnie metafora odnaj-

duje drogę do istnienia, że odnajduje dającą się zakomunikować formę świata, doświadczenia, poruszeń duszy, że znajduje i otwiera przestrzeń dla tego wszystkiego, o czym nie mieliśmy pojęcia, gdyby nie odnalazło się w przenikliwym świetle słów właściwie użytych. Tak rozumiana metafora – metafora jako słowo właściwie użyte – jest miejscem żywej, rodzącej się myśli, która bierze na siebie łopoczący w nas dreszcz i wyrusza w nieznane. W książkach autora *Gdzieś dalej, gdzie indziej* ten dreszcz wyprawy w nieznane jest pracą słowa dążącego do prawdy, szukającego – powtórzę raz jeszcze – drogi do istnienia.

4.

Jest w tych książkach precyzja myśli, intelektualny rygor, klarowność prowadzonego pewnie wywodu. Jest w nich uważność. Jest coś z miłosnego przyłgnięcia do istnienia, do tych przejawów ludzkiego bycia w świecie, które nazywamy sztuką, do tych poruszeń egzystencji, które mają



Wykład prof. Dariusza Czaj w ramach cyklu „Filozofia i literatura”, Małopolski Ogród Sztuki, 13 marca 2014 r. (fot. Ł. Łuszczek)

wymiar duchowy. Jest w tych książkach również odwaga spojrzenia w ciemność, odwaga zmierzania się z tym, co nieprzeniknione, całkowicie inne, niekiedy druzgocąco obce. I być może właśnie ta odwaga jest prawdziwą stawką humanistyki, filozofii, literatury. Odwaga czytania ciemności – ciemności świata i ciemności doświadczenia. Odwaga wysłuchania lekcji, jakiej ciemność nam udziela. Odwaga przyznania, że w mroczniejącym powietrzu naszej współczesności wciąż wybrzmiewają pytania, które zostawił nam Nietzsche: „Czyż nie pochlodziło? Czy nie nadciąga noc? I coraz więcej nocy?”

5.

Te lekcje ciemności są ważne. Mówią coś istotnego o prawdzie naszego istnienia. Ale pisarstwo Dariusza Czai – to określane jako naukowe i to brane za eseiistyczne – jest nie tylko spotkaniem z ciemnością. Owszem, przechowuje w sobie jej ślady, jej dotknięcia, swoją siłę czerpie jednak również ze światła sztuki, zwłaszcza literatury, ale też muzyki, malarstwa, filmu, słowem: z pracy żywej wyobraźni, która być może jest już dziś ostatnim w naszym świecie skrawkiem rzeczywistości duchowej. I także te lekcje – lekcje trwania w świetle, otwarcia na powiew rzeczywistego istnienia – brzmią w książkach Czai mocno i czysto, przenikliwie, w sposób dający do myślenia.

6.

Biorę jeszcze jeden oddech i zmieniam tonację, by powiedzieć, że pisarstwo autora *Anatomii duszy* ma swoje źródło również w rozpoznaniu, że w słowie i przez słowo żyje się pełniej, intensywniej, głębiej, że to właśnie słowo stwarza nasz świat i nas samych. Wspominam o tym, bo w książkach Dariusza Czai widzę powierzona słowu i właśnie dlatego na wskroś rzeczywistą obecność kogoś, kto piórem toruje drogę myśli, że słowa wyprowadza



Prof. Paweł Próchniak (fot. Ł. Łuszczek)

myśl głodną poznania i – odwrotnie – poznającą myśl utwierdza w zapisanym słowie. Ta myśl zyskująca oparcie w słowie, sprzymierzona z ruchem pióra, jest myślą twórczą i wolną. I tylko taka myśl – twórcza i wolna – może pozostać wierna istnieniu, może być myślą prawdziwie poznającą.

7.

Miałem mówić o Dariuszu Czai, a od dobrych paru chwil mówię, że literatura jest filozofią, że filozofia jest literaturą. Ale to właśnie jest na temat. Autor *Sygnatury i fragmentu* jest dowodem na to, że literatura może być formą filozofii, że filozofia znajduje mocne oparcie w literaturze, że poznająca myśl spełnia się w metaforze, że słowo właściwie użyte staje się formą poznania. Nie trzeba w tej kwestii wierzyć mi na słowo. Wystarczy sięgnąć po książki napisane przez Dariusza Czaję, wystarczy wsłuchać się w to, co ich autor ma do powiedzenia. ■

JOANNA PADULA

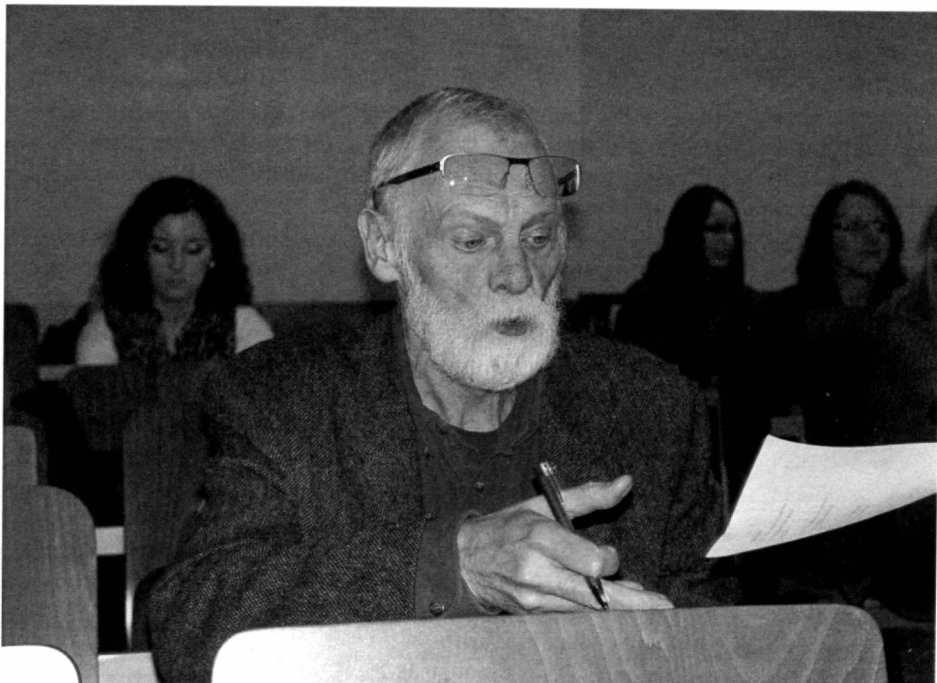
Ogólnopolska konferencja naukowa „Nowe poetyki miejskie (literatura, kultura, język)”

Zorganizowana w dniach 28–29 listopada 2013 r. przez Katedrę Poetyki i Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie ogólnopolska konferencja naukowa „Nowe poetyki miejskie (literatura, kultura, język)” wzbudziła zainteresowanie badaczek i badaczy z ośrodków naukowych w całym kraju.

Interdyscyplinarna tematyka, oscylująca pomiędzy współczesną poetyką doświadczania miasta i jej literackimi reprezentacjami, figurami przestrzeni uchwyconymi w relacjach miasto – tekst oraz intermedialnymi aspektami poetyki miasta, pozwoliła ukazać niezwykle bogaty obraz zależności pomiędzy urbanizmem a literaturą.



Prof. Zbigniew Bauer i dr Magdalena Roszczymalska podczas konferencji (fot. M. Więclawek)



fot. M. Węclawek

Prof. Zbigniew Bauer (1952–2014)

Po uroczystym powitaniu przybyłych gości przez organizatorki: dr Magdalenę Roszczyniałską oraz dr Katarzynę Wądołny-Tatar otwarcia obrad plenarnych dokonali Dziekan Wydziału Filologicznego prof. Bogusław Skowronek oraz Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UP prof. Piotr Borek.

Wprowadzeniem do obrad był referat prof. Elżbiety Konończuk (UwB), w którym, po dokonaniu redefinicji rozumienia kategorii poetyki, badaczka, posiłkując się ideami psychogeografii, przedstawiła zwrot od rozumienia miasta przez pryzmat metafory tekstu w stronę ujmowania go jako wydarzenia, z performatywnymi praktykami wytwarzania znaczeń i retoryką chodzenia jako elementami konstytutywnymi. Korespondującym wystąpieniem był referat prof. Zbigniewa Bauera (UP). Sięgając m.in. do pisarstwa Waltera Benjamina, badacz wskazał na istotne kulminacje współczesnego algorytmu miejskiej przestrzeni hipertekstowej, jakimi są: dialog z marksistowską koncepcją utowarowie-

nia – z jednej strony i narracja biograficzna flanera – z drugiej. W wystąpieniu uchwycone zostały istotne różnice występujące pomiędzy labiryntową, palimpsestową czy kolażową formą doświadczania miasta. Obrady w sesji plenarnej zakończyło wystąpienie dr Bogusławy Bodzioch-Bryły (Ignatianum), która podjęła krytyczną refleksję o kategorii mitu w literackim obrazie Krakowa, utrwalonym w poezji polskiej po 1989 r.

Sekcję tematyczną „Miasto wierszem” rozpoczął referat dr Ewy Kołodziejczyk (Radomskie Towarzystwo Naukowe), która, opierając się na pismach Czesława Miłosza z lat czterdziestych XX w., przedstawiła trzy sposoby portretowania Nowego Jorku przez poetę, by pokazać, jak metropolia zyskuje rangę metafory epistemologicznej i antropologicznej. Do kategorii miasta jako miejsca autobiograficznego nawiązywał referat dr Katarzyny Wądołny-Tatar (UP), wchodzący w bezpośredni dialog z wystąpieniem wcześniejszym. Wnikliwie analizowana późna

poezja Julii Hartwig odsłaniała przed słuchającymi obraz wybranych miast, definiowanych choćby przez obecność bliskich bądź przez powrót do dawnych miejsc. Istotny okazał się uchwycony w poetyckim widzeniu i zapamiętaniu rytm miast, któremu poddają się bohaterowie tej poezji. Zapoczątkowany model refleksji podtrzymała kolejna prelegentka, mgr Monika Bednarczyk, która, dokonując analizy poetyki *Przewodnika dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania* Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, zwróciła uwagę na metaforę i przerzutnię jako na figury niekończącego się, pulsującego, miejskiego tańca codzienności. Konstrukt religijno-kulturowy miasta w twórczości Wojciecha Kudyby ukazała mgr Edyta Sołtys-Lewandowska (UAM), wskazując na zapośredniczony religijnie i społecznie sposób widzenia przestrzeni miejskiej w tomiku poetyckim *Tyszwce i inne miasta*.

W dalszej części obrad wystąpił dr Marcin Chruściel (V LO w Krakowie), analizujący relacje z miastem w poezji Marcina Świetlickiego i zwracając uwagę na obecne tam inspiracje Baudelaire'owskie. Poezji tego samego twórcy poświęciła

swój referat dr Anna Spólna (Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu). Badaczka, zwracając uwagę na przestrzenie wyobcowania w poezji Świetlickiego, wyraźnie zaznaczyła nie tylko aspekt widmowego i upiornego charakteru miejskiej przestrzeni intensyfikowanej przez obecność miejsc autobiograficznych, ale także deklaratywne oderwanie podmiotu od rzeczywistości, której granice są u poety nieustannie zacierane. Ostatnim wystąpieniem w tej części obrad był referat mgr Małgorzaty Lebdy, podejmujący tematykę relacji jednostka – miasto w poezji roczników lat osiemdziesiątych XX w.

Wystąpienie dr Anny Chudzik (PWSZ w Sanku), poświęcone oswajaniu miasta w wartościującej praktyce nazewnictwa oraz językowo-graficznej przestrzeni miejskiej, rozpoczęło sekcję tematyczną: „Język i słowo (w) miejskiej przestrzeni”. Kolejnym w tym cyklu był referat mgr Anny Antas (Uniwersytet Rzeszowski), dotyczący reprezentacji miasta w językowo-kulturowej przestrzeni polskiego „metal” z lat 80. XX w. Interesujące spojrzenie na zagadnienie relacji pomiędzy formą a funkcją słowa i wiersza w przestrzeni miasta na przykładzie Wroc-



fot. M. Węgrławek

Dr Katarzyna Wądołny-Tatar



Konferencji towarzyszyła wystawa prac plastycznych

ławia zaprezentowała mgr inż. Karolina Mazurkiewicz (Politechnika Wrocławska), podkreślając jednocześnie element niestabilności przestrzeni miejskiej. Zakończeniem obrad w tym panelu było wystąpienie dr Bronisławy Stolarskiej (UŁ), poświęcone studium miasta w filmie *Zero* w reżyserii Pawła Borowskiego.

Po ożywionej dyskusji rozpoczął się ostatni już w pierwszym dniu konferencji panel obrad „Narracje miejskich przestrzeni”. Rozpoczęło go wystąpienie dr Katarzyny Szalewskiej (UG), która podjęła wnikliwą analizę retoryki bycia-w-mieście, ze szczególnym uwzględnieniem najnowszych figur tekstowych, realizujących praktyki poszukiwania, będące alternatywą dla obecnych na gruncie teoretyczno-literackim ujęć spojrzenia turysty. Rekonstrukcji topograficznego zobrazowania relacji społecznych opartej na takich dominantach miejskiej ikonosfery, jak bazar i wieżowiec, na przykładzie polskiej literatury po 1989 r. dokonała w swoim

wystąpieniu dr Izabella Adamczewska (UŁ). Obrady zakończył referat mgr Joanny Paduli (UP), która przedstawiła literackie sposoby doświadczania przestrzeni miasta ponowoczesnego, łącząc je ze zmianami w obszarze współczesnej turystyki miejskiej. Pierwszy dzień obrad zakończył koncert Jagi Wrońskiej z kabaretu Loch Camelot oraz uroczysta kolacja w restauracji „Cherubino”.

Kolejny dzień konferencji rozpoczęto sekcją tematyczną „Miasto w doświadczeniu”. Jako pierwsza zabrała głos dr hab. Beata Gaj (UO), która przybliżając śląską literaturę nowolacińską, przedstawiła spektakl codzienności rozgrywającej się na scenie miasta. Na znaczenie performatywne narracji, a także na zmiany sposobu jej konstruowania, wynikające ze zmiany ustrojowej, oraz na aspekt post-pamięci we współczesnej prozie lubuskiej zwróciła uwagę mgr Kamila Gieba (UZ), analizując regionalną geopoetykę poniemieckiego miasta. Kolejnym

miastem, które pojawiło się w analizach i interpretacjach literackich, został Białystok, na którego przykładzie tematyzowaną i obecną w języku kategorię pograniczności przedstawiła dr Katarzyna Sawicka-Mierzyńska (UwB). Rewizji tradycji mówienia o Krakowie dokonał mgr Arkadiusz Sylwester Mastalski (UP), przedstawiając recenzje kulinarne Wojciecha Nowickiego jako specyficzną, narracyjną formę doświadczania przestrzeni miasta. Zakończeniem obrad w tej sekcji była prezentacja przez mgr Magdalенę Skrzypczak (UŁ) zagadnienia przestrzennej retoryki przez pryzmat figur wędrównych jako narzędzi analizy i interpretacji przestrzeni literackiej.

Kolejną odsłonę tematyczną konferencji – „Intertekstualne i intermedialne aspekty poetyki miasta” otworzył referat dr Karoliny Kołodziej (UŁ), która, skupiając się na analizie powieści Macieja Świerkockiego *Ziemia obiecana raz jeszcze* i konfrontując tekst ze źródłową powieścią Reymonta, rozważała problem aluzji literackiej i dialogu intertekstualnego. Praktykę czytania gry obecnych nieobecności w architektonicznym palimpseście Wenecji zrekonstruowała mgr Ewelina Stanios (UMCS) na przykładzie eseju Ewy Bieńkowskiej *Co mówią kamienie Wenecji*. Praktyki artystycznych wirtualnych reprezentacji miasta, a także technologie podwójnego miasta oraz miejskiej komunikacji interaktywnej przybliżyła w swoim wystąpieniu mgr Lilianna Kozak (UMCS).

Ostatni z tematycznych bloków spotkania rozpoczął referat dr. hab. Jerzego Winiarskiego (UJK), poświęcony analizie narracji architektonicznej Jacka Sala w Kielcach. Badacz, uwzględniając szerszą perspektywę semiotyczną, wskazywał na metaforyczny charakter pomnika pogromu kieleckiego, który staje się nośnikiem wartości wyrażonym w nowatorskim stylu architektury. W kolejnym wystąpieniu mgr Mateusz Żebrowski (UŁ) przedstawił przestrzenną heterogeniczność osobowości Orhana Pamuka, udowadniając, że *Stambuł. Wspomnienia i miasto* stanowi fantazmatyczną autobiografię pisarza. Obrady w tej części zakończyła dr Magdalena Roszczynialska, analizując

przez pryzmat koncepcji estetyki środowiskowej reportaż Andrzej Stasiuka i Filipa Springera oraz teksty prozatorskie Michała Olszewskiego i Sylwii Chutnik.

Po ozywionej dyskusji ostatni panel konferencyjny rozpoczął referat mgr Barbary Weźgowiec (UJ). Referentka podjęła analizę relacji pomiędzy miastem a pisarzem na przykładzie literackiej reprezentacji Gdańska w prozie Stefana Chwina. Przestrzeń miejską z perspektywy kobiecego doświadczenia i jego wpływ na narrację w wybranych tekstach Izabeli Filipiak, Sylwii Chutnik i Grażyny Plebanek zaprezentowała dr Monika Świerkosz (UJ). Rekonstrukcję fantastycznej mapy narracyjnej i pojawiającej się obok niej topograficznej mapy Krakowa w tekście Wita Szostaka *Chochoty* przedstawiła dr Elżbieta Rybicka (UJ), zwracając uwagę na mitologizujący aspekt narracji. Ostatnim z wystąpień konferencyjnych był referat dr Marty Bolińskiej (UJK), która przedstawiła konstruowanie obrazu Czeladzi w *Końcu wakacji* Janusza Domagalika, akcentując aspekt nostalgii i narracyjnej restytucji pamięci własnej autora.

Uroczystym zamknięciem konferencji był głos prof. Zbigniewa Bauera, który, zauważając zbieżność pomiędzy palimpsestowymi strukturami miejskimi a strukturami biograficznymi, dostrzegł w nich jednocześnie nowe pole poszukiwań naukowych na przecięciu urbanizmu i nowej biografistyki.

Podziękowaniem za uczestnictwo w obradach, zapowiedzią kolejnej, poświęconej biografistyce konferencji oraz pożegnaniem gości zakończyły naukowe spotkanie organizatorki konferencji dr Magdalena Roszczynialska i dr Katarzyna Wądołny-Tatar.

Konferencji towarzyszyła wystawa prac (foto)graficznych z cyklu „My London's Identity” autorstwa Izzy Stefańskiej (studentki drugiego roku studiów II stopnia kulturoznawstwa i wiedzy o mediach) oraz map mentalnych Krakowa, wykonanych przez studentów w ramach przedmiotu: antropologia miasta. Studentkom i studentom pomagającym w obsłudze i organizacji konferencji organizatorki bardzo serdecznie dziękują. ■

GABRIELA MEINARDI

Dominique Rouge...

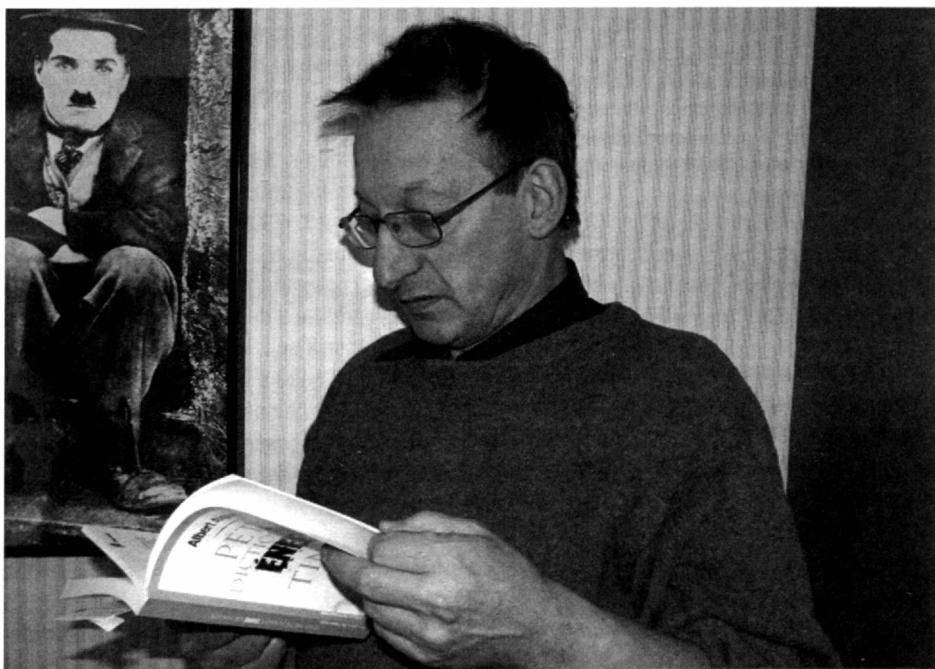
Takim go zapamiętamy

Wśród ludzi jest się także samotnym...

Antoine de Saint-Exupéry

Odszedł szybko i po cichu... Tak jak żył. Trudno o Nim mówić w czasie przeszłym, ale od roku nie ma Go wśród nas. Nasz oddany przyjaciel Dominique Rouge, adiunkt w Instytucie Neofilologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, opuścił nas na zawsze 20 marca 2013 r., zaledwie kilka dni przed ustalonym terminem kolokwium habilitacyjnego, na któ-

re bardzo czekał. To był cel, którego nie zdążył osiągnąć. Przygotowana rozprawa habilitacyjna *Écrire et lire la folie. Rencontrer le fou dans ses textes (Pisać i czytać o szaleństwie. Spotkać szaleńców w ich tekstach*, Kraków 2013) ukazała się drukiem kilka miesięcy wcześniej i uzyskała bardzo wysoką ocenę wszystkich recenzentów. Prof. Michał Mrozo-



Dr Dominique Rouge



wicki z Uniwersytetu Gdańskiego tak pisał o niej w recenzji:

Tematem tej interesującej i dobrze skonstruowanej monografii – pracy bardzo osobistej, której Autor odrzuca szablony strukturalistycznej proveniencji, a akcentuje znaczenie pewnej rozsądnej dozy kontrolowanego subiektywizmu w badaniach literackich – są relacje pomiędzy szaleństwem, chorobą psychiczną a twórczością literacką rozpatrywane na różnych poziomach.

Podobnie przychylną ocenę wystawił dziełu naszego Przyjaciela prof. Krzysztof Jarosz z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach:

Praca D. Rougé jest przykładem niespotykanej erudycji i osobistego zaangażowania Autora. Faktem jest, że jako Francuzowi łatwiej mu niż polskiemu romanistom ze swadą snuć narrację, ale przecież znając inne jego publikacje, odkrywa się u niego także znajomość literatury polskiej godną polonisty rodem znad Wisły. Nie tracąc nic ze swej logiki, nie stroni od wyrażania osobistych opinii, skądinąd podkreślających niebawalą erudycję i wizję całości tematu.

Grafika umieszczona na okładce książki nie tylko trafnie ilustruje treść dzieła, ale budzi

również – zwłaszcza teraz – dodatkowe refleksje. Wszyscy pamiętamy, jak bardzo Dominique cieszył się z tego swojego życiowego sukcesu, chociaż radość okazywał w sposób bardzo dyskretny. Był bowiem człowiekiem skromnym, pozornie trochę niedostępnym, zawsze życzliwym i koleżeńskim wobec wszystkich pracowników i studentów Uczelni, służącym pomocą w różnych sytuacjach życiowych. Interesował się losem swoich uczniów i zawsze miał dla nich czas. Często przynosił im potrzebne materiały ze swojego bogatego księgozbioru. W Bibliotece Instytutu Neofilologii był niemal codziennym gościem. Przychodził w przerwach między zajęciami, aby podzielić się nowymi wiadomościami. Zawsze w pośpiechu... Stąd też wyszedł po raz ostatni, we wtorek 19 marca 2013 r. Nikt wówczas nie przypuszczał, że Dominique'a nie zobaczymy ponownie.

Dominique interesował się wszystkim, co dotyczyło naszego Instytutu, Uczelni oraz kraju, który był dla niego drugą ojczyzną. Jego dobra znajomość języka polskiego pozwalała mu śledzić w mediach bieżące wydarzenia w Polsce. Nasze dyskusje były zawsze ciekawe i prowadziły do konstruktywnych wniosków. W Krakowie mieszkał ponad 20 lat i prawie tak samo długo był związany z naszą Uczelnią i Instytutem. Chętnie opowiadał o swojej dużej rodzinie, rozsianej po świecie. Z szacunkiem wspominał rodziców, a z liczным rodzeństwem łączyła Go wyjątkowa więź. W Krakowie miał wielu przyjaciół, taką „przyszywaną” rodzinę, na której zawsze mógł polegać. Tu pozostał też Jego znakomity księgozbiór i dorobek naukowy w postaci pracy doktorskiej i habilitacyjnej oraz liczne artykuły, nie tylko o literaturze. W kręgu zainteresowań Dominique'a znajdowała się translatoryka, a swoją pracę doktorską w 2005 r. napisał na temat *Adam Zagajewski à travers la traduction de sa poésie en français* (*O francuskich tłumaczeniach poezji Adama Zagajewskiego*). Jej promotorem był prof. Tadeusz Szczerbowski.

Dominique był również naszym instytutowym tłumaczem i korektorem oraz nieustraszonego przewodnikiem po świecie języka, litera-



Dominique Rougé w Alpach

tury i kultury francuskiej, które nam przybliżał. To był dodatkowy „niepublikowany” dorobek, który wzbogacał Jego konto naukowe.

Dominique urodził się w Lyonie, podobnie jak Antoine de Saint-Exupéry. Tam zawsze chętnie wyjeżdżał na wakacje, a po powrocie dzielił się wrażeniami. To było Jego miejsce na ziemi i tam też powrócił na zawsze... Spoczął w rodzinnym grobie, razem ze swoimi rodzicami. Czasem jeszcze wydaje nam się, że Dominique wyruszył w ko-

lejną podróż, do miejsca, z którego pochodził. Wtedy odrobinę łatwiej pogodzić się z Jego nieobecnością i pustką, którą po sobie zostawił. W naszej pamięci pozostanie Jego zycliwy uśmiech i dobre serce.

Antoine de Saint-Exupéry – rodak naszego Dominika – twierdził, że śmierć musi mieć swój sens, a wówczas oświeca całe życie, które się zamknęło. Tylko zbyt wcześnie dla naszego Przyjaciela i zbyt nieoczekiwanie dla nas... ■

Nowości Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Pedagogicznego

przedstawia Jolanta Grzegorzek

ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
tel./fax (012) 662-63-83
tel. (012) 662-67-56
<http://www.wydawnictwoup.pl>
e-mail: wydawnictwo@up.krakow.pl

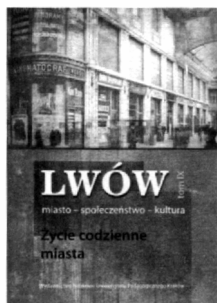
KAZIMIERZ KAROLCZAK, ŁUKASZ T. SROKA (red.)
Instytut Historii

Lwów. Miasto – społeczeństwo – kultura, tom IX: Życie codzienne miasta

Zbiór artykułów na temat życia codziennego Lwowa, zgrupowanych w dwóch częściach: *Czas pokoju* i *Czas wojen i konfliktów*. Niektórzy autorzy opisują codzienność z perspektywy pojedynczego człowieka, inni przyjmują perspektywę szerszą. Interesującą grupę stanowią teksty dotyczące mniejszości narodowych i religijnych. Wszystkie wpisują się w tendencje współczesnej historiografii światowej do przywracania pamięci o ludności cywilnej w kontekście ważnych wydarzeń historycznych.

Zawartość (wybór): S. Gąsiorowski, *Tatarzy we Lwowie w XIII–XVIII wieku. Przyczynek do badań*; B. Popiołek, *Śluby, pogrzeby, ingresy urzędnicze – ceremonie w życiu Lwowa w pierwszej połowie XVIII wieku*; Ł. T. Sroka, *Wiedź, czyli wielki świat. Wpływ Austrii na życie codzienne Lwowa w XIX wieku*; K. Karolczak, *Czas pokoju i zawieruchy w życiu arystokracji*; G. Mazur, *We lwowskich kinach i teatrach okresu II wojny światowej*.

Prace Monograficzne nr 688, format B5, 492 s.



MICHAŁ ŚLIWA, ANDRZEJ ŻEBROWSKI, ROBERT KLACZYŃSKI (red.)

Instytut Politologii

Bezpieczeństwo RP. Wczoraj i dziś. Studia z zakresu bezpieczeństwa państwa

Zbiór, w którym autorzy przybliżają rolę instytucji państwa polskiego w podejmowanych przez nie działaniach na rzecz zapewnienia mu bezpieczeństwa. Podzielony jest na trzy części: *Z dziejów historii bezpieczeństwa wewnętrznego RP; Bezpieczeństwo wewnętrzne RP w dobie transformacji ustrojowej; Współczesny wymiar bezpieczeństwa wewnętrznego.*

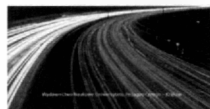
Zawartość (wybór): P. Szelegieniec, *Bezpieczeństwo żywnościowe Polski w latach 1956–1970. Wybrane aspekty*; A. K. Piasecki, *Wybory parlamentarne w III RP a poczucie bezpieczeństwa Polaków*; I. Kawka, *Bezpieczeństwo informacji w internecie – wybrane aspekty prawne ochrony danych osobowych i prywatności*; P. Swoboda, *Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w systemie bezpieczeństwa państwa.*

Prace Monograficzne nr 687, format B5, 330 s.

BEZPIECZEŃSTWO RP

WCZORAJ I DZIŚ

STUDIA Z ZAKRESU
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA



AGNIESZKA CHŁOSTA-SIKORSKA, HANNA STĘPNIEWSKA-GĘBIK,
PIOTR TROJAŃSKI (red.)

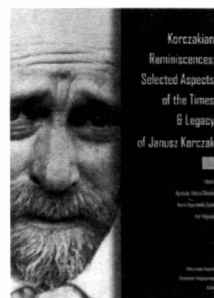
Instytut Historii, Instytut Nauk o Wychowaniu

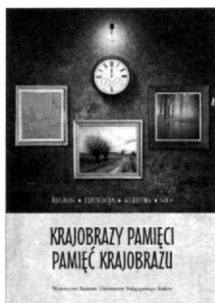
Korczakian Reminiscences: Selected Aspects of the Times and Legacy of Janusz Korczak

Problematyka książki skupiona jest wokół postaci Janusza Korczaka, jego spuścizny oraz wątków powiązanych z czasami, w których żył Stary Doktor. Praca była inspirowana wydarzeniami Roku Korczakowskiego i jest owocem polsko-izraelskiej współpracy pomiędzy Uniwersytetem Pedagogicznym a Beit Berl College.

Zawartość: I. *Korczak Portrayed: Representations in Literature and Visual Art*; II. *Korczak's Pedagogical Ideas and their Interpretations*; III. *Korczak and his Times: Historical and Educational Perspectives.*

format A5, 230 s.





ZOFIA BUDREWICZ, MARIA SIENKO (red.)

Krajobrazy pamięci – pamięć krajobrazu

Kolejny tom z serii „Region – Edukacja – Kultura” poświęcony jest zagadnieniom pamięci i przestrzeni jako kategoriom szczególnie ważnym z perspektywy kształtowania tożsamości miejsca, jednostki, grupy, wspólnoty. Do kontynuacji oraz ukazania nowych wymiarów tej problematyki zachęca m.in. jej niesłabnąca popularność w różnych obszarach naukowej refleksji, rozwój kulturowych teorii pamięci oraz – co szczególnie istotne – znaczenie dla edukacji regionalnej.

Zawartość (wybór): B. Krasnowolski, *Krajobraz ziem polskich doby dojrzałego i późnego średniowiecza (wiek XIII–XV)*; S. Dziedzic, *Park Kulturowy „Stare Miasto”. Szanse i bariery w kreowaniu wizerunku zabytkowego Krakowa*; K. Kossakowska-Jarosz, *Górnoślązacy wobec zabytków. (Bez)troska w przejawach dawnych*; Z. Budrewicz, *Miejsce i pamięć w polonistycznej edukacji regionalnej*; M. Pieniążek, *Wchodzę w obrazy, tworzę krajobrazy*.

„Region – Edukacja – Kultura” VI, format B5, 340 + 46 s.

MARCELI OLMA

Językowo-kulturowy obraz arystokratycznej rodziny polskiej drugiej połowy XIX wieku (na podstawie korespondencji rodzinnej Heleny i Mieczysława Pawlikowskich)

Bohaterami pracy są uwiecznieni w listach, które do siebie pisali, Helena z hrabiów Dzieduszyckich Pawlikowska oraz Mieczysław Pawlikowski. Wieloletnie wierne małżeństwo trwało 44 lata, a przeżywane okresy rozłąki wypełniała korespondencja. Autor wykorzystał 537 listów Pawlikowskiego oraz o połowę więcej (815) Heleny Pawlikowskiej do męża i synów. Praca wnosi wiele nowych elementów do wiedzy o dziejach języka polskiego XIX w. Ma także walory interesujące dla socjologów i historyków obyczajowości.

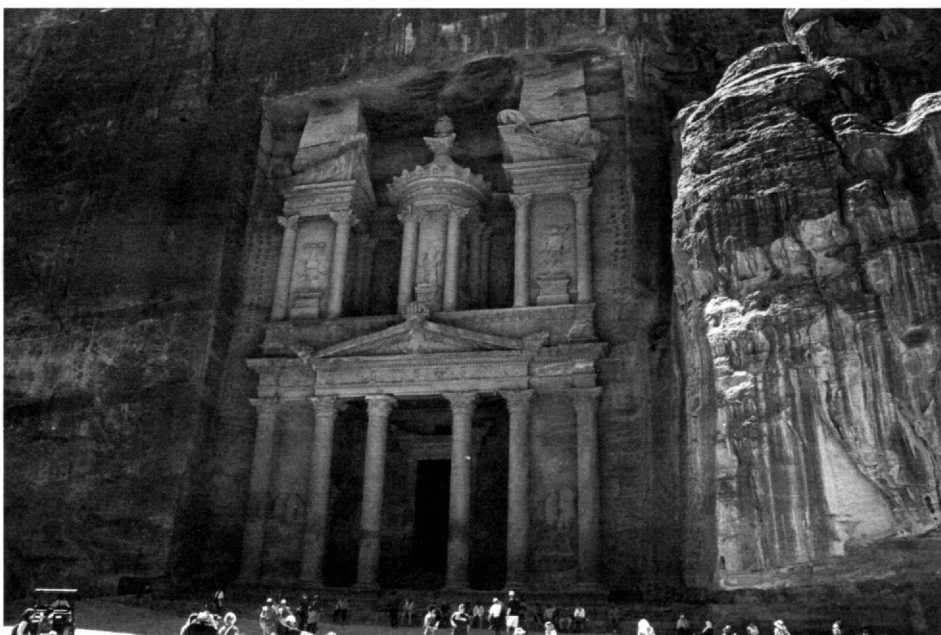
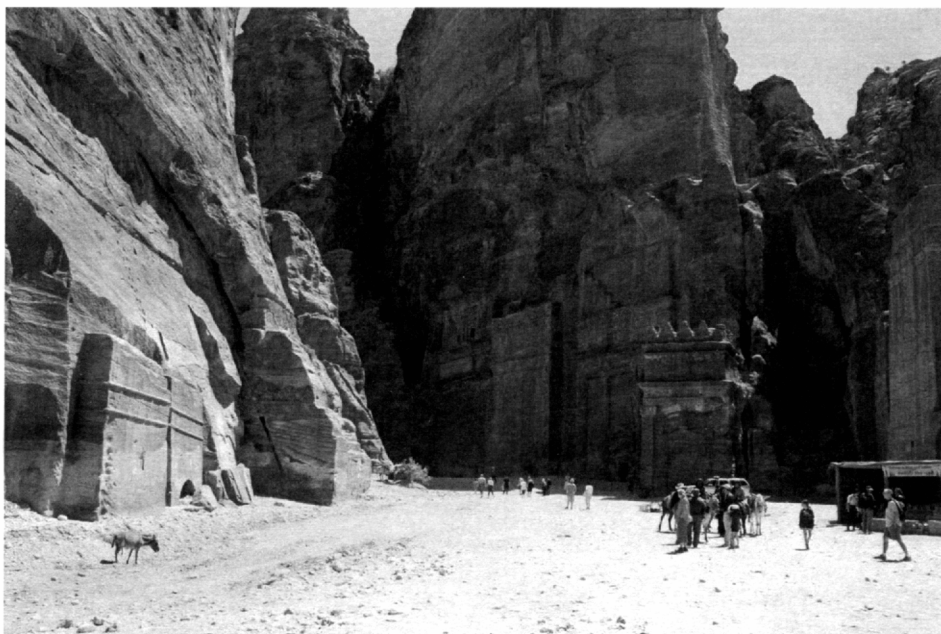


Zawartość: I. Zagadnienia teoretyczne, II. Językowy obraz osób tworzących wspólnotę rodzinną; III. Świat uczuć zawarty w języku rodzinnym; IV. Kultura życia rodzinnego w rodzinie Pawlikowskich; V. Choroby i ich objawy oraz troska o zdrowie; VI. Obraz zwyczajów żywieniowych i obyczajów kulinarnych; VII. Etykieta językowa w kontaktach rodzinnych.

Prace Monograficzne nr 689, format B5, 326 + 12 s.

— Galeria na końcu —

Paweł Wójtowicz, JORDANIA



KONSPEKT

Pismo Uniwersytetu Pedagogicznego
im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

Redakcja czynna od poniedziałku do piątku
w godzinach 7.30–15.30
e-mail: konspekt@up.krakow.pl
www.konspekt.up.krakow.pl

30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (12) 662-61-28





Na stronach 2 i 3 okładki wykorzystano fotografie
autorstwa Piotra Milca



Na stronach 1 i 4 okładki wykorzystano fotografie
autorstwa Kamila Panasia

Cena 7,- (w tym 5% VAT)



7 771509 672005 06